









# POGLĄDY STAREGO SZLACHCICA

NA SPRAWY

ORAZ

NADZIEJE NA XX STULECIE.

Z RĘKOPISU SWEGO OJCA PRZEROBIL,  
DOPEŁNIŁ I WYDAŁ SYN

WACŁAW JASTRZĘBIEC.

TOM I.

INSTITUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH I  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 74  
Tel. 26-66-83

KRAKÓW

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SP.

1912.



# POGLĄDY STAREGO SZLACHCICA

NA SPRAWY

ORAZ

NADZIEJE NA XX STULECIE.

Z RĘKOPISU SWEGO OJCA PRZEROBIL,  
DOPEŁNIŁ I WYDAŁ SYN

WACŁAW JASTRZĘBIEC.

TOM I.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

KRAKÓW  
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SP.  
1912.



ODBITO W DRUKARNI „CZASU” W KRAKOWIE POD ZARZ. A. ŚWIERZYŃSKIEGO.

3192  
<http://rcin.org.pl>





Warto : ciekawostki przytoczone to dzieło od po-  
cztów do końca, by mieć powieść, jakie to powieści  
nie zostały w XV wieku, tak porównanie ciekawym jest przez  
pp. Niemcewicz, Niemcewicz i p. nazwać kapitał-  
nym gaussem, nie mówię już o Hojz Laxenburg.  
(Wydanie pierwsze)

## PRZEDMOWA.

Ojciec mój umierając, a będzie temu lat dwadzieścia kilka, wręczył mi swój rękopis z rozkazem przerobienia go i oddania do druku. Poglądy swe na sprawy polityczne i narodowe, oraz swe nadzieje w tym właśnie rękopisie zawarł. Rozumiał, iż rozpowszechnienie jego poglądów i nadziei wśród najszerszych warstw społecznych może przynieść jakiś pożytek. Chciał je sam ogłosić, lecz śmierć przerwała te plany. Mnie więc spełnienie ich przekazał.

Był to człowiek gorącej wiary w Boga i Jego Miłosierdzie, wiary pierwszych Chrześcian, gotów w każdym czasie przyjąć z rozkoszą męczeństwo dla Chrystusa. Był to prawy Polak, gorącego serca patriota, zawsze gotów oddać swe mienie, spokój życia i swą krew dla Ojczyzny. Bóg i Ojczyzna, to były dwie jedyne idee jego, jedyny cel życia, alfą i omegą wszystkich myśli, czuć i czynów. Tylko przez ten przyzmat spoglądał na świat i sprawy.

I dzieło jego, które tu przedstawiam, z tych właśnie uczuć i rozmyślań powstało. W każdym więc wierszu, w każdym niemal słowie te idee dobitnie się akcentują i z mocą, a uporem, powtarzają.

Urodził się w 1820 roku, znał więc tradycje doskonałe, sam widział wiele i udział brał nieraz w rozmaitych wypadkach. Życie zaś samo jego, bardzo niezwykle — to nieprzerwane pasmo cierpień ducha i cichych poświęceń dla Boga i narodu. Robił, co tylko mógł i jak tylko mógł w tej idei na swem stanowisku, a przy warunkach ucisku i ciemności rozpaczliwej niewoli, twardej i ponurej.

Tysiące rodzin ubogich, nieszczęsnych braci, doznawało jego filantropijnej opieki i pomocy, radą, protekcją i groszem. Około tysiąca młodzieży obojej płci, sierót po byłych polskich urzędnikach, kształciło się prywatnie i w zakładach naukowych dzięki właśnie jego pomocy<sup>1)</sup>. Starał się przytem wpłynąć moralnie na tę młodzież ile mu na to czasu i sił starczyło, chciał wychować zastępy »aniołów« Słowackiego. Dom jego był, jakby ostoją, portem ocalenia, przytułkiem dla wszystkich nieszczęsnych, dla każdego rodzaju i sfery rozbitków politycznych i życiowych, a których była moc w kraju w latach powstaniowych. Dość było nędzarzem być, sierotą, by znaleźć miejsce w jego sercu i w jego domu. Czuł się kapłanem być narodowym i sługą Bożym w życiu. Wszystko co czynił, czynić usiłował bez rozgłosu i znosić nie mógł podziękowań lub pochwał.

<sup>1)</sup> Utworzył w Ż... na Wołyniu towarzystwo dobroczynności w 1872 roku. Powstało ono z jego własnych funduszków, następnie już i składki wpływały. Zaś po śmierci ojca mego, gubernator uznał za właściwe fundusze tego towarzystwa przeznaczyć dla Rosssyan i podtrzymanie rossyjskiego teatru. Polacy byli zmuszeni w końcu nowe towarzystwo dobroczynności polskie utworzyć. W czasie wojny tureckiej urządzono oddział »Czerwonego Krzyża« w Ż... Za staraniem mego ojca, połączono jego działalność z istniejącym towarzystwem dobroczynnym, tym sposobem mój ojciec, jako jego wice-prezes i z tego źródła czerpał zasiłek dla swych biedaków, mających jakiś tytuł po temu. Urządził swym kosztem przytułek dla małych żebraków, gdzie ich przyodziewano w czystą bieliznę, uczono rzemiosła i czytania. Ze swych funduszków i szwagra swego, Borejki, ufundował i urządził progimnazjum czteroklasowe za czasów Tołstoja, ministra oświaty rossyjskiej. Który to minister, szlachcie proszącej o pozwolenie otwarcia realnej szkoły, odpowiedział grubiańsko: »Kto nie może uczyć się łaciny i greczyzny, niech idzie świnie paść!« Zezwolił więc tylko na otwarczenie za polskie pieniądze czteroklasowego progimnazjum, które obecnie funkcjonuje jako rządowe drugie gimnazjum. W czasie swego ośmnastoletniego zamieszkiwania w Ż... wydał na te rozmaite cele mój ojciec przeszło 128 tysięcy rubli ze swej prywatnej szkatuły według rachunków szczegółowo prowadzonych.

To też wiara Ojców słabnąca w narodzie i cierpienia jego beznadziejne były nieustannym bólem dla tego serca odczuwającego silnie to wszystko. Miał on głębokie, silne przekonanie, że szczerze nawrócenie się do wiary Ojców podniesie poważnie ducha narodu, upadającego już pod zbyt silnem brzemieniem, podniesie moralnie i umysłowo znękaną społeczność. Skupienie i streszczenie się przez wiarę tego ducha, woli narodowej i charakteru narodowego, doda więcej siły odpornej przeciw wszelkim zakusom wynarodowienia i żywiołom destrukcyjnym. A wkońcu, że jedynie tylko ta wiara nam pozostała, jako broń i jako nadzieja.

Był przeniknięty pojęciem konieczności ekspiacy i mesyanizmu Polski, t.j. pracy narodu poczętej a niedokończonej jeszcze. A to pojęcie jedno i drugie stopiło się w jedno niezłomne przekonanie, dzięki niezwykłym okolicznościom i przejściom, jakich doświadczył w życiu, dzięki wypadkom politycznym, na które sam patrzył, brał udział, lub od bezpośrednich świadków, bardzo bliskich sobie i dalszych słyszał, a żywo w swej duszy wrażliwej odczuwał. Z tej to wiary w Opatrzność Najwyższą, która poszczególne narody i wszechludzkość całą prowadzi różnymi drogami do jednego celu i najwyższego — wszechdobra i wszechmiłości, wyłoniła się i wiara jego w skojarzenie się siłą transcendentalną takich sytuacji politycznych w początkach dwudziestego wieku, takich warunków, które muszą doprowadzić do zmartwychpowstania Polski politycznej. Głęboka zaś znajomość spraw politycznych, potrzeb narodowych, społeczno-ekonomicznych XIX wieku, znajomość cnót i wad narodowych, a obok tego syntetyczny, o szerokich horyzontach pogląd, zapuszczający wzrok swój w daleką nieraz przyszłość z wiecznie palącym sercem Polaka pytaniem; zdają się utwierdzać naukowo w przekonaniu o możebności spełnienia się świętych, proroczych natchnień i życzeń.

Obecnie, po wojnie rossyjsko-japońskiej, przewidzianej przez mego ojca, skutkach jej i następstwach nie tylko w Rosyi, dążeniu Austrii ku sławizacyi, przy początkującym dziś ruchu neosławizmu i przy zestawieniu szczególnie dzisiejszych wszechświatowych koniunktur politycznych, narodowych i socyalnych; wydają się być te nadzieje bliższe, niż kiedykolwiek. Zapowiadają się bowiem daleko większe przewroty w każdej dziedzinie życia narodów i nie tylko w Europie, niż to miało miejsce po wielkiej rewolucyi francuskiej i w czasie wojen napoleońskich. A chociaż owe koniunktury zdają się zapowiadać bardzo wielkie burze i straszne huragany, zdają się tem niemniej zapowiadać i świtanie lepszej doli. Zatem w myśl przeczuciom i dawnym zapowiedziom. »Przedświt« Krasieńskiego możnaby dziś uważać nietylko, jako świetne streszczenie się wielkiego ducha poety, lecz również, jako świetne prorokowanie, jako widzenie przyszłości narodu przez ducha wielkiego Polaka i myśliciela. Ucisk nie ustaje, w najbliższej przyszłości należy nawet oczekiwać nowych nieszczęść narodowych, a jednak, nadzieja bliskiego dnia mimowoli wciska się coraz bardziej do serc. A głębiej wnikający umysł w sprawy polityczno-społeczne, zda się, potwierdzać racjonalność tych nadziei. I dlaczegożby to nie miało się stać? Wszak w chwilach tryumfów wojennych i blasków zwodniczych potęgi i chwały wolnej Rzeczypospolitej Piotr Skarga dojrzał rysy upadku i noc ponurą niewoli prorokował. A kto wówczas dawał temu wiarę? Dlaczegoż by dziś w chwilach ucisku i nocy ponurej, nie możnaby było również dostrzedz warunków odrodzenia, promyków jasných dni, zapowiadających się po burzach, na przyszłość?

Tedy rychło po śmierci ojca mego wziąłem się do rozpatrzenia rękopisów. Zdawało mi się, że znając poglądy i przekonania jego, życzenia i myśli, pójdzie mi to łatwo. Stało się jednak przeciwnie. Taka mnogość materiału bardzo różnorodnego, a taki chaos i bezład przedstawił się

mym oczom, taka platanina wypadków, zdarzeń i myśli, pisanych w ostatnich latach jego życia, że po przejrzeniu i rozczytaniu się w tem wszystkim, opuściłem ręce bezradnie i... odłożyłem tę robotę... ad calendas graecas. Przeszły następnie lata całe, pełne rozmaitych wydarzeń w mojej rodzinie. A były to lata wcale nie usposabiające do pracy żmudnej i cichej, wymagającej wiele spokoju i nie tylko zewnętrznego. Tak przechodziły lata, a w końcu i pamięć zawiodła. Aż oto z kolei zbliża się i mój wieczór... Naraz, w dziwny sposób przypomniało mi się dane niegdyś słowo ojcu, a nie spełnione dotąd moje przyrzeczenie. Oto, z niewiadomej mi przyczyny, raptem otwiera się z trzaskiem silnym biblioteczna szafka i, ku memu zdziwieniu, dawno zapomniany, na najwyższej półce schowany rękopis pada z łoskotem na podłogę i rozsypuje się u mych stóp. Od tej chwili jakiś niepokój owładnął mą duszą. Nie jest to niepokój człowieka, który nie dopełnił swego zobowiązania. Nie! Jestto jakieś nieznanne mi dotąd stadyum psychiczne, niedające się wytłómaczyć nawet suggestyą. Czuję przytem jakiś nakaz imperatywny, wprost nieprzewyciężony, natychmiastowego podjęcia pracy tej. Dziś więc, w Imię Boże, rozpoczynam ją. Jak wywiążę się z tak trudnego zadania? — Bóg jeden raczy wiedzieć!...

Pracę tę podzielę na dwa tomy, stosownie do podziału samego autora, postaram się przytem zachować styl nieco archaiczny na dzisiejsze czasy i przedstawić główne myśli i poglądy ojca mego, z zachowaniem, ile możliwości, cech ich.

Po wydrukowaniu tego dzieła własnym kosztem, oddaję w zupełności materyalne korzyści, stosownie do życzeń mego ojca, na potrzeby kościoła »Zmartwychwstania« w Krakowie.

Ol... 20 października 1910 rok.

*Wacław Jastrzębiec z Ol...*





## WSTĘP.

»Wskutek nierządu i samowoli możnowładztwa Polska upadła!« woła młodzież, powtarzają starsi.

Nikt jednak głębszej, rzeczycywiej przyczyny upadku nie szuka, nie bada i nie widzi. Bo nikt nie wskazał dotąd na istotną przyczynę choćby tejże samowoli, tegoż nierządu. Nikt nie wykrył źródła, z którego wypłynął potok zaślepienia i pokrył mrokiem umysły i serca!

Czemuż to brakło światła, by własnej zguby nie dojrzeć? Czemu umysły były tak zdemoralizowane, że w rozprężeniu szukano ocalenia? Czemu, jak powiada pewien pisarz: »znaleźli się z łona uciśnionych — wspólnicy zwycięzców, prowadzący swój naród do niewoli?« Czemu? Wszak i między pokonanymi było wielu dzielnych i śmiałych, świątłych mężów, pełnych otuchy, nie dających się ogarnąć zwątpieniu, rozpaczy, gotowych do wielkich ofiar, a jednak nie potrafili złemu zaradzić. Gdzie tego przyczyna? Tylu głośnych bohaterów polskich swe imiona w księgach sławy u obcych narodów wypisało; tylu pod różnymi i obcymi sztandary, wśród cierpień tułactwa, starało się wywalczyć utraconą ojczyznę; tylu wśród tęsknoty i łez, wśród nędzy czarnej i tortur niewoli, nie przestało o nią, o Polskę, wołać; nigdy nie upadli na duchu, nigdy nie zeszli z drogi; jedni wierzyli w sprawiedliwość Bożą, inni w interwencyę Europy zbrojną. Cóż po ich drodze? Zawód, ciernie i krzyże!

Niema prawie zakątka ziemi, gdzieby nasz tułacz nie był znany... Któż policzy owe pokutnicze zastępy dzielnych, odważnych polskich rycerzy na usługach u obcych?

Któż opowie te poświęcenia dla ludzkości w różnych czasach, lub te heroiczne ofiary z mienia i życia na ołtarzu Ojczyzny składane? Komuż nie znane wielkie, posłannicze dusze na dalekiej obczyźnie, na dalekiej północy? Ileż to światła prawdy nasi wygnańcy roznieśli w różne krańce ziemi? Ileż pomników znakomitej wiedzy, sztuki, daje głośne świadectwo o naszej żywotnej sile! Ileż wysokich stanowisk, szczytów godności, wśród obcych zajęliśmy, a we własnej Ojczyźnie miejsca nam braknie! Czemuż to, gdy przyjdziem do ziemi swej, do swoich, a ziemia ojczyźniana nas przyjąć nie może, a swoi jakby nas nie poznawali?

Czemuż ten naród za tyle bohaterskich czynów — śmierć tylko ma po swej drodze? Nie zdrętwiał przecież, nie jest u schyłku życia zgrzybiałego! Przeciwnie, wiele zeń bije żywotnej siły! Czemuż stoi nad mogiłą? Czemuż w tej wiekowej niewoli, choć kona wśród tortur, dotąd nie skonał? Rozpięty na krzyżu — żyje, działa! Rozsiany po całej niemal kuli ziemskiej — nie zginął! Te fakta, mówiące głośno, powinny by usposobić i swoich i obcych do głębszego zamyślenia się i zastanowienia nad losem obecnym i warunkami przyszłości narodu polskiego.

A jeśli wierzyć, że w płomieniu nieszczęść i przewrotów dziejowych naród oczyszcza się z grzechów, dojrzewa przez ofiary, kształtuje się i duch czasu odradza go z nową siłą, nową potęgą; to smutne, przeszło wiek cały trwające, kraju naszego koleje, w czym nas odrodziły i w czym nasz stan narodowy odmieniły? Czyż dotąd nie stąpamy po cmentarnem usłaniu? Czyż dotąd osierocona Ojczyzna nie płacze na grobach ojców i synów swych? Gdy niegdyś, też Polska swą dojrzałością polityczną zdumiewała narody, swą potęgą i cywilizacją wzniosła się do pierwszorzędnych mocarstw Europy; to dziś mienią nas niedojrzałymi politycznie i kłam temu wszystkiemu zadają! Czemu? A jednak, pędząc nędzny żywot wśród bolesnych zawodów, wśród obelg, urągania i pogardy u wszystkich prawie narodów jako wyzuci z Ojczyzny; nie porzucamy naszego

hasła, nie wyrzekamy się jednak tej naszej nieszczęsnej Ojczyzny! A jednak, gdy jedni po drugich stępujem do grobu, też same hasła, z niezłomną wiarą w ocalenie Ojczyzny, przekazujem młodszym pokoleniom! A jednak, chociaż nam coraz gorzej, słońce zda się przestało nam świecić w dniach tych walk wiekowych, cierpień bezmiernych, śpiewamy jednak u kołyski naszym dzieciom, naszym wnukom: »Polska nie zginęła, Polska nie zginie!« Czemu?...

A więc, gdy jedni przypisują upadek Polski samowoli możnowładztwa, drudzy obieralności królów; dla innych brak wojska stałego, to znów źli sąsiedzi, są przyczyną naszej zguby; sądzićby raczej należało, że te i temu podobne warunki ustroju państwowego, mogły wpływać li tylko jako drugorzędnej wartości czynniki; sądzićby należało, że bez wewnętrznej, w organizmie ducha naszego społeczeństwa, w łonie samego narodu kryjącej się przyczyny, a tej dotąd nikt jasno i bezwzględnie nie postawił przed oczy nasze, upadek nasz nie mógł nastąpić.

Widzimy więc z powyżej przytoczonych myśli i pytań, jakie nie jeden prawy Polak sobie zadaje, że jest jakaś jedyna, tajemnicza a potężna przyczyna, która spowodowała upadek potężnego niegdyś narodu; że jest jakieś ukryte źródło, z którego wypłynęły potoki zła, zalewając nasz naród powodzią zaślepienia i mroku.

Wczytując się w dzieje nasze widzimy, że po nieprzerwanej kilkowiekowej pomyślności, stajemy nagle, nieprzygotowani, nad brzegiem przepaści i to zaraz po śmierci Władysława IV-go. Czyż można za to całą winę rzucić na jego barki? Wszak to jeden z najlepszych królów naszych. Zresztą, zostawił Polskę bardzo jeszcze groźną sąsiadom, obfitującą w blaski niedawnych jeszcze zwycięstw, w dobrobyt i siłę zasobną. W następnych zaś wiekach mieliśmy i wielkich królów, i wielkich mężów stanu, i wielkich wojowników, a jednak Polska chyliła się stale do upadku i ruiny. Czemu?... Może ustawy, prawo-

dawstwo polskie było bardzo złe, błędne, bo napisane przez jednego mędrca-teoretyka, lub despotę, narzucającego swą wolę narodowi? Nie! przeciwnie, prawa polskie zrodziły się z łona narodu, kształtowały się i rozwijały w miarę potrzeb życia, w miarę jak religia łagodziła surowość obyczajów i pojęć ludu. To też, wydając je z siebie, naród umiał, z małemi wyjątkami, szanować to dziecię swe, umiał karać nieposłusznych i krnąbrnych, póki zasady religii i moralności nie zostały sponiewierane.

Nie można zatem twierdzić bezwzględnie, że polskie prawa były złe w ówczesnych wiekach; zależało, jak i dziś, wiele od wykonawców. Przypatrzwszy się zaś bliżej prawodawstwu polskiemu, znaleźlibyśmy nie jedno, któreby nam jasno wykazało, że w niektórych działach swych wyprzedzało swą epokę, że i dziśby się nie jedno przydało. Wszak dotąd jeszcze pod zaborem rossyjskim samorząd miast, niegdyś polskie prawo, magdeburskiem zwane, niema uznania u rządu. Słusznie mówi Kromer: »...była w Polsce wolność wzmacniająca, podnosząca charakter i rozwijająca umysł. Wolność, która, zmuszając człowieka do myślenia o Ojczyźnie, czyniła go tem samym obywatelem kraju, o który dbać musiał«.

Wolność myśli i sumienia! Jakież to niezwykły widok w Europie XVI wieku! A zabezpieczona wolność osobista i majątków, wpływ stanu rycerskiego na losy kraju, otoczyły Polskę urokiem w oczach wyższych warstw narodów sąsiednich. Nie podbojem też, ni intrygami przebiegłej dyplomacyi, jak to widzimy w dzisiejszych czasach, rozszerzały się granice Rzeczy Pospolitej Polskiej ówczesnej. Połączenie się z Litwą, ziemiami pruskiemi, Rusi Czerwonej, najwymowniej świadczą o charakterze narodu, jego prawach i o duchu jego rządów. Jaki z dzisiejszych rządów dałby podobną odpowiedzi Zygmunta Starego, gdy go Czesi i Węgrzy powoływali do objęcia ich tronów? Oto mówi król polski: »Boga bierzemy na świadka, tego Boga, badacza serc i myśli ludzkich, że żadna żądza po-

siadania obcych królestw nie powoduje nami. Możesz jeden człowiek tylu zarządzać ludami? I pocóż je zagarniać, gdy je uszczęśliwić trudno?» Taka odpowiedź maluje nam dostatecznie, jak wysoko pojmovano zadania i obowiązki rządu ówczesnego polskiego.

Gdy zaś przypatrzymy się społeczeństwu polskiemu z epok XV i XVI stulecia, to zauważymy ogólne zadowolenie z ówczesnego stanu rzeczy. Ergo, stan ów w zupełności odpowiadał pojęciom i potrzebom ówczesnym, o co tak trudno obecnie wśród europejskich społeczeństw. Bo zauważymy w owych wiekach szczęście z wolności i spokoju, szczęście z dostatków, porządku, wykształcenia i umoralnienia, jakiegobyśmy napróżno szukali wówczas u ościennych Europy państw. Widzimy, że szlachectwo dowodziło się nie tylko urodzeniem, ale i życiem jednostki, ale i zasługą dla Ojczyzny. »Przodkowie, gdyby nie odznaczyli się świetnymi sprawami nie byłiby szlachcicami«, mówi kronikarz Kadłubek. Przeważała w myśl tej zasady i tej zachęty, ludzie niskiego stanu zasługą własną i pracą, i zdolnościami, dochodzili do sławy i znaczenia, a kraj miał w nich nowych obrońców, nowych pomocników w swej pracy dla potęgi i chwały Ojczyzny.

Niższe stany nie mogły wówczas bardzo narzekać na ucisk, lub złe prawa. Oto, mieszczanie rządili się po większej części tak zwanem, prawem magdeburskiem, to jest, mieli swój odrębny ustrój, swe prawa i swój sąd. Samorząd ów miał zakres bardzo rozległy i zabezpieczający od ucisku i wtrącania się szlachty do gospodarki i sądów mieszczańskich. Zdarzały się nawet wypadki, iż »łyckowie« butnie stawali przeciw zarządzeniom rządu koronnego, butnie obstawali za swymi wolnościami. Drogi handlowe były spokojne do tego stopnia od łupieżców, iż obcokrajowcy zdumiewali się i nieraz wyrażali głośno swój podziw. Handel i rękodzielnictwo, wszelkiego rodzaju rzemiosła, nie tylko nie miały przeszkód, lecz przeciwnie, otaczano wielką pieczołowitością i zachętą. Kmiecie mieli

również swe prawa, które ich broniły od ucisku panów, posiadali ziemię dziedzicznie, będąc obowiązani do pewnych tylko opłat w naturze. W czasie tylko przechodów wojska, przy wybieraniu tak zwanej »kwarty«, bywali niekiedy narażani na swawolę szlachecką. Gdy panowie walczyli się między sobą, jeden drugiemu »wyplukiwał« włości, kmięć ponosił straty i szturchańce«. Ale i w takich wypadkach nie pozostawali bez wynagrodzenia i sądu. Dopiero Statut Zygmunta I-go z 1520 roku obowiązywał kmiecia, posiadającego włókę gruntu, do jednego dnia w tygodniu pańszczyzny. Aż w późniejszych czasach, czasach zepsucia, zaczęto naprawdę uciskać kmieci. I Piotr Skarga surowo to w swych kazaniach sejmowych wypomina szlachcie. Nasz Kromer świadczy: »...miasta zamożne, ludne, bogate przemysłem, uczciwość kupiecka ściśle obwarowana prawem chrześcijańskim, znana i wielbiona nawet przez obce narody; życie rodzinne kwitło, niewiasty były cnotliwe i gospodarne«.

Wielu historyków polskich za ostateczną przyczynę nieszczęść i utratę bytu politycznego uważa przemoc zewnętrzną i przewrotność sąsiadów. Jednakże, jak to już powiedzieliśmy wyżej, nie uważamy tego za ostateczny powód. Również mylnem jest przekonanie, żeśmy nie mieli potrzebnych sił dla odparcia najeźdźców i stosownych granic, jakoby. Oto w tej kwestyi zdanie historyka Bobrzyńskiego: »Nie było państwa w Europie, na któreby w nowszych czasach, w ogólnej walce o byt, nie sprzysięgali się sąsiedzi, na któreby groźnych ze wszystkich stron nie wyprawiali zastępów, a jednak, drobne nawet stosunkowo narody, zdołały się utrzymać i wyjść z tej walki zwycięsko. Myśmy, kiedy nas rozbierali sąsiedzi, od żadnego z nich ani obszarem kraju, ani liczbą ludności, ani inteligencją nie byli niestosunkowo słabsi, każdego nawet, jeśli nie w jednym, to w drugim przewyższaliśmy kierunko, a jednak, myśmy jedni, i to bez walki prawdziwej, na jaką by nas stać było, upadli!«... »...Wystąpiła Polska na wi-

downię nowożytnych dziejów z wielkiem zadaniem na zewnątrz, ze złamaniami lepiej, niż w wielu innych państwach, przywilejami średniowiecznych stanów; ze wzbudzonym w szlachcie poczuciem obywatelstwa, z wyrobionymi pojęciami i urządzeniami samorządu i politycznej swobody. Nakoniec ze zdrowym zawiązkiem silnej rządowej monarchicznej władzy. Nad zbudowaniem tej władzy długo pracowały społecznosci narody i dopięły tego ostatecznie wśród wielkich dopiero przewrotów — wśród krwawych walk«... W innym zaś miejscu mówi: »...jakikolwiek byśmy dzisiaj naszego upadku wydobywali przyczyny, czy to ucisk ludu przez szlachtę, czy poniżenie miast, czy rozstrój moralny i przyćmienie intelligencji, wszystko to będą tylko podrzędne zjawiska, które gdzieindziej w gorszym nieraz występowały świetle, ale żadnego narodu nie przyprawiły o utratę politycznego bytu. Wszędzie bowiem gdzieindziej istniał rząd, który dostrzegłszy zło, prędzej lub później je naprawiał lub zmniejszał. U nas tylko jedynych brakło tego uzdrawiającego czynnika... jeśli więc przetrwawszy zwycięsko tyle wieków, z końcem XVIII wieku nie mogliśmy stawić czoła niebezpieczeństwu przychodzącemu z zewnątrz, to przyczyna tego jedyna tkwiła w naszym wewnętrznym nieładzie... Ci, którzy nas rozbięrali, w groźnej nieraz między sobą zostawali rosterce, niejeden byłby sam dopomógł, byleśmy i my nawzajem przeciw jego współzawodnikom, chociażby drobną mu pomoc przynieść chcieli. Udaremnialiśmy wezwania, bo taki był nasz wewnętrzny upadek i rozstrój — taka miara błędów i grzechów, które nas oślepiły... Mieliśmy, jak sądzi wielu historyków, najniekorzystniejsze położenie geograficzne, najniebezpieczniejsze sąsiedztwa. Czyż to niezawodna prawda? Nakreśliśmy jednak położenie nasze geograficzne w najczarniejszych barwach, to i tak nie przyznamy mu rozstrzygającego w dziejach naszych znaczenia. Czyż obronniejsze było położenie geograficzne Prus, które z kilku odzielonych od siebie obcemi państwami prowincyi skła-

dały się i wzrosły? Czy korzystniejszym było położenie Moskwy, zapomnianej zupełnie w pośrodku puszczy północnej Europy, otwartej na wszystkie strony napadom barbarzyńskiej dziczy? Czy więc Polska, oparta o góry sudeckie i karpackie, panująca i pośrednicząca między dwoma morzami: Bałtykiem i Czarnem, mogła na swe położenie geograficzne tak dalece się skarżyć, aby mu aż swój upadek przypisać? Czy wreszcie Polska średniowieczna w szczuplejszych i gorszych zamknięta granicach, groźniejszymi otoczona nieprzyjaciółmi, nie zdołała się utrzymać i granic swoich rozszerzać!... Pokazuje się, że zagłada nasza polityczna, w dziejach nowożytnych narodów bezprzykładna jedyna nastąpić mogła tylko po całym szeregu błędów, po długim gwałceniu tych wyższych praw, które Bóg narodom dla ich życia i rozwoju przypisał».

Jakżeż wzniosła myśl zawiera się w tych ostatnich słowach tego męża nauki, jakżeż wielka prawda z nich tryska! Bóg dał narodom swe prawa, wyższe ponad wszystkie ludzkie, te prawa są życiem i rozwojem. Naród, który te prawa gwałci, zginie wcześniej, czy później. Konanie takiego narodu może trwać i kilka wieków, zależy to od zbiegu wypadków politycznych. A czasem silna budowa jego organizacyi wewnętrznej pozwala mu długo zmagać się ze śmiercią. Głupi, chwilową ulgę poczytuje za uzdrowienie, mądry nie łudzi się, szuka lekarstwa, a znalazłszy przyjmuje, choćby ono było bardzo niemiłe. Ludy, by zostać narodem, być powołanemi do życia, kształtować się, rozwinać, jak każda roślina, muszą mieć swe słońce, któreby im przyświecało, któreby je zbudziwszy, utrzymało przy życiu. Im więcej to słońce narodu posiada życiodawczych sił, im ono jest trwalsze i potężniejsze, tem naród potężniejszy, tem kres jego dłuższy. Jakież słońce dla naszego narodu, jeśli nie słońce prawdy Bożej, którą sam Chrystus objawił, mieć może więcej warunków dla nas niezbędnych? Stąd to, naród chrześcijański, w pełnem znaczeniu tego wyrazu, nie ginie! Bo jeśli wyrósł na gruncie



chrystyanizmu, jeśli na tymże gruncie rozwinął się i wzniósł swą cywilizację, to ma i swoją historię opatrnościową. Napozór wiele ludów ochrzczonych stopniało, znikło, zlało się z innymi, lecz to były materyały dopiero dla utworzenia narodu, lub bryły skaliste, bezkształtne, na których ziarno Boże nie rozwinęło się. Darmo szukać w historii przykładu narodowości, na chrześcijańskim gruncie wyrosłej, któraby zginęła; a fakta stwierdzają, że narodowości chrześcijańskie są nie do zniszczenia; gdy nawet byt polityczny ginie, one zostają o tyle od tego bytu silniejsze, o ile istota duchowa trwalszą od ciała.

Tak! I dlatego to nasi wrogowie z całą siłą i zajądłością biją zewsząd w tę istotę naszego ducha. Ducha zatruć! — to ich zadanie. A duch zatruwać należy właśnie u młodzieży uczącej się, by nie przeistoczyła się w »aniołów« Słowackiego. A ponieważ organizm Polski i jej kultura powstały, wyrosły i rozwinęły się na łonie katolicyzmu, więc w pierwszym rzędzie — precz z katolicyzmem! Prawdopodobnie zrobionoby nam pewne ustępstwa, nawet językowe, szkolne, nawet do pewnego stopnia i narodowe, gdybyśmy się chcieli wyrzec wiary przodków, gdybyśmy zerwali z katolicyzmem. Nawet i nie z katolicyzmem co do form i zwyczajów, ale, i to najgłówniej — z Rzymem, z Papieżem! Ale dla czego, dla czego? Boby naród polski oderwany od łona katolickiego, do którego przyrósł duszą swą, swem ciałem i swemi kośćmi, przedstawiałby jedną wielką ranę, ociekającą, żywą, purpurową krwią, gorącą aż dymiącą! Bo potworzyłyby się olbrzymie wrzody, cuchnące stęchłą ropą! Bo naród w krótkim czasie stałby się trupem, bez krwi, bez mózgu, bez ducha! Trupem gnijącym, zdała cuchnącym! Katolicyzm — to siła narodu polskiego, siła życia jego. Z tej wiary czerpał i czerpie wciąż wszystkie swe żywotne siły, ta wiara ojców właśnie nie daje mu skonać. Owszem, przy pewnych warunkach, przy pewnych koniunkturach politycznych, może powstać do życia samodzielne, może stać

się wielkim groźnym nawet. Bo dzięki tej właśnie sile duchowej, choć już przyduszony, związany w łańcuchy moskiewskie i bismarckowskie, wszystkie jednak organy tego, ducha polskiego tylko omdlały, skonać — nie mogą! Nie mogą! Są omdlałe z bólu, z katowań, z upustu krwi — lecz niezniszczalne! Nieśmiertelne aż po koniec świata! Podciąć więc te węzły wszystkie, w których krążą soki życia ducha z pnia macierzystego! Podciąć je, ponieważ samego pnia zrąbać niepodobna! A więc, niech młodzież polska staje się bezwyznaniową, niech z niej wylęgna się »nihilisty« nawet, taka będzie lepszym materiałem do obruszczenia i powolności dla caratu. Bezwiara i ignorancja przeszłości narodowej — zrobią to, czego nie zrobiły sto lat prześladowań, czego nie mogły zrobić tortury, ni Sybiry, czego nie zrobił Murawjew, ni Bismark. Dalej więc młodzi polska, pomagaj wrogom! Wiara twych naddziadów, to stary przesąd, stare rupiecie twych bohaterów narodowych; tradycje i przeszłość Polski, to również balast niepotrzebny, który nic dobrego, nic pięknego w sobie nie zawiera, a język ojczysty — barbarzyński, dobry dla pospólstwa! Dlatego to właśnie dobrodzieje zabraniają ci tego wszystkiego z miłości ku tobie, dlatego to — nie wolno ci! Zrozum to raz przecie!

Bóg, gdy chce ukarać człowieka, czy też cały naród, odbiera mu jasne widzenie rzeczy. Wszystko, co czyni zda mu się dobrem i mądrym, a jednak wszystko czyni na swą zgubę, której nie widzi i nie rozumie. Tak ukaraną została Polska. Sprzeniewierzenie się wierze ojców, odstąpienie od niej, było tem właśnie źródłem wszelkiej demoralizacji, przekupstwa, zdrady, sobkowstwa, zaślepienia i bezradności w ciężkich chwilach. Cośmy rozumieeli — źleśmy rozumieeli; cośmy czynili — źleśmy czynili; czegośmy chcieli — źleśmy chcieli! Taką karę zsyła Bóg już i na naszych wrogów. Zaślepieni swą potęgą i dumą narodową, chcą tylko użyć, ile się da. Bóg dla nich — to jakaś tylko figura rządowa, konieczna tylko dla tłumów

bezmyślnych; wiara, religia — to tylko sposób, przy pomocy którego trzyma się bezmyślnych w wierności dla rządu, dla czynowników. Jest to rodzaj »knuta« moralnego dla mas. A wskutek tego: przekupstwa i zdzierstwa, tyrania i zdrada, wszelka demoralizacja, jak robak toczy i zatruwa ich społeczność. Polityka ich daje im tylko chwilowe tryumfy, którymi do czasu upojeni, nie widzą przepaści, otwierającej się coraz bardziej i szerzej pod ich nogami. Wcześniej czy później — zguba ich czeka i klątwa Boża i wzdarda ludzkości.

Patrząc z retrospektywnego punktu na przeszłość ludzkości, na jej pochód życiowego rozwoju od czasów zamierzchłych aż do dziś; patrząc na to okiem bezstronnego badacza; na te ciągłe walki, szamotania się, namiętności i zboczenia, błędy i grzechy tej ludzkości; przebiegłszy te wszystkie drogi, szczyty i niziny razem z nią i porównywując te wysiłki z rezultatami osiągniętymi, przychodzi się do przekonania, że całą tą pracą ludzkości i jej wysiłkami kieruje jakaś niewidzialna a wszechmocna ręka. Przychodzi badacz bezstronny i sumienny do przekonania, że ludzkość w swych poszczególnych częściach, rasach i narodach, chodząc po rozmaitych drogach i manowcach, błądząc, upadając, podnosząc się, kalecząc się o przeszkody, ginąc nawet w swych minimalnych grupach i poszczególnych częściach, idzie, musi iść, chcąc nie chcąc, po drodze, a raczej wyjść na drogę, wytkniętą jej, ludzkości, przez tę wszechmocną rękę. Przyjść musi do rozumienia, że ta ręka niewidzialna, a wszechpotężna, jakbyśmy ją nie nazwali: Opatrznością, czy Nemezys, czy Fatum wreszcie, umie błędy, głupotę, rozpasanie namiętności, dzikość, wycie z boleści podbitych, jak i radosne »hurra« zwycięzców, wszystko, ale to wszystko, obrócić z czasem i w czasie na korzyść swej myśli wiekuistej i twórczej, na korzyść celu, do którego tę ludzkość szamoczącą się prowadzi. I, jak widzimy we wszechświecie, w kosmosie, gdzie każdy listek ma swoją odrębną formę,

skład i kolor, aż do planet i gwiazd tak rozmaitych i tak różny dających połysk światel; a jednak ta różnorodność w poszczególnych swych częściach, różnorodność aż do natury każdego atomu, każdego molekuly, tworzy jedną harmonijną całość; tak również i wśród ludzkości taż sama niewidzialna, a wszechmocna ręka, zbiera poszczególne tony, wiąże je w akord, by stały się jedną wielką harmonią i w czasie i w przestrzeni wieków, w ogólnej harmonii wszechbytów wszechświata. A że ta ręka wszechmocna nadająca obrót wszechrzeczy stosownie do swej myśli, musi być zatem ręką Istoty Najwyższej i Najdoskonalszej, a tak wysokiej i tak doskonałej, iż żadna istota ludzka nie może Jej nietylko zrozumieć, lecz nawet pomysleć o Niej, chyba odczuć w swej duszy; jak i mucha efemereida nie jest w stanie zrozumieć człowieka i jego pracy ciągłości; więc też i cel, do którego ta ręka prowadzi ludzkość, cel wymykający się poznawaniu człowieka, musi być godny Jej. Celem takim, o ile człowiek jest w stanie swymi zmysłami niedoskonałymi plastycznie określić, zmateryalizować w słowie również niedoskonałem, a raczej odczuć chyba; jest to ogólne, prawdziwe, ewangeliczne, braterstwo ludów, zdążające ku najwyższej harmonii Dobra i Piękna w Najwyższej Mądrości i Najwyższej Miłości niewidzialnej i niepojętej Istoty. —

Twierdzenie, że człowiek kopalniany, jaskiniowy, jest pierwotnym, wydaje się nam problematycznym. Bo i cóż nas do takiego twierdzenia upoważnia? To, że wcześniejszego, bardziej pierwotnego, śladów i szczątków nie znaleziono? To jeszcze nie rozwiązuje wątpliwości twierdzenia. Katakлизmy mogły być tak straszne i tak ogólne, że wszelkie ślady przedkopalnianych wieków mogły ze szczętem zaginać. Może i są gdzie, lecz jeszcze nie odkryte. Przecież, nim zobaczono kopalnianego, a nie są to wcale odległe chwile, rozumiano, iż innego typu człowieka nad ogólnie i powszechnie znanego nie było i być nie mogło. Gdyby obecnie możliwem było szukanie śladów życia na

księżycu, to wskutek strasznych kataklizmów tego planety jakie przeszedł, nie odnalezionoby napewno czegoś pewniejszego pod tym względem. A więc człowiek, wystraszony strasznymi przewrotami w naturze i postawiony wśród warunków rozpaczliwych i długotrwałych, mógł zdziczeć i stopniowo zezwierzęcić nawet. Nam się zdaje, że ludzkość pierwotna musiała być bardzo mądra, bardzo wzniosła i duchem, i czuciem; musiała ona bieglej od nas czytać w księdze przyrody, rozumieć ją, znać jej tajniki i mieć tyle siły, tyle ducha, by nawet po dojściu aż do stanu zwierzęcego, mógł się dźwignąć i stopniowo się podnieść na nowo do człowieczeństwa. Geniusz ludzkości nie przestawał istnieć w ciągu długich epok jej degeneracyi. Z połamaniami skrzydły i poraniony, był tylko uspio-nym w ciągu całych tych epok nieprzyjaznych warunków. I w miarę uspokojenia się wybuchów przewrotowych, w miarę ustalenia się warunków bytu, lub przystosowywania się do nich człowieka, geniusz stopniowo i powoli bardzo budził się z odrętwienia, począł się odradzać w późniejszych rasach i narodach. Już to samo, że człowiek po tylu kataklizmach naszej ziemi mógł się zachować, że, będąc bezbronnym, mógł jednak walczyć zwycięzko o swe istnienie ze zwierzem dzikiem, z żywiołami natury i zachować swój gatunek, gdy wiele ze zwierzęcych, bardziej do walki uzdolnionych, zaginęło; utwierdza nas w domniemaniu, że typ kopalniany człowieka był tylko przejściowym zdegenerowanej ludzkości, której geniusz potężny podnosić znów począł poszczególne jej odłamy, przechodząc od jednych ras do drugich w ciągu wieków i epok całych. Przypatrzmy się wiekom bliższym stosunkowo naszej epoce rozwoju człowieczeństwa, a jednak tak dalekim, tak zamierzchłym, że historia tylko nam coś niecoś może o nich powiedzieć i to nie dokładnie. Z tych jednak oderwanych kartek życia ludzkości, luźnych, nie pełnych, nie związanych z sobą jakimś ciągiem, da się łatwo zauważyć: Że geniusz zużywszy siły jednej rasy,

czy narodu, doprowadziwszy go do możliwych wysiłków, do jakich tylko był zdolnym ów naród, porzuca go następnie, jak wyciśniętą cytrynę, bez żalu i odradza się na nowo w innym. Odradza się znów młodym, rzeźkim i silnym, by znów o jeden stopień rozwoju podnieść wyżej ludzkość. Chiny, Chaldea, Babilonia, Assyrya, Persya, Indyje, Egipt, Grecya i tak dalej, dają nam tego dowody. Może być, że geniusz ten ludzkości, doszedłszy do najwyższych wysiłków u nas, w Europie, znów kiedyś wróci do swojej pierwotnej kolebki. Ale już znajdzie tam dawne, choć nieco pomięte, stare swe podścielisko. I połączywszy najwyższy rozwój kultury europejskiej z tą dawniejszą, wytworzy jeszcze coś doskonalszego, będzie znów dawną drogę odbywał i znów zapomniane ludy budził do życia pod inną formą, inną postacią i w innych warunkach nie przeczuwanych nawet dziś. A u nas, w Europie? Oto Grecya odegrała swoją rolę na arenie starego świata; po niej stara Roma, następnie potężne jej konary — narody romańskie. Obecnie germańska i anglo-saksońska rasa bodaj, czy nie dośpiwują ostatnich aktów i scen. Przychodzi kolej na Słowian. Widzimy już, że wśród nich coś się przygotowuje. Zjawiają się jakieś bóle i wstrząśnienia, jakby porodu jakiego zapowiedź. Narodowości podnoszą głowę. Narody mało znane, mało narodowo uświadomione, budzą się z letargu wieków. Patrzymy na Bałkany, Dunaj, Czechy... Podnosi się to z upadku, zapomnienia, ze snu. Myśli biegną, elektryzują. Niby nadzieja jakaś daleka jeszcze, daleka, nie jasna, nie obleczone jeszcze w jakąś formę pozytywną, jeszcze mgława, jednak poczyna w serca obumarłe wstępować. Jak senna wizya nie określona, a miła, choć we śnie człowiekowi daje ukojenie tymczasem. Lecz wizya ta w nowszych czasach staje się bardziej trwała, choć jeszcze do przyszłości należy. Są jednak rozmaite już oznaki, że może przyobledz się w ciało i życia nabrać. A że zapłodnienie narodów i narodziny geniusza ludzkości przychodzi wśród wielkich wstrząśnień

społecznych i narodowych, wśród szeregu kataklizmów państwowych, że nieraz na krwią zbryzganej pościeli on się rodzi, przy świetle łuny pożarów, szczęku orężnych kapeli i huku armat, jakby na wiwat; więc i u nas, wśród ludów słowiańskich, dają się zauważyć dziś już te pierwsze, przygotowawcze bóle takiego porodu. Tak, bez wątpienia! Przyszła kolej na słowiańszczyznę odegrać swą rolę dziejową na wszechświatowej arenie. Geniusz ludzkości na łożu słowiańszczyzny i wśród słowiańszczyzny ma się rodzić. Tak! Narodzi się wielki, silny, potężny, z olbrzymią gwiazdą na czole i płomieniem miłości w sercu, który ogarnie ludzkość całą!

Wyszędłszy z Illiryjskich i naddunajskich krajów, słowianie rozeszli się szeroko po świecie. Zajęli wschodnio-środkową część Europy aż ku jej brzegom bałtyckim. Część plemion popłynęła rzeką następnie ku zachodowi po Łabę i Ren, część zwróciła się ku wschodowi i zajęła wielką płaszczynę. Różne losy tych szczepów słowiańskich i różni warunki ich życia wpływały na zatarcie cech wspólnych i zerwanie wspólności plemiennych. Szczepy najbardziej na zachód lub południe Europy wysunięte utraciły najpierw swą niezależność i najprędzej dały się wynarodowić. Nawet imię wielu z nich zaginęło. Ci zaś, którzy obsiedli wielką wschodnią równinę, podzieleni na wielką ilość plemion niezależnych, rządzących się prawem li tylko zwyczajowem, mniej lub więcej różnym, przez długi, bardzo długi czas, nie mogli się zorganizować w jakąś całość. Polanie z nad Wisły i Lechyci pod naciskiem wrogów, w szczególności Niemców, pierwsi poczęli łączyć się z sobą i zaprowadzać prawno-państwowy ustrój, zapożyczając wzór od Niemców przeciw tymże Niemcom. Wskutek tego i kultura zawitała do Słowian z nad Wisły wcześniej, niż do innych współplemieńców. Tym sposobem, na zachodniej części tej wielkiej płaszczyny powstało wielkie i bitne, a sławne swego czasu, mocarstwo Królestwa Polskiego, jednoczące w sobie rozmaite szczepy



w jedną słowiańską całość. Z drugiej znów strony, o wiele później, we wschodnio-północnej części owej płaszczyzny, powstaje drugie mocarstwo słowiańskie, jednoczące również w sobie bliższe i pokrewne mu szczepy. Szkoda jednak powstała nie powetowana do dziś, że ono w zawiązku swym zaraz, wskutek najścia Mongołów, nietylko zostało powstrzymane w biegu swego naturalnego rozwoju w ciągu prawie trzech wieków, ale co gorsza, że wskutek tak długiej i uciążliwej niewoli, przyjęło i wchłonęło w siebie dużo z obcego żywiołu. Nawet po wydobyciu się z niewoli zatrzymało w sobie ten żywioł, naśladowało obce pojęcia, obyczaje, naturę i ustrój państwowy. Naród słowiański w ciągu tych kilku wieków przywykł do życia niewolniczego, a i krwi mongolskiej nie mało wchłaniał, już nawet po kompletnem uniezależnieniu się. Przyłączenie carstwa kazańskiego i Kipczaku wzmożło tylko pierwiastki obce i niepożądane dla natury słowiańskiej. Książęta-carowie panowali i rządzili na wzór chanów-carów tatarskich, starali się ich we wszystkim imitować, niemając w pobliżu innych wzorów do naśladowania. Nawet sam tytuł cara nie jest słowiański na równie z »nagajką«.

Według planów tej wszechmocnej ręki, która ludzkość prowadzi wciąż do swego zamierzonego celu drogą ewolucyi życiowej, ta ludzkość, nie przestając się składać z poszczególnych i odrębnych swych składników, musi przybrać cechę całości, musi stać się jedną wielką rodziną wcześniej, później. Jej geniusz, z gwiazdą Bożą u czoła i duchem promienistym, znajdzie sposoby i środki ku temu. Ni góry, ni morza, ni odległości, ni rasy; ni cywilizacya, ni barbarzyństwo; ni racya stanu i »status quo«, ni pojęcie państwowości — siły fizycznej; ni bezbronność narodów wobec ucisku najeźdców, nie są przeszkodą w przestrzeni wieków dla tego wielkiego ducha, z iskry Bożej przed wieki zrodzonego, a któremu imię — geniusz ludzkości!



Gdy więc obie części obszaru wielkiej europejskiej płaszczyzny już przedstawiały dwie większe całości plemienne, powinny były one zlać się w jedną plemienną rodzinę. Do tego prowadził geniusz ludzkości, tego wymagała Opatrzność. Polska pod każdym względem wyprzedzała »Wielikoję Kniażestwo Moskowskoje«. Siła, bogactwo i sława szły w Polsce w parze z kulturą i wolnością narodu. Gdy zatem Opatrzność dała Polsce więcej, niż pokrewnemu moskiewskiemu państwu; gdy też Opatrzność wyniosła Polskę po nad inne słowiańskie plemiona, powinna była Polska, obowiązana była spełnić swe posłannictwo dziejowe wśród Słowian. Obowiązana była dokonać wielkiego dzieła, poczynając od połączenia obu części wielkiej słowiańskiej równiny. Ona, jako starsza siostra, mogła z siostrzaną miłością wnieść wolność i światło cywilizacyi do tych mas narodów słowiańskich zdziczałych, ciemnych jak noc i nieszczęśliwych, jak tylko może być nieszczęsnym niewolnik pod tyrańskim, a krwawym rządem swych kniaziów-carów. Podejmowała Polska w rozmaitych czasach spełnienie tego wielkiego dzieła, lecz podejmowała tak lekceważąco, niedbale i bez zrozumienia całej doniosłości tej sprawy, że próby te niedołęzne mogły tylko rozjątrzyć i raczej nienawiść wzbudzić w sercach nieszczęsnych, niewolniczych massach narodu moskiewskiego. Nemezys dziejowa srogo zemściła się nad Polską za niewykonanie jej myśli i planów. Ów naród północnych braci, wzmógłszy się na siłach i upatrzwszy stosowną porę, najechał Polskę wraz z odwiecznym wrogiem słowiańszczyzny i podzielił się po bratersku — z Niemcem! Naród więc rosyjski spełnił do pewnego stopnia misję, włożoną niegdyś na Polskę. Ale wypełnił ją tylko częściowo i źle. Nie miłość i wolność, lecz nienawiść i despotyzm; nie światło, lecz ciemność barbarzyństwa wnosi z sobą. Gdzie stąpi, tam łzy i krew z pod jego stóp wytryskują; gdy mówi, kłamstwo mówi; gdy uczy, fałszu uczy i bluźnierstw! Taki naród, taki rząd, a rząd taki jaki naród,

z łona którego wychodzi. Nie może on mieć posłannictwa dziejowego, bo duch chrystyanizmu nie przeniknął jego duszy zbiorowej, Opatrzność nie namaściła go »olejkiem łaskawości«. Tylko podścieliskiem być może celów Opatrzności po odegraniu swej roli »bicza Bożego« za grzechy nasze i ojców naszych.

Grzechy to narodu polskiego sprawiły, że nie wypełnił swej misji swego czasu. Sprzeniewierzenie się ojców wierze przyniosło karę ciężką, karę, która wszędzie i we wszystkim wyciska swe piętno. We wszystkie istnienia ducha narodowego, we wszystkie jego cieśnie wciska się i boleśnie odczuć się zmusza. Gdy więc tak strasznie cierpi naród polski, gdy każdy z nas już od kołyski prawie nosi na sobie i w sobie piętno tej kary przez całe jak długie życie; następuje zatem pytanie: czy zrozumienie błędów i grzechów narodowych, politycznych i społecznych, względem Boga naszego i Ojczyzny naszej, a szczerą chęć poprawy i odrodzenia się, czy to wszystko nie prześląga Tego, któremu we wszystkim sprzeniewierzyliśmy się? Wątpić o tem byłoby nie tylko nie po chrześcijańsku, lecz i nie rozumnie. Opatrzność karze za wykroczenia, lecz w mądrości swej potrafi wszystko obrócić na korzyść swego celu. Naród polski wybrany przez Opatrzność z całej plejady słowiańskich plemion, otoczony od kolebki jej potężną opieką, z niemowlęctwa wyrósł, zmężniał, okrył się sławą wszechświatowego rozgłosu; również ponosi klęski i cierpienia wszechświatowego rozgłosu za sprzeniewierzenie się swemu Bogu, któremu trzykroć poprzysiągł wiarę i posłuszeństwo. Lecz jeśli ten naród w cierpieniach i klęskach oczyścił się, jak się oczyszcza bryła świetnego kruszcu w ogniu, uznał swe błędy i grzechy, przeto wróci ku łasce i miłosierdziu swego Boga. A zahartowany cierpieniem ducha i ciała, silnym się stanie i duchem i ciałem, a ponieważ sam najbardziej cierpiał, odczuje i zrozumie cierpienia innych. Tedy taki naród, naród który nie tylko nie uronił nic ze swego indy-

widualnego narodowego ducha, lecz go rozwinął i bardziej streścił siły jego istoty poprzez tamy i przeszkody niewoli srogiej, zniknąć w tłumie innych nie może, musi iść dalej, musi być narzędziem ręki wszechmocnej i spełnić zaczęte, a nie dokończone posłannictwo swe.

By jaśniej oczom duszy naszej przedstawić dary otrzymane od Boga i obowiązki, jakie nasz naród zaciągnął względem Niego, musimy przejrzeć choć pobieżnie główne wypadki polityczne życia naszego historycznego. Łatwiej nam będzie takim sposobem poznać nasze błędy i grzechy narodowe, zrozumieć konieczność nieuniknioną kary, jako następstwo. Łatwiej zrozumieć będzie można i konieczność naszego państwowego odrodzenia po odrodzeniu się w duchu i prawdzie.

Lehici kochali się w baśniach i legędach. Częstoż prawdy życiowe, lub wypadki narodowe przechowywali z pokolenia w pokolenie w tej właśnie formie fantastycznej i barwnej. Interesującym więc będzie i nie bez korzyści dla naszego zadania, rozpocząć nasz przegląd od przypomnienia, przynajmniej niektórych, ciekawszych zażytków tego rodzaju z zamierzchłej przeszłości. Z epoki przyjęcia chrześcijaństwa największa obfitość tego rodzaju pomników ludowych. Przejdźmy się więc cokolwiek po tych polach legendarnych, one powinny do nas przemówić, bo bo to pola rodzime, swoje, a takie serdeczne!



KSIEGA I.  
LEGENDY I PODANIA LUDOWE.

DUCH OPIEKUŃCZY.

Wśród przestworów bezbrzeżnych wszechświatów, na tronie z błyskawic, tęczy, promieni słońc niezliczonych, w błękitie wszechmocy, w purpurze miłości, w złocistej mądrości koronie, a srebrzystem w prawicy berłem sprawiedliwości, zasiadł Najwyższy. Zastępy duchów, mieszkańcy wszechświatów i wszystkie słońca, i wszystkie światy, i świata każdego istnienia, łączą swe tchnienie w jedno wielkie tchnienie — tchnienie wszechświata! I głosem wielkim od krańców do krańców »Hossanna! Hossanna! Hossanna!« wołają po trzykroć. Aż światy zadrząły, jak liście olchowe, aż słońca przybladły ze wzruszeń miłości ku Panu, aż duchy się schyliły, jak nasze pszenne kłosa, objęte rozkoszą widzenia. W tem, skinął Najwyższy. I każdy z duchów, oddając pokłon na kręgach świetlanych, świadectwa składał o znanych mu światach. A gdy już w kolej wszyscy duchowie odbyli swe sprawy, jeden tylko nieśmiały, w postawie drżącej, łzami zalany, nie rzekł i słowa. Lecz Stwórca nań skinął: »Mów! ktoś ty i jakie sprawy przynosisz?« — »Oh! Panie!«... I na twarz pada przed stopnie tronu i we łzach się kąpie gorących. — »Oh! Panie! Jam była ziemi mieszkanka, a ród mój ze Słowian. Jam z brzegów Wisły, Polanie mój naród. A wzięta byłam w niewolę do grodu wiecznego, gdzie już znak Twój święty wielu uznało. I jam uznała i życie zań dałam. Dziś,

błagam Cię, Panie, daj łaskę Twą mym braciom i ziemi  
 ojczyźnej! Pozwól, oh, Panie Najwyższy! by Cię poznali  
 i serca swe Tobie oddali!« Tak ów duch czysty modlił  
 i płakał. Pan, Stwórca wszechrzeczy, spojrział łaskawie na  
 ducha drżącego, spojrział na ziemię, spojrział na Wisłę  
 i wzrokiem swym trącił w naród Lechitów. Spojrzenie to  
 było, jako błyskawicy światło, a jako tęcza stubarwnej  
 piękności. Ziemia zadrżała, radości pełna, a serca ludu  
 w rzewności się topiły. I znak na niebie, niewidziany  
 przedtem, pociągnął oczy ku sobie. I naród Lechitów ugiął  
 kolana, w podziwiew czoła pochylił i oddał pokłon. A Pan  
 rzekł wtedy gromem, co światy zatrząsł: «Niech się stanie  
 jako chcesz! Wróc na twą ziemię i zanieś twym braciom  
 mą Wolę! Niech mi serca swe oddadzą i wierni mi będą!  
 A ty strzedz ich będziesz z pokolenia w pokolenia! A gdy  
 miłymi mi się staną, uczynię z nich narzędzie myśli mej  
 wiekuistej. Ramię moje wesprze ich w uciskach i niedoli.  
 A że widzę biel twą i purpurę krwi, a wieniec męczeń-  
 stwa skroń twą oplata; niech więc ród twój w dostojęństwie  
 purpurę przyodzian będzie, a wieniec złocisty królewskość  
 znaczy na czole jego! Dusza zaś twych braci niech będzie  
 białą, jako szata twa! A gdy ogień prób nie ściemni ich  
 ducha i wierności, obietnicę dopełnię mą! Rzekłem!»

I oto duch biały dziewicy lechickiej w pokorze wy-  
 szeptał: »Oh! dzięki Ci, Panie Wiekuisty!«... I skrzydły  
 białemi zleciał nad Wisłę. Rozkoszą mu były niebiańskie  
 gody, z miłości ku braciom pozostał na ziemi. Uczył o Bogu  
 i strzegł ich wiary. Pocieszał w cierpieniach, z upadku pod-  
 nosił. Zdawał sprawę niebiosom i radę przynosił z tamtąd  
 niemylną... Tak z pokolenia w pokolenie, w coraz innych  
 postaciach duch dziewicy Lechitów żyć na ziemi ojczyźnej  
 nie przestaje. Pociesza w cierpieniach, z upadku podnosi  
 i daje nadzieję nie płonną, bo z niebios wziętą. Naród Le-  
 chitów wie o tem i dlatego swe niewiasty otacza czcią,  
 jakiej nie znaleźć u innych narodów.

## WANDA.

W ziemi Polan, nad brzegiem Wisły, stał się rozruch niemały. Oto naród ma obrać sobie Pana.

Do grodu więc Krakusa zewsząd tłumnie się zbierają.

A rojność-to, rojno! A bogato i strojnie w tej ziemi mlekiem i miodem płynącej! To też gwarno i bogato i strojnie było na zamku Krakusa, choć nie wesoło. Starsi mieli umysły zasepione, a oczy pełne zadumy. Niełatwa bo to rzecz po Krakusie wybór czynić! A któż mu dorówna? Kto może naród tak miłować, jak on i kto potrafi bronić, jak on?

Starsi w narodzie na Zamku radzili, a w gaju świętym grono ofiarników i wieszczów szukało natchnienia i znaku z niebios. Długo już, długo radzono i na zamku i w gaju, lecz nic nie uradzono. Znużenie w końcu i niepokój ogarnął wszystkich. Aż dnia jednego, najstarszy ofiarnik czynił ofiarę w świętym gaju, a lud mnogi patrzył i czekał w skupieniu wyroków. Nagle ofiarnik przywołał wieszczów, by znaki ofiary czytali. I wieszcz wyczytał: »Dziewica bogom w niemowlęctwie poślubiona, a z sercem gołębia, panować ma, a ona z liliją pierwsza zbliży się do ofiarnika«. W tejże chwili wyroki nieba całemu ludowi oznajmiono. Mężowie sarkacząc poczęli, wyrokom jednak nieba sprzeciwiać się niepodobna. A oto w tej chwili grono dziewcząt w bieli, z wieńcami na czołach i pieśnią na ustach nadchodzi powoli i stół ofiarny okrąży dokola po trzykroć. A gdy pieśń skończono w żałośnej nucie, jedna, cudnej piękności, z białą liliją u piersi, wybiega ze swego grona i do ofiarnika podchodzi, bo na nią dziś kolej była.

Lud oniemiał z podziwu i zdumienia. Była to córka Krakusa. I gromkie »witaj!« z tysięcy piersi wzbilo się wysoko i naród ruszył ku swej pani. Ona nie wiedząc nic jeszcze o wyrokach, również krzyknęła »witaj!« z innymi. Lecz, gdy lud cały przypadł do niej i cześć jej wyrządza,

ona zmieszana i drżąca, a jak bóstwo piękna, wyrzekła tylko: »Ach!« Bo oczy jej padły w głąb jej duszy czystej i w tej uroczystej chwili zajrzały pod rąbek zasłony, co kryje przyszłość nieznaną. Ah! więc ona wybranką z wyroków nieba i woli narodu? Ona, dziewica, ma odtąd rządzić krajem i narodem?... Jest wprawdzie córą Krakusa, lecz... I przez mgnienie jedno poczuła, że była kiedyś mieszkanką nieba, że wolę jego już kiedyś słyszała. »Ha!« myślała, wyrokom niebios sprzeciwić się niepodobna!«

Oh! biedna Wando! Ileż cierpień i zawodów cię czeka! Ileż nadziei twych będzie zmiętych i jako liść zeschły, rzucone na wiatr! Ileż łez zobaczysz i zechcesz je otrzeć, a nie otrzesz! Ile krwi przelanej twego narodu, tyleż mąk twemu sercu gołębia! A nie będziesz mogła nic uczynić! Ani szczęścia twemu ludowi nie dasz, ni miłości twe łono nie zazna!

Oh! nieszczęsna Wando! Byłaś przy ofiarach w gaju świętym, odtąd sama ofiarą będziesz całopalną! Ofiarą z uczuć twego gołębiego serca i ofiarą z życia twego! I przyjdzie wróg i pożądać będzie ciebie i twej ziemi. Wróg przyjdzie i ręce swe zbroczy we krwi twego narodu umiłowanego, a ziemię twą plugawić będzie swemi stopy i tchnieniem swem!

Oh! Wando nieszczęsna! Ty będziesz szukać w śmierci ocalenia, a Wisła cię przyjmie do łona swego, ale wróg ten przez wieki będzie pił krew twego narodu! Morze krwi i łez z niego wyleje, aż ziemi twej nie posiadzie i w okowy żelazne niewoli nie skuje! Wróg, nie tylko panem twej ziemi zechce być, lecz i duszę twego narodu na swe usługi mieć! Lecz, aby ją mieć — spodlić ją wpierw musi! Oh! Wando! Wando! Czyś to przeczuła, gdy wieniec spoczął złoty na twej skroni ślicznej? Oh! Wando! Ileż czuć żałosnych, ile myśli dusz smętnych poprzez wieki dążyć będzie ku Tobie! Oh! Wando! Lilio biała ziemicy polskiej!



## CHRZEST.

Na skraju wielkiej puszczy, Mieszko, pan tej puszczy i wszystkiej ziemi Lechitów, rozłożył się wielkim obozem. Jutro, o świcie mają być łowy, a wielkie łowy!

Wśród drużyny knezia nie widać jednak biesiady wesołej, gęśli nie grają, śpiew nie kołysze serca, dzbany z miodem prawie nietknięte.

Bo jakże ma być wesoło, a śpiew ma kołysać sercami, gdy mieciec ucztuje bezkarnie nad ciałami lechickich kneziów, których zdradziecko porzezał w świętej gościnie? Bo jakże mieć ochotę do miodu, gdy mieciec pije krew plemienia, pali grody i wsie? A jęk rzezanych braci, a płacze matek i sierót, snu nawet zażyć nie dają?

Oto noc już rozpięła się nad ziemią, noc łagodna i cicha, noc wiosny kraśnej, noc majowa; wszystko śpiewa, wszystko się cieszy: trawka, słowik, a na jeziorach rusalki swe korowody wywodzą. A w duszach drużyny Kneziowej smutek czarny, a w sercach zawziętość, chęć ucztu krwawej, kipi, wre, przelewa się. Wśród ciszy tej cudnej nocy słycać tylko ciężkie westchnienia piersi ugniecionej bólem, to uderzenie potężnej dłoni o głównię miecza, to przekleństwo potoki w stronę miełców...

Opodal, w namiocie kneziowskim, siedzi sam Kneź na ławie; obok, stół dębowy, na stole pozłocisty kubek i srebrny dzban z miodem. Czoło jego ogromne, szerokie, ciężka chmura obsiadła. Oczy szare to smutkiem się zamgła, to rzuca błyskawicę w dal. Długą swą gęstą brodę skręca dłonią i rozkręca, lub gryzie zębami. Bary jego potężne ledwie się mieszczą w obszernym łosiowym kaftanie. Od czasu do czasu zylastą pięścią uderzy po głównię miecza i duma... Biły od niego naprzemian to smutek bezbrzeżny, to groza straszna. Gdy brew zmarszczy, a czapkę kneziowską naciśnie, a błysnie oczami, to rzekłbyś, że gromy, jak Perkun, rzucać będzie garściami... Dumal Kneź i dumał, troską i bólem wściekłym spowity... Przez zęby

zaciśnięte wycedził: »miemcy, niemcy, zawsze niemcy!« Westchnął ciężko i znów zadumał się frasobliwie i głęboko.

Naraz, czapkę głębiej wmiesił, skry mu się posypały z ócz siwych, a wielka bruzda czoło mu przecięła. »Na Perkuna!« krzyknął gromowym głosem: »nie i nie! Abo ich zetrę i krwią ich se upiję, albo niech oni moją wyżłopia! Na Perkuna! Dość już tego!« I swoją mocarną pięścią w stół uderzył, a stół rozsypał się na trzaski. Wstał z miejsca, ława dębowa zatrzęsła się jak słomka... Wstał, wyprostował się dumnie, oczy mu pałały, oblicze nabrało wyrazu Perkuna, a cała postać jego zolbrzymiała. I stał, jak moczarny-olbrzym, co nosi w sobie siły narodu całego, co nosi w sobie przyszłość pokoleń i losy wieków jego!

I stał, jak ten, co czuje nie pohańbienie i śmierć, lecz moc i potęgę niezłomną! Stał wielki, chmurny, a potężny i groźny, oparty jedną ręką na ciężkim mieczu, pełen majestatu i jasności światowida! Pół bóg, pół człowiek! Stary łowczy kneziowski wszedł do namiotu. »Miłościwy Kneziu!...« I słowa mu zamarły na ustach ze zdumienia. Takim jeszcze nie widział swego Knezia, a znał go od pacholecia, zamilkł więc i czekał w podziwie. Po chwili dopiero Mieszko zauważył go i rzekł: »Nim zorza zejdzie, na łowy! trza nam spyży nie mało! I najrychlej!« Stary łowczy, sługa dotąd poufały, skłonił się nisko swemu panu i wyszedł nie rzekłszy. Drużyna obstała łowczego, pytając o rozkazy. Lecz ten wciąż powtarzał w zdumieniu: »No, no! no, no! jeszcze nie widział go takim! No, no! Gdy takim poprowadzi nas na miemców to, abo im, abo nam Marzanna zaśpiewa w same uszy!...«

Nim świtać zaczęło, już cała drużyna czekała na Pana. Niebo czyste, świeciło tysiącem błyszczących oczu migotliwych, woń balsamiczna rozlewała się w powietrzu, a od puszczy szedł powiew i jakiś pomruk niewyraźny i głuchy. Mieszko ukazał się. Szedł milczący, pochmurny, nie odpowiadał na ciche pozdrowienia. Stapał, jakby w upojeniu

i pełen dostojności. Dosiadł rumaka w milczeniu i dał znak pochodu. Zaledwie ujechano tysiąc kroków, gdy nagle jasność silna oślepiła wszystkich. Po chwili dopiero spojrzeć mogli w niebo. I niewidziane dziwy obaczyli: Oto, niebo całe, jak wielki łuk kreśliło, całe w jasności wielkiej, tysiącem barw się mieniło niewypowiedzianej piękności. Naraz, niebo otwarło się, aż do swych głębin niezmiernych w przestworzach górnych, nad całą ziemią Lechitów. I ukazał się wielki krzyż czerwony, a promienisty i całą tę ziemię, jakby objąć w swe ramiona chciał. A każda gwiazdka zmieniła się w aniołka, który migotał krzyżykiem z brylantów. Rumaki zarżały wszystkie razem i wspięły się dęba, a łbami ruszyły, jakby pokłon oddać chciały. Rycerstwo zdumione, w podziwie i strachu zarazem. A jednak, jakaś błogość dziwna, nie znana dotąd i słodycz bezmierna serca im zalewały. Mieszko również zdumiony, olśniony był. Spochmurniał jednak następnie jeszcze bardziej i cisnął przez zęby: »miemców znak!« Powoli jednak, nieznacznie i do jego serca wciskać się poczęła ta jakaś rzewność dziwna i ogólna, jakaś słodycz objęła go całego w swe niewidoczne, ciche ramiona, a miękkie i pieścotliwe. Wesoło mu się stało, troski znikły, aż raptem, niespodzianie i uśmiech serdeczny, jak czysty strumień, lunął z jego ust. Zdumiał się Mieszko sobie. »Co mi jest?« pyta siebie: »śmieję się, jak pachoł, co mi jest? Co to za czary to wszystko? Co mi jest? I dobrze mi, i lekko, i jakby frasobliwość wszelka ustąpiła, ustąpiła i zawziętość nawet, a jakaś pewność... no, no! dziw! dziw!... Aby nie miemcy... aby nie od nich... może, może...« A jasność na niebie trwała i trwała, a krzyż świecił i świecił, długo, długo... Już i pierwsze promienie słońca strzeliły w ziemię, a krzyż wciąż świecił. Już i słońce samo wstało, promienne, wesołe, niby rosę otrząsa z siebie, a krzyż tylko ściemniał cokolwiek. A słońce obaczywszy ten krzyż, padło mu do stóp swą głową płomienistą i swymi promieniami poczęło go pieścić, całować i radować się. W onejże

chwili owi aniołkowie z gwiazdek zsuwać się poczęli i jako mgła poranna, pokryli ziemię Lechitów. »Dziw! dziw! na świecie!«! wołała drużyna«.

Mieszko dał znak, że mówić chce. Drużyna obsta-piła go kołem. »Miemców to znak i miemców światowida. Pomnę, że mi ociec mówił, iż do oców mych, w dawnych barzo porach, przychodziły jakoweś anioły, czy bogi. Mó-wiły one o tym znaku, o światowidzie jakowymś innym, niż nasz. Mówiły, że to mocarny barzo i dobry. Były wtedy jakoweś dziwne postrzyżyny, bo te anioły wodę lały na głowę pacholika i wróżyły mu barzo dobre i na cały jego ród. Jeżeli nam tera ten miemców Światowid da pobić miemców i krwie ich napić se do syta, to nam po-każe, iż on barziej mocarny od naszego, i barziej do-bry. Bo ja nie lazę do miemców grodów, ni wsiów. Kcę na swoim siedzieć w pokoju, a oni lażą do nas ciągiem, iż to nie możem i odegnać se. Jeżeli te cudze bogi lepsze i barziej mocy mają, niż nasze, to uczcim je w przystoj-ności. Niech tylko pokażą tera! Niech pokażą! Bo nam żyć już nijak od miemców!... Tylko, iż od miemców one idą, tylko, iż od miemców trza ich brać!...« Na te słowa zbliżył się do Knezia młody Dobrogost i, skłoniwszy się do kolan, prosi o posłuchanie: »Miłościwy Kneziu! Iż od miemców żyć już nam nie lża, to kuźdy baczy; ale, Mi-łościwy Kneziu, po co nam od miemców wiarę brać, kie mamy pobratymców na Czechach, co mają tę wiarę, abo i lepszą? Od pobratymców brać, miłościwy Kneziu. Ja sam, miłościwy panie, se od nich brałem i wiarę i nie-wiastę, i dobre mi z tem. A na zamku widziałem córę ich knezia, Dąbrowką ją zwa. Ah! Panie miłościwy, co-byto była za niewiasta!...« — »Gładka mówisz?« i oczy Knezia zabłyśły. »Ano! obaczmy, obaczmy! A tera na łowy!« W tej chwili orzeł białości srebrzystej, niby obło-czek, spuścił się z wysokich błękitów, zawisł nad samą głową Knezia, zakrakał trzy razy, okrążył Kneziową głowę i wbił się prosto w słońce. »Dobre wróży«, krzyknęła

drużyna, »dobre wróżby niebo ci Kneziu zsyła! Musisz posłać dary do gaju świętego!« — »Nie!« odparł Mieszko, »to chyba nie od naszych bogów!« Kneź tej nocy zwątpił o mocy Światowida i Perkuna.

Dzień już trzeci słyhać z dala na polach lechickich wielki szum, trzask i łomot, dźwięk stali o stal. Dzień trzeci bój nie ustaje, bój straszny! na życie i śmierć! To Mieszko sparł się z miecem i nie ustępuje mu.

Prawie całe plemię Lechitów, z dalekich nawet stron, przyszło patrzeć na zmaganie się to straszne, przyszły nawet kobiety, dzieci, starcy, bo oczekują swego losu trwożni, niepewni i we łzach. Jedni ślą błogosławieństwa swoje i bogów rodzimych Mieszkowi, inni zaś, kłątwy i uroki wysyłają w stronę miecma znenawidzonego. Jeszcze inni, z młodzieży, prawie pacholeta, z rezolucją junacką lub rozpaczą w sercu o los swoich, wymykają się starcom i matkom, uciekają kupkami na pomoc swoim z ladajakim orężem. Ano, rozumiano dobrze, że gdyby Mieszko podał się na jedną piędź, jużby ocalenia nie było, a wtedy los ich wszystkich byłby straszny. Część z nich byłaby wyrzezaną, a część poszłaby w pęty na wieczną hańbę i poniewierkę, od której śmierć stokroć byłaby lepszą. Wsie zaś i grody w perzynęby obrócono, imię Lechitów szczyłoby w pamięci ludzkiej, a ziemię ich umiłowaną, świętą, splugawiłby mieciem niecnemi stopy na wieki. Losy ple-mienia, ziemi, pokoleń i czasów ważyły się na szali prze-znaczeń!

A tam w dali, łomot młotów o stalowe piersi miec-ców i swoich nie ustaje, rzekłbyś: »na cepisku nie byle kto wali!« Brzęk, świst mieczów i koncerzy, rzenie koni i kwik ich ugodzonych śmiertelnie, jęk rycerzy rannych i konających, trzask zakutych w stal ciał spadających i wrzask komendy, i wrzask zachęty — wszystko razem zmieszane, jedno o drugie się rozbija, ziemia jęczy, dudni, drzy! Istne piekło!

Nad wieczór dnia trzeciego, jakiś jezdny wyrwał się z tego piekła, pędzi co koń wyskoczy. Oto już bliżej i bliżej, już możnaby go rozpoznać. Oto już niedaleko. Zaraz będą wieści. Tłumy tysiączne, splakane zastępują mu drogę, serca w oczekiwaniu zamierają. Wtem, jedna z niewiast krzyknęła: »To mój Zachłystek!« Pachole nadbiegło ostatnim tchem. Z piersi obnażonej krew czerwona buchała gwałtownie, na ustach zapiekłych piana różowa. »Miemcy podają se na rzekę!« Krzyknął, z konia się zwałił i... skończył. Gwarno się zrobiło wśród tłumów na tę wieść. Matka rozepchnęła tłum, a ujrawszy syna, padła martwa obok. Boleści matki żadna wieść nie ukoi. Po pewnym czasie kilku już jezdnych wracało z pola bitwy. Jechali z trudnością. Głowy ich szmatami krwawymi owinięte, ale jeńców ciągnęli za sobą i konie zdobyczne. Tłum krzyknął: »Miemców prowadź!« I rozkołysał się na dobre... Niektórzy z tłumu wybiegli naprzeciw, by prędzej wieści swoim przynieść i przynieśli: »Miemcy precz za rzekę wyparci! Padło moc naszych, a i miemców tyleż!« I odtąd, co chwila jakaś grupka ludzi i pieszych i jezdnych wracała z bojowiska i wszyscy zgodnie tę wieść powtarzali, że miemców za rzekę wyparto. Radował się tłum, lecz nie czuł się jeszcze wolnym od trwogi. Bo chociaż miemców padło moc na bojowisku, chociaż i w rzece dużo ich znalazło śmierć, za rzeką jednak, stały jeszcze nietknięte hufce, oprócz ocalałych.

Zmierzchno się już prawie zupełnie, gdy w dali, z przeciwnej, od wschodu i południa strony, zamajaczyły jakieś nowe hufce. Tłum zakołysał się w trwodze. Lecz wkrótce poznano Polan. Oni to, dalej siedząc na swych ziemiach, nadawali dopiero z pomocą. Mieszko wysłał już gońców do nich z rozkazami. Miano bowiem tej nocy jeszcze rozpocząć nowy i ostateczny bój.

Od południa zachodu nadciągnęły wielkie i ciężkie chmury, powietrze stało się parne, duszące prawie, listek nie drgnął, żaden głos natury nie ozwał się, wszystko

omdlewało i zamilkło. Po niebie czarnem błyskawica przeleciała jakby się bardzo spiesząc. Następnie druga za nią, również spieszna, jak sztafeta pilna. W dali grom zahuczał, później drugi... Wtem wielka i straszna błyskawica rozdarła czarne opony chmur ciężkich i ukazała za niemi niebo ogniste i gniewne. Zaledwie ono się skryło za czarną oponą, sto błyskawic i sto gromów zważyło się naraz na na biedną ziemię. Aż ziemia jękała i zatrzęsła się w swych posadach, jakby się biła w swą pierś wielką, wyznając swe winy. Wielkie krople, niby wielkie łzy, ciężko spadać poczęły na strwożoną ziemię. Po pewnym czasie wszystko ucichło, gotując się do nowej walki żywiołów. I znów grom zahuczał, później drugi, następnie trzeci, czwarty..., a w końcu taka moc gromów biła z nieba, że ziemia jęcząc ciągle, nie przestawała się trząść, niby w spazmatycznym płaczu. Około zaś północy niebawyły deszcz lunął na okrwawione pola. A lunął z taką siłą, z taką zajądłością, jakby chciał zmyć czempredziej to piętno Kaimowej zbrodni, kalające piękną Lechitów ziemię.

W taką to noc i w taką to porę, Mieszko, połączone swe hufce przepawił w znanem sobie miejscu przez rzekę, na drugi brzeg. Tam, zdala od obozu miemców, nie przeczuwających w taką pogodę jakichkolwiek ruchów rycerstwa Lechitów, Mieszko podzielił swe rotę na trzy hufce. Dwa z nich miały niezwłocznie uderzyć na miemca z dwóch stron przeciwnych sobie, idąc brzegiem rzeki w ciemnościach. Od tej strony, albo i nie było straży zupełnie, albo też pofolgowała sobie w czasie ulewy. Z trzecim zaś hufcem sam Kneź poszedł drogą dalszą, by zająć miemców od tyłów i przec ich do rzeki. Jak Mieszko rozrządził, tak i stało się. Lechici i Polanie z siłą i krzykiem wielkim wpadli w obóz miemców z dwóch stron. Łomot, jęki i krzyki zmieszały się w piekielny hałas. Gromy niebieskie nie przestają również pracować. Gdy błyskawice rozświetlą kęs nieba, to zda się wtedy widzieć, niby potępieńców piekieł, wyprawiających swe straszne harce.

W końcu i deszcz ustał i gromy, jakby zmęczone, ustawały już, gdzieś tylko odgrażały się jeszcze, warcząc. A ludzie nie przestają się zmagać ze sobą z coraz to nawet większą zaciekłością. Nie patrzą już na nic, nie słyszą nic, żadnej przeszkody dla nich nie ma. Jedni drugich w zapamiętaniu potwornem, nieludzkim prawie, mordują bez względu, bez oszczędzania się. Krew zmieszana z błotem ciekącym, chlupi i bryzga z pod kopyt końskich. Ciała spadające zanurzają się w tej topieli wstrętnej, przeciwniej naturze wszelkiej. Walka nie ustaje! Walka straszna, na życie i śmierć, trwa i trwa! Szatan, co podniósł rękę Kaima, zda się, chychotać z radości w tym piekielnym łoskocie i dzikim wyciu ludzkości zbrodniczej. Więcej! zda się uragać temu, który miłością chce świat ogarnąć, który mówi: »miłujcie się wzajemnie, jako bracia, po tem poznają was, żeście moi«...

Równy ze świtem Kneź się ukazał na tyłach miemców. Koń pod nim czarny jak kruk, z nozdrzy mu ogień buchał niby u smoka, białą okryty pianą leciał, zda się nie dotykając ziemi. Kneź ze wzniesionym wielkim mieczem w prawicy, z obliczem strasznym, podobnym Perkunowi, a płomieniem w żrenicach, leciał na swym smoku czarnym, rwał w sam środek miemców, jak kara niebios, jak wymiar sprawiedliwości, jak zemsta niechybna! Miemcy to widząc, wywiedli ostatni hufiec swój przeciw Mieszka. Lecz ten, jakby ich nie widział. Wpadł między nich, niby grom, z trzaskiem wielkim! Błyskawicą swego miecza drogę sobie uczynił! Swym mieczem potężnym — ulicę wyciął w szeregach miemców! Miemcy się stropili i z drogi mu zbiegli, jak przed zjawiskiem nadprzyrodzonym. Kneź palającymi oczyma szukał mordercy swych braci, kneziów nieszczęsnych, szukał margrafa, co mu Gero na imię... W tem, młody Gero podskoczył do knezia, by ojca sobą zasłonić. Jednym potężnym cięciem miecza Mieszko hełm mu stalowy rozczepił wraz z głową na dwoje i przez zwalonego piorunem na margrafa chciał. Lecz ten, po raz



pierwszy się zląkł, gdy oczy Knezia ujrzał. Zwrócił konia do ucieczki i zemsty za syna poniechał. Miemców do rzęsy wybito, a część do rzeki wezbranej włoczono. Dumny margraf Gero, co chciał na Lechitach zdobyć królestwo dla syna, haniebnie samotrzeć uciekał.

I znów słońce weszło na niebo, słońce jasne, piękne, mrużąc cokolwiek swe wielkie oko. I oba brzegi zwolna oświeciło, oświeciło dwa pobojowiska...

Kneź, dysząc ciężko, jechał wolno. Czoło uznojone otarł rękawem i ukazał oblicze promieniejące zwycięstwem i siłą niepokonaną. Oglądał robotę i jej skutki, oglądał pobojowisko... Krew strumieniami ściekała do rzeki wezbranej. Ciała pobitych miemców i Lechitów i Polan, leżały w beładzie, gdzie który padł. Rzeka nosła miemców i kotłowała nimi. Mieszko wciąż pole objeżdżał, liczył pobitych, rannym kazał dać pomoc. Niektórzy z tych śmiertelnie ugodzonych, brocząc swą krwią, z uniesieniem wołali: »Miemcy pobici! Miemcy pobici!« i z uśmiechem tryumfu i radości na ustach zbielełych, konali. Inni już gąsnącymi oczami chcieli widzieć raz ostatni swego Knezia.

Objechawszy pole bitwy, Mieszko zatrzymał się na wzdórku i stamtąd wzrokiem jeszcze pałającym, obejmował oba pobojowiska. Westchnienie ulgi wydarło mu się z piersi, a na oblicze jego wystąpiła radość i duma. Rycerstwo zaczęło się zbierać. Podchodzono do Knezia i pozdrawiano go szczerem sercem. »Witaj, Kneziu nasz!« wołano »witaj!« powtarzano. »Witaj! witaj! witaj!« zabrzmiały pola bitwy. »Witaj!« powtórzyły dalekie łąki, lasy ziemicy Lechickiej... »Witaj!« krzyknęły tysiące, tysiące piersi z za rzeki tłumów. »Witaj!« jak huragan zatrzęsł duszami i sercami całego narodu.

Witaj! i my dziś Tobie, Kneziu, Królu i Panie nasz Najmiłościwszy, wołamy po przez wieki czasów; wołamy z serc naszych uciśnionych, a również szczerych; wołamy z dusz naszych zbolełych, rozdartych na troje!

Witajcie! i Wy praojce, nasze, coście tak silnie miłowali tę ziemię, że mogliście przekazać ją nie podeptaną i wolną waszym pokoleniom; którzyście nie znali zrad i przeniwierstwa wobec Boga waszego, ojczyzny i narodu! Witajcie! praojce nasi! Pozdrowienie wam ślą wasze dzieci nieszczęsne i umęczone niedolą i wrogami waszymi. Witajcie! Witajcie!...

Tymczasem wielu z rycerzy zносиło znaki miemców i z traskiem rzucało pod nogi kneziowego konia; znoszono łupy, bogactwa z obozu zdobytego; w końcu sprowadzono znaczniejszych jeńców. Wielu było między nimi znacznych grafów, w zbrojach bogatych i błyszczących. Ci, licząc na okup swój, stawali butnie i hardo. Widząc to Mieszko, spochmurniał, wydał wargi. Skinął na Dobrogosta, by każdemu z tych miemców w goły pysk trzasnął, pozbawiając ich tym sposobem czci rycerskiej. Sam zaś krzyknął gromowym głosem: »Ot! wam odpowiedź, pieknie dusze!« Bogate ich zbroje kazał z nich ściągnąć i rozdał drużynie swej. A grafów miemieckich, spętanych, z powrozem na szyi, na znak pohańbienia, odesłał do zamku swego. Tam, w pracy pokutę czynić mają za krew przełaną, za zbrodnie i grabieże.

Dość znaczna gromadka rycerzy zbliżyła się w tym czasie do Mieszka, prosząc o posłuchanie. »Kneziu nasz miły, a Panie najmiłościwszy! A pomnisz Ty, coś nam rzekł owej świetlanej, a dziwów pełnej nocy, ke szliśmy na łowy?« — »Pomnę, odrzekł Kneź i tak też uczynię! Byle nie od miemców brać!«

Grzmi zamek Knezia odgłosem pieśni, uczt i biesiad. Gwarno w nim, rojno i huczno, a strojnie i rycersko. Posły od rozmaitych plemion i bliższych i dalszych pokrewnych przychodzą z pozdrowieniem i darami. Bah! nie mała rzecz! Wszystkie plemiona bratnie chcą być pod Mieszka sławną ręką. I jak też! Miemców pobił! Jeńców wziął! Kto tak potrafi? Kto ma tyle mocy? A Kneź ra-

dosny, promienisty, wszystkich ugascza, obdarowuje i cześć wyrządza. Kneź sam posłów wyprawia... do miemców. I z wielką świetnością i wielkim rozgłosem. A mają oni oznajmić, że Kneź chrzest przyjąć chce i żonę od nich brać. Ale tym posłom nakazano twarde warunki stawiać i zwlekać, zwlekać... Wysłał posłów Kneź i do pobratymców Czechów z takimże oznajmieniem, lecz tym nakazuje iść cicho i prędko działać...

Wspaniałe uczyty jeszcze się nie ukończyły, gdy już od pobratymców przybył starzec święty. Mieszko piechotą wyszedł przeciw świętemu mężowi, wprowadził go na zamek i długo, długo ugasczał go tam. A święty ten starzec uczył Knezia i jego drużynę o Bogu jedynym, Ojcu najlepszym, o Synie Jego, Jezusie. Uczył miłości Boga i miłości ku wszystkim ludziom. Dużo rzeczy Kneź nie mógł zrozumieć, szczególnie miłości ku wszystkim ludziom, nawet ku wrogom. »Bo ludzi — jak ludzi, jeszcze! Ale wrogów? — Bić ich trza i to zara i to dobrze! Bah! a jeszczeby miemców!« Tak myślał sobie Kneź.

Pewnego dnia, Kneź z małym poczem drużyny pojechał, nie wiedziano dokąd. A zostawił rozkaz, by uczt nie przerywano. Długo, długo nie było go na zamku. Aż w końcu powrócił. Drużyna opowiadała szeroko, jak to przybyli do Czechów, jak ich podejmowano, a goszczono wielce. Opowiadali o porządkach na zamku Czeskim, o prawach i urządzeniach tego pięknego kraju pobratymców.

Kneź też pomału zaczął i u siebie nie jedno zmieniać i zwyczaje inne wprowadzać. Zmienił się też i sam bardzo. Już dawnej jego porywczoci prawie nie ujrzeć. Stał się bardzo łagodny i bardziej dostojny. Staranniej się ubierał i słowa swe ważył. Krasawice powyganiał i porządek i ład wszędzie ustanawiał. A wszystko z wielką łagodnością, jakiej dotąd nie widywano u niego. Gdy się dziwowano temu, drużyna cichaczem tłómaczyła ciekawym, że to jest życzeniem ich przyszłej pani, Dąbrówki, niezrównanej krasy i wielkiej mądrości dziewicy. Opowiadano,

że na zamku czeskim za anioła ją uważano, że sam Kneź przywołuje ją do narad i wedle wskazówek jej rządu sprawuje. Opowiadano, że gdy ta dziewica stanie się żoną Knezia i panią narodu, wszystkie błogosławieństwa zleją na naród i kraj.

Razu jednego znać dano do zamku, że cudnej piękności dziewica przybywa z orszakiem od pobratymców. Mieszko z rycerstwem zabiegł jej drogę na powitanie. Piękność i dostojność dziewicy wprost olśniły Knezia. Zdało mu się, że to jeden z tych aniołów, o których tyle słyszał z ust świętego starca.

Na zamku, w gnieździe swych ojców, Mieszko z rycerstwem gotuje się do chrztu.

Po całej ziemi Lechitów, Polan i dalszych plemion, daleko i szeroko rozeszła się wieść niepodobna do wiary.

Oto, Kneź Mieszko pobił miemców na miazgę, a przyjmuje wiarę miemców! Tysiące ludu i rycerstwa zbiegło się do Gnezna. Jedni dla ciekawości oglądania nowych obrzędów, inni, starcy mianowicie, w nadziei zobaczenia cudów i kary od starych bogów. »Bo inaksza rzecz bić miemców — to se wie! ale bogów bić? — to trudniej!«

I znów słońce wschodziło promienne, lecz powoli i w majestacie wielkim posuwało się po niebie. Ruch już oddawna był w zamku. Wchodzono i wychodzono. Rycerstwo pieszo w pełnej i świetnej zbroi stało dokoła krużganku. Naraz, ukazał się Mieszko w wielkiej powadze i otoczony rycerstwem co przedniejszym. Spojrzał na te rzesze nieprzejrzone, stojące w oczekiwaniu i skupieniu. Spojrzał i zatrzymał się w zdumieniu. Jeszcze nie widział tyle ludu razem zebranego. I przez jego głowę przeszła myśl, jak błyskawica. »A ile to ludów z nich urośnie! A jak miemców będą bić! Już się im nie dadzą, oh! nie!« I błysk radości i tryumfu przeleciał po jego obliczu. Jeszcze raz spojrzął na te tłumy i zstąpił z krużganków i szedł na wielki plac. Tłumy się zakołysały i szmer podziwu, jak szmer wody łagodnie się toczącej, dał się sły-

szeć od nich. Kneź szedł aż do miejsca, gdzie stały od wieków kamienne bogi. Lud czekał z zapartym oddechem niezwykłych rzeczy. W tem Kneź dał znak, że chce mówić. I wśród ciszy wielkiej, uroczystej, rzekł głosem, jak grzmot silnym: »A pomnicie wy, tę noc świetlaną, niewidzianej piękności, co naszą ziemię od końca do końca objęła? A pomnicie wy ten wielgi znak czerwony — krzyż swenty? Dziw — dziwów była to noc i początek dnia! A pomnicie wy, jak żyć nam od miemca już było nie lża? Oto wtedy, bacząc na krzyż na niebie, rzekłem: Jeżeli ten krzyż, znak nowego Boga, pomoże nam pobić miemca i krwie jego napiję do syta, to będzie znak, że ten nowy Bóg bardziej mocarny od naszych, a ja mu się pokłonię i dary dam! A ten nowy Bóg dał nam pobić miemca, a krwie jego napiłem do syta. A że od miemca nie chciałem Boga brać, ani niewiasty, posłałem do pobratymców i mi dali i to, i to. A tak nauczony o Bogu nowym, a swentym, a mocarnym, nasze dawne bogi zwałę i każę wszendy zwalić. A wy macie także tego mocarnego, a dobrego Boga znać i cześć mu wyrządzać!« I z temi słowy, Mieszko chwyciwszy topór, zwałił Światowida i Perkuna. Tłum zakolysał się w trwodze wielkiej i począł mruzczeć. Mieszko nie zważał na to. Sam, własnymi rękoma, ustawił na tem miejscu, piękny, złocisty wielki krzyż i oddał mu pokłon głęboki.

Lud oniemiał z podziwu i strachu. Jednak niebo było jasne i słońce jasne, żadnego znaku kary nie widać za znieważenie bogów. Powoli tłum się uspakajał. A wtedy, obok krzyża, jaśniejącego w promieniach słonecznych, jak drugie niby słońce, zaczęto stawiać ołtarz Bogu jedynemu w Trójcy Świętej. Gdy ukończono, starzec święty ten pierwszy ołtarz na ziemi Lechitów pobłogosławił i spytał Mieszka: «Mieszku, Kneziu tej ziemicy, kceszli być okrzczonym?» — »Kęc« odrzekł Mieszko gromko. I został ochrzczonym przez starca świętego w obliczu rycerstwa i mnogiego ludu. A po świętej ceremonii znów orzeł biały zleciał z błękitów i głowę kneziową po trzykroć okrążył.

»Dziw! dziw!« rycerstwo i lud krzyknęli. Po Kneziu, drużyna jego i całe obecne rycerstwo przyjęło wiarę świętą, którąśmy dochowali aż do dziś. Zabrano nam wszystko, wszystko, ale wiary nie zdołali nam zabrać, chybaby my sami, stawszy się zdrajcami swej krwi i swej ziemi i to już oddać chcieli. A gdy starzec święty w czasie liturgii, zwrócił się do wszystkich, wołając: »Oto Baranek Boży«... Kneź, drużyna jego, rycerstwo całe, a nawet nie ochrzczony jeszcze lud, padli na kolana. Głowy tysięcy, tysięcy pochyliły się kornie przed tym, który wszystkich umiłował...

Te tysiące, zarodek przyszłości wielkiego narodu, pełnego sławy, wszechświatowych czynów i wszechświatowych cierpień, te tysiące niewinnych, dziecięcych dusz, sercem już Boga poczuły i serca swe oddały mu. A gdy już starzec święty wszystkich ochrzczonych obdzielił chlebem anielskim, zwrócił się ze słowy proroczymi do Knezia, rycerstwa i ludu: »A rzekę wam, jeżeli wiarę w sercach zachowacie, to Bóg Jedyny, a wielgi, a dobry, któremu wiarę bez zdrady ślubujecie, uchwyci was i pokolenia wasze, pomoże i dźwignie ze zguby wszelakiej. Staniecie wielgim narodem i sławę mieć będą wasze syny na świat. A ty, Kneziu, iż dałeś początek wiary Chrysta na tej ziemi, dasz początek temu tu królestwu. Ty i twe pokolenie na wieki sławne będzie i tu i na świecie szerokim! Amen!« A Mieszko w uniesieniu: »Przysięgam na wieki! za siebie i potomstwo me! A kto swą duszę i oczyzną miłuje, ten z ksztem świętym ślubuje wiarę. A kto zdradzi, niech wyklent bendzie! I od nas i od tej ziemi naszej odcient bendzie!« I ucałował krzyż święty Kneź. Rycerstwo tę przysięgę powtórzyło gromkim głosem i każdy krzyż święty całować począł...

Tak więc, w początkach swych, w swym zawiązku już naród polski połączył się ślubami serc swych z Tym Najwyższym Duchem, w którego rękę losy narodów i pokoleń ludzkich na wieki.

A święty Hieronim, który sam był z rodu Słowian, świadczy: »...walono wszędy stare bogi i przyjmowano tłumnie Chrzest święty po całej krainie, a ochrzczeni przysięgę dobrowolnie dawali taką: »Kto po chrzcie zaprzeda swe sumienie i wiarę w Boga Jedyneho, do tego namówi brata swego lub pognebi, ten ojczyznę zdradza, jest zdrajcą Boga! Biada mu stokrotnie, biada! Tego niech sam Bóg pognebi przez dziesięć dziesiątków lat, w dziesiąte pokolenia!« Rycerstwo zaś, idąc na wyprawy wojenne, dawało po spowiedzi uroczystą przysięgę taką: »Kto z ojczystej ziemi pije zdrój wody, jej strawą się żywi, jej wonią odycha i od niej się odwróci, wiarą i Bogiem wzgardzi — niech będzie, jako syn wyrodny, przeklęty i od Polski odcięty«...

Taką przysięgę cały naród dawał, jak szeroko Lechici, Polanie i pokrewne im szczepy zajmowali ziemię. Taką przysięgą, dawaną przy każdej ważniejszej sprawie, brzmiała cała Polska ówczesna.

Pomimo woli nasuwa się pytanie, czy taka przysięga praojców naszych, jeśli mamy wierzyć w Ducha Najwyższej Istoty i psychozę narodów, może pozostać bez wpływu na bieg rzeczy narodu naszego i jego losów? Czy taka przysięga, dana niegdyś i za nasze obecne pokolenie, może nas choć do pewnego stopnia tylko, obowiązywać w czemkolwiek? Naprzykład, jak obowiązuje imię przodków, szlachectwo, rodowy majątek, rodowa tradycja?...

## NIWA BOŻA.

Z pierwszym promieniem wschodzącego słońca zleciał anioł z przestworów niebieskich i nad ziemią polską rostoczył swe srebrnopióre skrzydła. Nad nią ważył się długo, długo w błękitach. A snąć miłą mu była, bo wypatrywał do koła wszystko, co jest i co się dzieje. W oczy jego uderzyły najpierw wielkie a pracowite łany, koły-

szące swe kłosa na kształt fal złocistego morza. Wśród tych łanów dojrzał mniejsze i większe grupki ludzi, niby mrówki, zatrudnione swą pracą.

»Dobrze!« pomyślał sobie, pracując pełnią wolę Pana, przeto i czasu nie mają na złe uczynki«. Zobaczył następnie anioł wioski rozsiane gęsto; w nich wierzyce kościołów z gwiazdkami, błyszczącymi znamieniem Chrystusa. W kościołach zaś lud chędogi i wraz ze swymi przedniejszymi modli się, cześć Stwórcy oddaje. Zamożność, dostatek, praca i wesołość wszędy daje się zauważyć. »Dobrze!« pomyślał znów anioł, »a dusze to ich jakie? A serca? to właśnie, co stanowi istotę człowieka na podobieństwo Boże stworzonego?« I jak błyskawica oświetlił swym wzrokiem dusze narodu polskiego. Wtedy, stały mu się one odrazu tak wyraźne i widne, jak najczystsza kropelka rosy, nic, ale to nic nie ukryło się. Wszystkie uczucia, myśli, chęci; wszystkie cechy złe i dobre każdej duszy osobno i duszy zbiorowej narodu polskiego wystąpiły jawnie, jak każda inna rzecz w jasności dziennej. I oto spojrzął w nie, w te dusze. Spojrzął i widzi: bogobojność, prawość i miłość brata i miłość ojczyzny. »Hm! brakuje miłości ku wrogom, a powinna by być wedle zakonu Ukrzyżowanego!« Następnie jał się znów przyglądać i widzi: buta z prostotą serca biorą się pod rękę, a rzewność duszy z zapalczywością się splata; wyniosłość umysłu z lekkomyślnością, zapal z lenistwem. »Cóż to za same przeciwieństwa?« pomyślał, »co za sprzeczności? Ale, co u nich przeważa?« Spojrzął uważniej: miłość Boga i miłość ojczyzny, dwie miłości zespoliły się w jedną! — »Dzięki Ci, Stwórcu!« wyszeptał anioł. W tej właśnie chwili raptem powietrze się wstrzęsło. Głos potężny z ziemi »Święty Boże! Święty Mocny! Święty a Nieśmiertelny!...« wzbil się wysoko, wysoko. Jak grzmot uderzył z łoskotem o stropy niebios, rozłamał się na tysiączne części, spadł znów na ziemię i zatopił ją deszczem głosów i tonów. »Jakie to piękne!« pomyślał anioł i patrzył skąd to powstało. Oto procesya



ze znakiem Zbawiciela obchodzi pola urodzajne. Moc ludu postępuje za kapłanem. Różnobarwne znaki kołyszą się nad głowami, a dusze ludu rozkołysały się również, przepełnione rzewnością i dziękczynieniem dla Stwórcy i Pana. Wtem, silny tentent wielu koni dał się słyszeć. To mknie hufiec rycerski, a wszyscy w bogatych zbrojach, a pod wielką amarantową chorągwią sam król polski w złocistym pancerzu i szyszaku z koroną. Gdy hufiec zauważył procesyę, zwrócił ze swej drogi i podjechał bliżej. Stanęli. Król zdjął szyszak z głowy i z konia zsiadł, a za nim rycerze. I wziął król w swe ręce jarzącą świecę i stapał wraz z ludem w obliczu Boga. I stała się procesya bardziej uroczystą, bo król z rycerstwem i ludem za jedno, bo jedna pieśń zbożna, jak jedno serce ku Panu przedwiecznemu się wzniosła. A gdy pole obeszli dokoła i obrzęd się ukończył, król siadł na stolcu pod cienistym dębem. Lud wykrzyknął: »Witaj! Panie nasz Najmiłościwszy« i cisnął się do króla i rycerstwa, i pozdrowiał, i cześć wyrządzał. A wszystko to czynił szczerze, serdecznie i z wielkiem poszanowaniem, lecz bez cienia służalczości. Uznawał pana, szanował go i kochał go, lecz czuł się wolnym w swej wolnej ojczyźnie. Król odpowiadał na witania, dziękował za życzliwość, jak ojciec siedział wśród swych dzieci, pytał o sprawy, o pracę, o pomyślność. A wracał król z wojny, pobił wroga i zmusił do pokoju. Łupów też nie mało wziął. Wracał do grodu stołecznego, a spieszno, bo tam na zamku, poselstwo czekało od bratnich szcze-pów, czekało poselstwo i od obcych, a i sprawy rządów zaległy. Spieszył więc król. Nie bawiąc też długo, wsiadł na koń i żegnany błogosławieństwem ludu, odjechał... »Panie, błogosław im!« szepnął anioł i serce radośnie mu zabiło.

Spojrzał anioł na grody. I wszędy zauważył znak Chrystusów, a naród łagodny i bogobojny przedstawiał jedną wielką rodzinę. Spojrzał na gród stołeczny. A ten przedstawił mu się wielkim, pięknym i warownym mocno.

We wnętrzu jego murów ludno, bogato, strojnie. Wsporniałe świątynie wzniesiono na cześć Boga, przemysł wszelaki i handel ruchliwy kwitł, przelewał się. A prawem dla wszystkich i we wszystkim dziesięcioro było pańskich przykazań. One to były prawem dla narodu i dla rządów kraju. One były najmocniejszą i najpewniejszą warownią narodu i jego wolności, i jego niepodległości.

Król z hucnem swym nadjechał. Wszystko zawrzało w grodzie radością, wszyscy cisnęli się do bram, by wyjść na witanie. I, jak wielka błyszcząca rzeka, wyległ naród w wielkiej mnogości. Na przedzie zaś kapłani w uroczystych szatach. Panowie, lud, wszystko co żyło, szło witać swego pana, swego króla. Oto zbliżył się już orszak pod same mury. Uderzono w dzwony wesoło, a cała rzesza uszykowała się na przyjęcie. Król zsiadł z konia i ucałował krzyż święty podany mu uroczyście. Następnie wśród gromkich okrzyków, pozdrowień, wesołości i bicia dzwonów, wjechał tryumfalnie do swej stolicy. Anioł to widział i znów wyszeptał błaganie do Najwyższego: »Błogosław mu Panie, zachowaj go, daj pomysłność temu narodowi i tej ziemi! Niech się miłują tak zawsze i niech nie będzie nigdy między nimi ni Kaimów, ni zdrajców!« I poszybował anioł nad inne ziemie słowiańskich dzieci. Popatrzal w stronę Dniestru i Bohu. Ziemia i tu obfitym kłosem wywdzięcza się za pracę człowiekowi. Ziemia czarna, bogata, zda się, sama doprasza się o pracę koło niej. Lecz tu lud mało zważa na to. Obce berło nim rządzi, do grabieży go zaprawia nie do pracy. Wojna i wojna ciągnęła, Kaimowa, brat na brata z oszczepem idzie, niby na zwierz dzikiego. Boga mało znają i słowo Boże nie łatwo tu urasta. Chociaż z natury serca ich nie są twarde bardzo i dusze ich bywają skłonne ku rzewności, lecz wola obcych kniaziów nie do Boga prowadzi, a do łupów na braciach pobitych. Z łupu też tylko i żyją. A gdy anioł zawisł w błękitach nad brzegami Dniepru, ziemia ta, poczuwszy go, jękała wielkim jękiem skargi i żalu, nędzy

i niemocy swej. Jęk ten anioł usłyszał w swym locie nad padołem płaczu i bardziej przyglądać się począł. Ziemia urodzajna, aż do bójności, a pracy człowieka koło niej nie widać prawie. Odłogiem jałowości zostawiona. Zato widać częste kałuże wielkie i małe krwi ludzkiej, Kaimowej zbrodni ślady.

Anioł wstrząsnął się ze wstrętu i obrzydzenia, i zapytał ziemi tej nieszczęsnej, czy tu Słowianie, się gnieźdzą? A ziemia glucho odjękła: »Słowianie pod rządami obcych najeźdźców. Między Słowiany też i obcych dużo. Ziarno Boże pada tu na skały i bezdroża, serca tu kamienne a nie ludzkie«. I zamilkła ziemia w bólu swym. Anioł zaświecił swym błyskawicowym wzrokiem, by wszystko dojrzeć. Widzi: wsie zrzadka rozrzucone, blasków od krzyża nie widać u nich, lud nędzny i brudny, przekleństwa miota. Grody jeszcze rzadziej tu spotyka. W nich wszelkie bezprawie silniejszego. Ni sądu, ni sumienia nie znają. Ucisk i niewola wraz z nędzą i podłością dusz wszędy, wszędy. Lecz oto gród na siedmiu pagórkach w dziwnie pięknej ustroni nad rzeką wielką. To gród stołeczny kniaziów Wariago-Russow, od kija przewany, bo kijem władzę sprawują nad narodem oni. Cóż to za wrzaski biją w niebo? To wrzaski pijanych ze zkatowanych wyciem zmieszane. Mord i grabież — to codzienna zabawa. Nieszczęsni z rękoma i nogami w żelaza okuci. Lica ich blade i straszne rozpaczają. Nie wzywają oni bożego miłosierdzia i pomocy w uciskach. Jedni zdrętawali, obojętni na wszystko, w milczeniu czekają swego losu; inni w bezsilnej rozpacz, miotają przekleństwa i rwą się napróżno, jak dzikie zwierzęta. Anioł zdumiał się tej nędzy dusznej i cielesnej, westchnął ciężko i żałośnie. W tem kniaz z zamku wyjechał ze swą pijaną czeredą. Lecą wskok przez ulice, tratując po drodze wszystkich ze śmiechem pustym. Ulice pustoszeją: — kniaz jedzie z drużyną! Dokąd że tak lecą? — To kniaz sąd czynić ma! Oto bogaty kupiec na żądanie kniazia nie oddał wszystkiego dobytku

swego, część zatrzymał sobie. Więc książę z drużyną obległ dom kupca. Kazał go wywlec na ulicę, by drużyna pohulala z nim. Rozerwano go zatem żywcem na sztuki ze śmiechem szaleństwa. Bo czemuż nie usłuchał księcia? Złupiono co się dało złupić, resztę zniszczono doszczętnie. Żonę zaś kupca, że kraśną była, sobie książę wziął a dzieci wrzucono do rzeki. Zwyczajna rzecz! dla zabawy przecież! Po odprawieniu sądu książę wrócił na zamek, stratowawszy coś niecoś ludzi po drodze. Mała rzecz! dla zabawy przecież! Tam, tych kilkudziesięciu pokaleczonych? Dla zabawy przecież, a jakie to było śmieszne!... Książę po pracy sądu i zabawie ucztuje, a pod koniec biesiady, łupy zdobyte na kupcu między drużynę rozdziela... Pijana drużyna bije się między sobą o łup darowany. Krew między się z napojem, ciała zabitych wynoszą przy wrzaskach szatanów... »Okropne! wstrętne!« Stęknął anioł. I żał mu było tych ludzi, żał tych dusz na usługach piekła. I łza anioła gorąca spadła na tę ziemię nieszczęsną. A ziemia poruszyła się z wdzięczności, doznała bowiem ulgi współczucia, nieznanej jej dotąd. Anioł pomknął dalej poprzez stepy wielkie ku morzu Czarnemu. Na stepach kwiecistych i pachnących balsamem wolności bezgranicznej, hordy dziczy tatarskiej wyprawiały swe harce. Anioł nie zwrócił uwagi swej na te ludy, bardziej podobne stadom dzikiego zwierza, niż społeczności ludzkiej. Jednym skrzydłem odpoczął przez mgnienie oka nad brzegiem morza, zwilżył go w fali nadbiegłej i zwrócił się ku wschodowi i północy. W drodze migwały przed jego oczyma rozmaite ludy. Czasem anioł swój wzrok zapuszczał między nie, czasem zatrzymał się chwilę, wypatrując jaśniejszych bodaj punkcików, lecz napróżno! Coraz tylko dziksze zwyczajnie widział, dziksze i czarniejsze dusze. Dziwił się temu anioł: »Przecież to również dzieci słowiańskie, czemuż niepodobne do swych braci z nad Wisły?« myślał w duszy swej. Zatrzymał się przez chwilę, by znaleźć przyczynę tak wielkiej odmiany. Spojrzał błyskawicznie i zo-

baczył, iż krew ich bardzo zmieszana z błotem mongolskim, prawie krwią być przestała. »Ha! nie prędko, nie prędko przewdzieją człowieczeństwo na się«. Pomyślał i zwrócił swój lot ku Litwie. Nad tym zaś narodem długo krążył, długo wypatrywał, a wreszcie rzekł w swej duszy świetlanej: »Ten naród stanie się bratem temu z nad Wisły we wspólności ducha i wierze w Jedyneho!« I drugie swe skrzydło śnieżne zanurzył w falach Bałtyku. Wzbił się wysoko ponad ziemią i dopiero, ujrawszy Polskę, długo, długo nad nią pozostawał w radosnej zadumie. Spoczął następnie na szczytach Karpat, z nich spojrzął raz jeszcze na wszystkie ziemie i narody, które zwiedził. Spojrzął aż hen! gdzie Dźwina i z drugiej strony hen! gdzie Elba, gdzie Bałtyk, gdzie Czarne morze. Spojrzął, pobłogosławił w Imię Najwyższego i uleciał w Niebiosa zdać sprawę. A gdy padł przed tronem Stwórcy rzecze: »Widziałem w Polsce trzy kategorye ludzi: jedni z miłości i tylko dla twej miłości kochają Cię, wielki Boże; drudzy, instynktownie, z prawa natury, wierzą w Twoją Istność; trzeci uznawają Cię do czasu i wedle własnej potrzeby nicują twe prawa. U większości zaś ogromnej tego narodu miłość ku Tobie Panie i miłość ku ojczyźnie zlała się w jedną wielką i bardzo ofiarną całość!«

A pan mówi: »Siej ziarno powszędy śród miłego mi ludu, a gdy będzie zasiane, niech urasta, z owoców sądzić będę«. — »Oh! Panie! nie każde ziarno pada na rolę serc żyznych, wiele na twarde i skaliste, inne na bite drogi. Same się nie skruszą i nie użyzną. Jakież owoc będą miały?«... Anioł przypadł do tronu Bożego i rozścielając rozliczne znaki słowiańskich plemion w obliczu Najwyższego, począł błagać o połączenie ich w jedno, w jedną rodzinę, jeden naród. »Z czasem i w czasie to się stanie«, odpowie Najwyższy: »Pragnę, by Polska stała się narzędziem mej woli i mej myśli wiekuistej. A gdy okaże się godną, stanie się podziwem narodów i w szczęściu swem i w nieszczęściach nawet swych. Stworzyłem Polskę bez

niej, ale przez pracę tylko i swe zasługi, przez walkę ducha i próbę wierności, nagrodę taką otrzymać może. Każę wypuścić szatana z jaskini, niech kusi i mami. Ty stać będziesz i nadal na straży twego narodu. Dawaj mu natchnienia i broń od kompletnego upadku, o ile ten naród będzie miał na to wolę. Rzekłem!»

## SZATAN.

Z rozkazu Bożego Archanioł rozwarł bramy straszliwej jaskini. Ziemia się zatrzęsła w swych posadach. Z przeraźliwym łoskotem rozwarły się jej wnętrza. Dwa dymiące rogi szatana strzeliły. Z pośród czeluści dymiących siarką, popiołem, z pośród płomieni i lawy ognistej, wyrzała głowa olbrzymia, olbrzymiego potworu. Łeb jego miał oblicze ludzkie, a pałające i jakby strzaskane; wzrok szyderczy, zacięte usta, żądzą zemsty wykrzywione. Poniżej tego łba — drugi, przypominający łeb krokodyli, świecił oczyma bazyliuszka. Mówiły one: »Patrzcie na mnie! Jam mistrz, jam mocarz tej otchłani! Tam dzieła me mają swą formę ostateczną i swój cel! Ci, co gonią za ziemską sławą, ci, co zrzuciwszy swe człowieczeństwo, stają się glistami ziemi, ci, co z rozpaczyny giną dla dóbr ziemi, memi słuźalcy są! I gardzę nimi! I gardzę ziemią i jej glistami! I gardzę jej padliną cuchnącą, która się ducha wyzbyła, bo tylko ducha szukam i pożądam! By go znaleźć, sam biorę na się postać tej padliny i padliną go wabić muszę ku sobie, a tylko czasem mamidłem duchowem usidlić go zdołam dla celów mych!« Ziewnął i z piekielnej paszczy trysnęły jadowite gady z iskrzącymi oczkami. Ziewnął przeraźliwie raz wtóry, plunął ogniem i lawą. I znów trysnęły potworne gady rozmaitych kształtów i rozmaitych usposobień. Powoli wyczołgał z rozpadlin przepaści swój tułów ciężki, a skrzydlaty, na kształt smoka lub drakona. Opierał się na mnogich kolczastych i krzywych nogach.

A gdy wyciągnął za sobą swój węży długi ogon, wstrząsnął nim w górę i, chychocząc radośnie, zawołał: »Jestem swobodny i panem ziemi!« W tej właśnie chwili anioł Boży unosił w niebo polską amarantową chorągiew z wypisanem na niej godłem: Bóg i Ojczyzna! Szatan dojrzał to, uśmiechnął się chytrze i strzelił krukiem. Wnet w szponach bóstwa przeczenia wszelkiej prawdy ukazał się sztandar z godłem: szal, kłam i wszelka rozpusta! I zachychotał, aż niebotyczne skały Karpat ozwały się wielkim echem. »Rozumiem, wołał szydlerczo, niegdyś anioł wygnał mię z nieba, obecnie zaś, wierną Polskę uzbraja do walki ze mną. On od wieków zawyrokował bojowanie ze mną na ziemi. Wierni Mu rycerze godni nieba mają być. Ztąd to od wieków walka między nami! I dziś wypowiadam Mu takową o Jego Polskę! Ha! byleby sprzeniewierzyła się swemu Panu! Wiarołomna do mnie tylko należy i ja jej tylko panować mogę!« Spojrzał dokoła uważnie, a wrok jego padł na plemiona pod rządami Kniaziów Wariago-Russów. »Oh! tak!« mówił do siebie, »jak długo Słowian mordować będziecie, tak długo i wierni wam. A gdy urągają swemu Bogu, to was czcić jako bogów będą. Idźcież i dalej tą drogą, moi synaczkowie!« Pojrzał następnie na Germana i zdziwił się, oczom swym niedowierza. »Ah! to dziwne!« pomyślał, »toż to zupełnie, jakby w mej szkole chowany był. Cha! cha! toż to najlepszy sprzymierzeniec będzie i sługa! No ale ta Polska potulna i pobożna coś bardzo na sercu u Niebieskiego Pana, głównie ją pragnie doświadczyć, a więc przez nią chce dopełnić jakieś wielkie zamiary. Tym większy tryumf dla mnie, gdy ją do odstępstwa przywiodę... ..Niech najpierw utraci wzrok duszy swej, reszta będzie bagatelą... Na manowce sprowadzić, podniecić do sporów wewnętrznych, do swawoli, anarchii, a nawet do bratobójczych zamieszek — to wszystko igraszka! Ale wpiery musi ją ślepotą ducha ogarnąć! Tak, stanę się jej panem najwyższym! Co za tryumf nad Panem Niebieskim!« I potrząsł radośnie swym tułowiem olbrzy-

mim, a z niego miliardy obrzydliwych potworków trysnęło. Podniosły się na kształt mgły i oparów, to w kropkach wodnistych i cuchnących, to na kształt kurzu i dymów trujących. »Do roboty!« ryknął szatan, »na lechickie kraje! Lud nurtować, drażnić, kusić do niewiary! Władców, panny mamieć, zapalać do wojny bratobójczej i wszelakich niezgód, kobiety mieć na usługi wedle potrzeby, gdzie się okaże. Mroczyć głowy, ślepić umysł, grać na wszystkich strunach duszy i ciała! Czy mam was uczyć? Do roboty! Gdy naród ten zerwie z Bogiem, ja mu zagram na moją nutę!« Odtąd potwór stał się ogromnym kraterem, z którego, jak potoki lawy, płyną wszelkie niegodziwości i bezwiera, zatruwająca serca i ducha narodu polskiego. Odtąd zjawiają się przyjaciele fałszywi i proroki fałszywe, i bogi fałszywe. Odtąd z tegoż krateru płynie cały bezmiar wiekowych nieszczęść narodu. Polska walczy i pokonywa w początkach zwycięzko, choć była jeszcze niewielkiem mocarstwem, w miarę jednak zatrucia soków jej żywnych, zatrucia ducha wiary w Boga Wszechmogącego, upada. Podnosi się kilka razy na chwilę i znów upada, wyczerpana ze swych sił mocy duchowej, choć się już szeroko rozrosła była materyalnie w zasoby fizyczne. Siły jednak fizyczne maleją w miarę upadku sił moralnej natury...

Szatan znalazł sprzymierzeńców. Sąsiedzi Polski, German i Russo, zawarli z nim umowę. On ma im pomagać odtąd we wszystkim i odmładzać ich będzie z pokolenia w pokolenie, aż do końca tej zaciętej walki, której kres Bóg tylko jeden położyć może, jak również i wszelkiej niegodziwości panoszącej się już szeroko po świecie.

### POSEŁ CESARSKI SWATEM.

German, przyjąwszy na siebie postać urodziwego młodziana, a w powagę cesarskiego posła przyodzian, przy-



był do Polski z wielkim błyszczącym dworem. A oddawszy niski pokłon władczyni, począł swą rzecz w te słowa: »Na rozkaz mego pana wiele ziem i ludów gotowemi są pełnić jego wolę. Wielcy bohaterowie hołd mu składają i mają to sobie za zaszczyt niemały. Wasale swe sztandary pod stopy mu ścielą. Wielki on i potężny bardzo mój pan, cesarz Otton. A choć tak wielki, potężny i sławny, pragnie połączenia się z Polską, mając na celu jej dobro, jej sławę i szczęście!« A gdy dziewica Polska nie przerywała mu mowy, przybrał postawę butną i chytrą, i tak kończy: »Cesarz apostolski pragnie purpurą swojego blasku osłonić ramiona Polski. Na jego żądanie wyjednano już w Rzymie koronę dla niej«. I spojrział zwycięzko, a uśmiech zdradliwy na ustach mu osiadł. »Dziękuję bardzo cesarzowi za jego dobre chęci«, odpowie Polska. »Mam jednak sławę własną, szczęścia zaś szukam w pomysłności mego narodu. Z tego też jestem dumną! Jam ślubowała tylko memu Bogu. Koronę zaś przywdziać pragnę tylko z rąk Namiestnika Chrystusa. Ta jest odpowiedź od Polski i jej króla, zanieście ją, proszę, swemu panu«. German zgrzytnął zębami i odszedł, chowając w zanadrzu zemstę krwawą.

### PRETENDENCI.

Podżegany przez swego sprzymierzeńca Germana, wyprawia Russo do Polski poselstwo z prośbą o jej rękę. Dziewicza Polska daje na razie odmowną odpowiedź. Zostawia jednak nadzieję daleką, przy warunku uznania następcy świętego Piotra głową wschodniego Kościoła jak to było dawniej. Obrażony Książę Wasilko gotuje na wspólną z Germanem najazd na Polskę, by siłą brać oblubienicę.

Groźne chmury zebrały się nad ziemią dziewiczej Polski. Oto z jednej strony German swych knechtów zbiera

i oręż rozdaje, z drugiej zaś, straszny, krwiożerczy Wasilko, Książ na Trębowlu, obmyśla nowy napad z jawnym zamiarem zagarnięcia połowy ziem Polski, zostawiając drugą część sprzymierzeńcowi. Polska wie o tem, nie upada na duchu przecież pod grozą gotującej się na nią nawały, przeciwnie, krzepi się, bo duchem wznosi się ku niebu, tam szuka sił dla swego ducha, a który potroi siły fizyczne jej. Ku Bogu, ku niebu zwraca swe oczy naród, tam szuka pomocy. »Boże Ojców naszych!« wołają w świątyniach i naród, i panowie, i rycerstwo, »Boże! któremu ojcowie nasi złożyli przysięgę na wierność za siebie i za nas, Boże! który dawszy nam życie, tyle razy twą opieką od zguby ochroniłeś nas, i w tych nieszczęściach nas osłonił, dodasz sił, nie wydasz nas wrogom na poharńbienie!« I z wiarą, a nadzieją w sercu, skupiał się naród pod sztandarem swego wodza i króla, gotował się energicznie i z zapalem do obrony swej ziemi i swej niepodległości. »Śmierć najezdźcom!« wołał, »ślepotą wrogowi!« w swej sierzdistości naród wykrzykiwał.

A książ Wasilko na zamku Trębowlu przygotawia się z wielkim pośpiechem, ale zarazem i z wielką przeczornością do rozniesienia Polski. Wie on dobrze, że bój zacięty będzie, bój wolnych z rabami jego, bój o wolność z jego despotyzmem, bój o niepodległość Ojczyzny z jego żądzą łupu! Światłość zmagać się będzie z ciemnotą i barbarzyństwem, człowieczeństwo ze zwierzęcością i nędzą jego! Wiedział on to i rozumiał dobrze. Tem większą też nienawiścią zapałał ku Polsce, tem większą żądzą rozszarpania jej, zdeptania i sponiewierania godności królewskiej jej. Roty swe zebrał zewsząd, ustawił je w szeregach i patrzył na nie długo w zadumie. »Raby!« pomyślał i splunął na ziemię. »Czem ich zapał rozbudzić, czem podnieść w nich ducha bohaterstwa i ofiarności, czem? — Nadzieją łupu łatwego! Tylko!« I rzucił im, jak się rzuca kość niedogryzioną psom, kesę z czerwieniami. Krzyknął: »To zadatek! Tam na Lachach, całe góry złota i wszelakiego

dobra weźmiecie, byście tylko nie zbojali się krzyku Lachów! Tam, wszystko weźmiecie, wszystko będzie wasze! Nie bójcie się tylko tych przeklętych Lachów! Wszystko będzie wasze!« Tak podniecał zapał ku zdobyczy niechybnej, tak starał się rozbudzić nienawiść ku Polsce. Spojrzał książę znów na swe rotę i mignęła mu myśl, czy aby nie za mało na takie przedsięwzięcie? Lecz szatan podał mu plan: Oto mały oddział wyśle, by drażnił Lachów i wciągnął ich do punktu, gdzie w zasadzce będą ukryte najlepsze rotę, a wtedy... »Tak!« dodał książę głośno, »tam z nich tylko mogły pozostać! Zwycięstwo niechybne! Wieki o tem głośnić będą!« Jakiś zgrzyt niemiły dał się słyszeć w duszy księcia. To sumienie ozwało się lękliwie: »Bóg zamysły człowiecze przenika. Odpędź pokusy starego węża, by w twym sercu nie wylęgła się jadłowita zmija!« Lecz książę Wasilko dawno już zerwał z Bogiem, więc i natchnień duszy nie słyszy. Jej lampa mu nie świeci. On przestał szukać rady w modlitwie. Otchłań wątpliwości i niewiary ogarnęła go nocą czarną.

Zarządzenia króla polskiego ku obronie, a również i groźba narodu polskiego doszły do uszu Wasilka. — »Ha! Laszko!« zgrzytnie zębami książę, »dzielna wiara grzeje twą duszę, gdy śmiesz tak bystro patrzeć mi w oczy! Sądzisz, że mój miecz nie dosięgnie twego rycerskiego czoła? Poczekaj trochę, a twą hardą duszę uścielę sobie pod nogi me! Nie, Lachy! Nie zastraszy mnie wasza klątwa! Znam was i zbroję waszą, ale nie przestraszycie, nie! Dziś w nagrodę mych trudów, ziemia wasza wraz z koroną waszą padnie pod stopy me! Kopytami mego konia rozdeptę was i dzieci wasze i wszystko, co jest wasze!« Tak dumiał Wasilko, a Bóg w swych zamiarach inne mu wyroki kreśli...

Zakradła się jednak wątpliwość do jego serca: »Zamało, stanowczo zamało moich rot! Toż przecież idę na zawojowanie królestwa, a nie na zwyczajną wyrawę po łup! Ot, co! A? Tak pójdę do innych dzielnic Russi,

pójdę do Kijowa starego! Tam, za cenę łupu łatwego na Lachach, nazbieram mnogo, mnogo ochotników. Tak! Zaraz wybiorę się! A może i który z braci przyłączy się ze swą drużyną! To byłoby doskonale! Tylko, że oni mi zazdroszcza, zawistni są! Trza nawet być ostrożnym z nimi, nie można im ufać!... A jednak, dla łupu obfitego mogą swą nienawiść schować na ten raz i stać się sprzymierzeńcami... W każdym razie, mnogo ochotników nazbieram!...»

Tak też Wasilko i uczynił. Z Lubicza udał się do krajów naddnieprzańskich. Werbuje tam ochotników na łupy lackie i powoli zdąża do Kijowa. Nie ufa jednak Wasilko bratu, przedsięwzięcie rozmaite ostrożności. Nie wchodzi do stolicy, pod miastem ze swymi obozuje. Werbuje młodzież hulaszczą, odczajduszów. Gromady ich wieszają się już kniazia. Z wielką uciechą i przechwałkami, a nadziejami, biją pokłony przed kniazem i pochlebstwami go karmią. Wasilko się nadyma bardziej jeszcze, niż zazwyczaj, dumnym okiem wodzi dokoła, pycha pierś mu rozpiera. Zaś, niby na intencję pomyślnej wyprawy, a właściwie dla okazania swej świetności, udaje się do cerkwi św. Michała modlić się, modlitwą chytrą, Judasza modlitwą. Po nabożeństwie zbliża się do Wasilka poselstwo z licznym i świetnym orszakiem. Po okazaniu wielkiej czci Wasilkowi rzekną posłańcy: »Światopełk, kniaz na Kijowie, zaprasza do siebie w gościnę i na ucztę brata Wasilka, kniazia na Trębowlu«. Nie ufa Wasilko, obawia się zdrady. Lecz gdy po raz drugi Światopełk wyprawiał jeszcze świetniejsze poselstwo z pokorną, braterską prośbą o przybycie na wspaniałe gody, Wasilko dał się uprosić. Rozumiał, że Światopełk ukorzył się w końcu przed jego mądrością i potęgą, że może nawet da mu swoje rotę na wyprawę. Przybył więc do brata miłego w gościnę...

Uczta nastąpiła wspaniała! Puhary krążą, śmiechy pijanych i wesołość szatanów mieszają się w jeden harmonijny ton. Naraz, kniaz Światopełk z puharem pełnym podchodzi

do Wasilka, kłania się w pas, do ziemi, cześć wielką mu wy-  
rządza i wznosi puhar... Z boków zaś nieznacznie, okrą-  
żają Wasilka siepacze i na ten dany znak, chwytają go,  
a mocującego się walą na ziemię, depcą nogami i zaku-  
wiają w żelaza...

Wasilko tak zelżony i skutny, wydawał się jednak  
zapotężnym jeszcze, a nawet strasznym. W nocy więc, po-  
tajemnie, z rozkazu Światopełka, wywożą go do Biało-  
grodu i oddają go w ręce kniazia Dawyda. Ten, nie na-  
mysłając się długo, kazał mu wyrznąć obie żrenice.

W podziemnem tedy więzieniu leży oślepy książę na  
garstce zgniłej słomy. Leży oto w bólu i niemocy on,  
książę Wasilko, on, który miał złupić polskie ziemie na  
współkę z Germanem, miał je zdeptać kopytami swego  
konia! Oto teraz on sam zdeptany nogami brata i kata...  
oślepiiony i bezwładny jak dziecię. Oto on, Wasilko! Zbo-  
lały, okrwawiony, własnym kałem zbłocony, na zgniłej  
słomie szuka spoczynku! Chciał a tak to nie dawno, za-  
ledwo kilka dni temu, królewską koronę z głowy dziewi-  
czej Polski zedrzeć, na swoją włożyć krwawemi rękoma!  
Chciał... i... ot, co się stało!« I na to wspomnienie ten  
książę, pół trup już, zachychotał straszliwie, a chychot ten  
piekielny odbiwszy się echem od wilgotnych ścian więzie-  
nia, przedostał się do komnat Dawyda. Książę Dawyd  
drgnął, kubek wyleciał mu z rąk. »Hospody! pomyśl!«  
wyszeptał drżącemi wargami i żegnał się trzy razy wscho-  
dnim zwyczajem. Ulżyć zaś w czemkolwiek Wasilkowi,  
ani myślał.

A Wasilko objęty nocą czarną, rwał się w rozpa-  
czy do ścian swego więzienia, szukał ratunku lub śmierci.  
Kruszyć kajdany rwał się z przekleństwem szatańskim  
na spienionych wargach. Chciał się zagłodzić — przemocą  
wlewano strawę; chciał się udusić — związywano mu ręce  
w tył; chciał głowę rozbić o mur — i w tem przeszkod-  
zono mu. Bo chciano, by żył w największych męczar-  
niach duszy i ciała dla nasycenia zemsty swych braci.

Gdy pierwsze chwile wściekłości i zapamiętania przeszły, gdy prawa natury ciała o swoje się upomniały, odmawiano Wasilkowi nietylko pokarmu, lecz nawet wody. Głodem go morzono i pragnieniem, wymyślając przy tem najróżnorodniejsze udręczenia...

Tak lata przechodziły w męce i powolnem konaniu, lata męskiej siły i dzielności. Lata całe! Przyszły jednak zarazem i lata opamiętania, skruchy przed Bogiem, poznania swych grzechów i błędów.

Po długiem szamotaniu się z losem, przyjął swe nieszczęście, jako wymiar sprawiedliwości Bożej i jako pokutę zność począł z pokorą. W końcu ślubował Bogu, że gdyby cudem jakim wrócił do świata, to tylko pokój i zgodę siał będzie wszędy, a szczególnie wśród plemion słowiańskich. Jakoż, po długich latach cierpień, został wydobyty z niewoli przez Wołodara, kniazia na Przemyślu. Tam też, Bogu już tylko oddany, żył w ciszy i zapomnieniu u świata.

Sojuznik zaś Wasilka, German, nie przewidując takiego obrotu losów Russa, wtargnął do Polski na czele licznych zastępów zbrojnych. Szedł z myślą również rzućenia pod nogi swego konia całej krainy polskiej. Szedł butnie i huczno, szedł w łunie pożarów, wśród krzyku mordowanych, szedł, a szatan mu pomagał. W kilku małych potyczkach zwyciężąc się uczył, więc jego duma i śmiałość nie miały już granic.

Naród polski śle modły do Boga i śle hufce zbrojne do swego króla. Stał naród jako jeden mąż, jedna wiara, jeden Bóg! Stara przysięga powtórzoną została i stara ufność w pomoc Bożą sił dodała. Młodziutki król polski na czele rycerstwa, z rozwiniętymi sztandary orła Białego, zabiegł drogę Germanowi. Uderzono w kotły i rogi, pieśń rycerska: »Boga Rodzico...« wzbila się gromko w niebiosach. Król z rycerstwem runął jak huragan na wroga!

A gdy wiatr zdmuchnął kurzawę, odsłonił się cały obraz: German ze swymi leżał na ziemi krwawem błotem

okryty, a wraz z nim leżało u nóg królewskiego konia »psie pole«. Tak Bóg pomaga wiernemu ludowi! —

Nad zamkiem kniazia na Przemyślu jakieś duchy krążą w ciemną noc, jakieś mary i upiory z za chmur czarnych patrzą w jego okna. Po komnatach dziwne widma się włóczą i płoszą sen z powiek Wołodara. Północ już minęła, już światła pogasły, strażę po trzykroć się obwołały, a kniaz Wołodar nie zabiera się jeszcze do spoczynku. Oto księżyc łagodnie zajrzał do komnaty, jakby ciekawością zdjęty. Opatrzył uważnie jeden przedmiot, następnie drugi, potem trzeci i tak po kolei wszystkie obszedłszy kąty wielkiej sypialni. W końcu natrafił na łożo i oświetlił twarz kniazia, siedzącego w zadumie wielkiej. Kniaz w szatach siedział na swym łożu. Dumał, coś ważył w myślach, to znów jakby nadśluchiwał głosu jakiegoś. A ten głos, to głos dumy i próżności, pychy despoty i żądzdy władzy nieograniczonej. Głos ten w początku cichy i jakby nieśmiały, stopniowo się wzmaga i w końcu panoszy się już w duszy kniazia. Podnosi zapał do wojen, do sławy, do świetnych zwycięstw nad Polską przedewszystkiem. Ten głos rozpiera już piersi starego Wołodara pychą niepomowianą, a na jego głowę już i królewską koronę wkłada. Stary kniaz pod wpływem tych dumań zapomniał o wszystkim. Po chwili westchnął głęboko. Wzrok jego padł na skarby, leżące w żelaznych wielkich skrzyniach. Wodził po nich oczyma od jednych do drugich, a mnogie były, a wszystko łupy zdobyczne. I znów westchnął. Wstał, począł chodzić po komnacie, a mając duszę przepełnioną po brzegi marzeniami, wylewał swe myśli w końcu głośno do pustej komnaty. — »I pocóż mi życie? Bym groził sąsiadom i wrogów odganiał? Toż wiek mój strawiłem na tem! Gdzież ma nagroda? Te bogactwa? A pocóż mi one? Mam ich dosyć! A zapragnę więcej, to sięgnę po nie mym mieczem, jako dawniej, na Lachach lub Węgrach zdobędę.. W temże ma wielkość?.. W temże sława moja?

Ale gdzie jest ma prawdziwa wielkość, ta wielkość, któraby mi starczyła w starości, któraby była mą chlubą i przez wieki nie zmaląła?... Czyż na starość mam rozdać skarby dzieciom? Mam skłonić mą siwą głowę wśród nudów starości?... A gdy nie wzniosę tronu silnego, mam paść na kolana przed wrogiem, lub którym z braci udziałowych?... Oh! nie! nie! za nic w świecie! Tak być nie może! Od dziś mój miecz znowu niech zagrzmi w mej dłoni! Nie wypuszczę go już, póki najświetniejsze zwycięstwo nie ozdobi mej skroni! Z trąb i mieczów, z purpury krwi Lachów mój tron zbuduję! Tak! tak! Jak orzeł wzniosę się ponad ziemię Lachów! Czego Wasilko nie dokonał, ja za niego dokonam! Całą Polskę zdobędę i aż na jej tronie odpocznę!«... I dumnym wzrokiem stary książę wodzi dokoła i uśmiech pychy zadowolonej złągodził surowe lica. Wzniósł osiwiąłą głowę do góry, wysoko, a nocne mary ciężką koronę mu wkładają... Nad rankiem wiatr zawył, po oknach zaszumiał i, jak wąż zimny, wcisnął się do komnaty. Jakiś cień przemknął się... »Kto mi tu mroczy, kto mi przeszkadza?« krzyknął książę. »A mozem senny już?«...

Usiadł na łożu. »...Może to niemieckie mary się włóczą, może... Węgry... a może to Polska?«... Z wyciem wiatru szepce jakiś głos: »Nie! nie! ty, książę Wołodarze, Niemca nie bój się, on twoim sojusznikiem gotów być, Węgry zdobędziesz, Polskę całkiem pokonasz, a Wasilko swe księstwo tobie ustąpi... Któż ci wtedy równym będzie, kto ci wtedy zaprzeczy praw do korony? Kto?« »Kto? — Bóg!«... jakiś głos grobowy zatętnił w uszach Wołodara.

Wołodar z miejsca się porwał. Prócz wiernej straży przybocznej w przyległej komnacie, nikogo nie było w pobliżu. Nikt nie ważyłby się przestąpić progu sypialni książęcia o tej porze.

Zdumienie i przestrasz naprzemian odbiły się na twarzy jego. »Kto śmiał tu stanąć?« groźnie zawołał. — »Ja! W każdej porze, a w tej godzinie tem bardziej, bo



potrzebujesz ratunku!« odpowiada książ Wasilko, stając przed bratem oparty na kiju. — »Bracie Wasilku! co cię o tej porze sprowadza do mnie?« — »Co? Ślepy Wasilko odczuwa twe harde zamysły i pragnie cię ratować!« — »Żadnych zamysłów nie knuję, myślę o Bogu i Jego sprawach, spać nie mogę. Ot co!« — »Nie możesz, nie możesz! Bo źle myślisz, bo przedemną ukrywasz, bo wiesz, że ślepy Wasilko powściągnie twą dumę, twą pychę!« — »Czyny me jawne są, z niczem nie ukrywam się przed tobą. Ty wiesz, jak pragnę życie ci uprzyjemnić. Pragnąłbym cię widzieć szczęśliwym«. — »Szczęśliwym! gdy ty, znacząc krwawemi ślady, zagarniasz już po mnie spuściznę? Gdy ty mordami i pożogą ślać chcesz sobie drogę do tronu Polski, która o pomstę do nieba na nas woła? Sądzisz, że będziem szczęśliwi?« — »Na Boga! bracie, kto ci o tem mówił?«

— »Jam, choć ślepy, zbadalem cię mą duszą, twe zamysły odgadło me serce. Bóg, któremu złożyłem w ofierze mą ciężką pokutę za me grzechy, dał mi widzieć duchem. Tobie, zbląkanemu, pragnę oczy otworzyć. Wyrzuć ty z serca harde zamiary! Dość już tych mordów na słowiańskich ziemiach! Toć przecie swoi, krew ich może zaciężyc bardzo na duszy, gdy przyjdzie porachunek tam, przed Bogiem! I po co brudzić nasze ręce we krwi niewinnych? Ruś ma dosyć swej ziemi, gospodarzy tylko dobrych braknie. A Bóg zbliża nas do grobu już. Tak, tak! do grobu! A czyny to nasze jakież są? Z czem przed Nim staniemy? Z czem?«

— »Ha! gdy tak domyślnym jesteś«, odpowiada Wołodar, »to powiedz mi: czy Bóg dał mi życie na to, by tyle trudów i mozołów, bez żadnej rachuby, bez sławy zeszedły ze mną do grobu? Oh! nie! nie! stokroć razy nie! Mejej woli nic już nie powstrzyma! Com obmyślał, tak musi być! I tak będzie! Jeśli mam życie kończyć, to je skończę, ale w królewskiej koronie!«

— »A skąd pewność, że nie prędzej, niż myślisz?«  
 odpowie Wasilko. »Może w podziemiach, może w więzach  
 i mękach? Masz przykład na mnie! Byłem niegdyś chciwym  
 łupieżcą, dzikiem prawem wojny toczyłem krew niewinną ze  
 starców nawet, z niewiast i dzieci... dla łupów... dla sławy mar-  
 nej... Nie poszanowałem niczego i nikogo... Kimże byłem?  
 Kim? Aż Boża kara mię dotknęła i męka... straszna!... Wtedy  
 zrozumiałem me zbrodnie! Wpatrz się w me cierpienia  
 i ślady ich... nie starte... przez lata... Wpatrz się w te  
 znaki od żelaza; gdym skuty był kajdanami, znosić ty-  
 siące obelg musiałem! Wpatrz się w te jamy, gdzie nie-  
 gdyś sokole oczy były, a które mi wylupiono!... i wtedy  
 już uległem zupełnie przemocy!... Obacz te wszystkie  
 ślady, obacz bliżej, jeśliś nie zauważył dobrze dotychczas...  
 Obacz! Dnie i noce przez lata, lata całe... rozumiesz ty  
 to?... pędziłem w podziemiu wilgotnem... przez wiek mój  
 męski... W cierpieniach i w gorączce błagałem o kroplę  
 wody, a daremnie. W głodzie wołałem o posiłek jakikol-  
 wiek, a daremnie! A gdym chciał w moim bólu i szaleń-  
 stwie zagłodzić się, lub rozbić mą głowę o mur, zapobie-  
 gano temu brutalnie. Chciano, bym się męczył jak najdłu-  
 żej i zemstę ich nasycił codziennie moją boleścią, rozpa-  
 czą i szaleństwem, w poniżeniu i upodleniu wszelakim...  
 Zgryzota i hańba, jak sęp chciwa krwi, targała mem ser-  
 cem, rwała ze mnie żyły, z których smoki wyrzutów su-  
 mienia krew mą piły... Dziś, mam nadzieję, Bóg mi grze-  
 chy przebaczył... A były one tak wielkie, jak sprawie-  
 dliwą była kara... Pojąłem, czegom dawniej nie rozumiał...  
 Bądź nauczony tym przykładem, bracie! Do pokrewnych  
 plemion nie miecz i pożogę wnoś, lecz miłość bratnią.  
 Przez taką miłość urośniesz w potęgę i sławę! Gdy prze-  
 ciwnie postąpisz, biada ci! Z krzywd współbraci, z łez  
 i krwi ich, nie tron ci urośnie, a piekło!... Bóg wielki  
 ukaże cię! Zginiesz z przydomkiem nie ojca, a kata ludu!  
 Taka to sława morderców! Taka wielkość despoty!«

Cisza powstała wielka w komnacie. Wołodar hamuje

w sobie gniew. Wasilko, jak cień uchodzi, podpierając się ki-  
jem. Wzrokiem gniewnym odprowadza go Wołodar, wy-  
dął usta pogardliwie. »On śmie mi to prawić!... cha, cha,  
cha!... w mym własnym zamku! on! mnie!«... I wzrok mu  
rozgorzał hardo, mściwie i szyderczo.

Świtać już poczyna. Ale Wołodar nie zazna dziś spo-  
czynku. Wezwał swych starszych wojów, wydaje im roz-  
kazy potajemnie. Wybiegł na krużganek, popatrzył z niego  
dookoła, zeszedł, zajął w każdy kąt, gdzie tylko mogła  
być jaka robota. Głosem grzmiącym groźnie przynagła do  
pospiechu. Dał rozkaz ściągania żołdactwa z dalszych okolic  
i to zaraz, jak najprędzej. Chce w najkrótszym czasie ze-  
brać wszystkie swe rotę. Biega, rozkazuje, gniewa się,  
pieni się ze złości. Dwóch ludzi własnymi rękoma nożem  
pchnął, kilkunastu kazał powiesić, innych w łańcuchach do  
lochów kazał wrzucić. Pilna mu wojenna wyprawa! Za-  
płonął straszną nienawiścią ku polskiej koronie!

Przygotowania owe pospieszne trwały już drugi mie-  
siąc. Pewnego dnia, gdy słońce swe promienie już rozsy-  
pało po ziemi i niebie, a ranek cudnie się zapowiadał, od  
strony borów ukazał się hufiec niewielki i nieznanym ni-  
komu. Biegł on chyżo i cały w promieniach słonecznych  
się kapał. Owe promienie, skupiając się na każdym pance-  
rze z polerowanej stali, tworzyły tyle słońc ruchomych,  
ilu było rycerzy. A od tych słońc ruchomych odbijały się  
również promienie złote wokoło i cały hufiec w blaskach  
wielkich leciał, rwał, przedstawiając sobą cudny obraz!  
A blask był tak silny, że oczy, ni straży, ni samego knia-  
zia wpatrywać się nie mogły. Jedni sądzili, że to jacyś  
zupełnie nieznanymi, drudzy przypuszczali, że to pomoc, pra-  
wdopodobnie, od Niemca przybywa; jeszcze inni, że to po-  
sły od Lachów wiozą okup za jeńców.

Hufiec już zbliża się do zamku, już i rozpoznać  
można rycerzy zakuty w stal. Ich rynsztunek bogaty,  
świecący złotem. Na czele wódz. Odkrył przyłbicę i uka-

zał szlachetne oblicze męża średnich lat. Oblicze to było piękne, z wyrazem silnej woli i wielkiej odwagi.

Na zamku kniazia zakotłowało się. Zbrojni zajęli swe miejsca w basztach, inni dosiadali koni, strażnicy uderzyli w trąby na wieżach. »Ktoby też śmiał napaść?« myślał Wołodar, »może o pokój kto chce prosić? To prawdopodobniejsze!« A gdy hufiec podjechał do samych bram, »rozumiem!« rzekł do siebie kniaz z uśmiechem, »to jeden z wodzów lackich. Król Bolesław śle mi dary pokojowe! cha! cha! cha!« Dał znak i most zwodzony ustawiono...

Gdy wódz stanął przed Wołodarem, ten go zmierzzył surowo oczyma. Lecz w miarę, gdy wódz mówił, surowość poczęła znikać, a w końcu na twarz Wołodara wypełzła z za chmur pogoda, bah! nawet uśmiech zadowolenia osiadł na jego ustach. »Bóg, czy bies zsyła mi go«, pomyślał »wszystko mi jedno! W każdym razie nie mała to pomoc! I byłbym głupi, gdybym jej nie przyjął. Ten lach starczy za połowę moich rot!« Następnie lackiemu wodzowi ofiarował mile gościnę.

Odtąd mijały dni i tygodnie, a kniaz ciągle naradzał się potajemnie z lachem. Do boju nie wzywa kniaz swe roty, już gotowe zupełnie! Nie! czasem coś każe zmienić w moderunkach wedle wskazuwek Lacha, czasem zrobi przegląd swych rot i znów coś każe zmienić. A cały czas swój trawi na naradach z wodzem Lachów, lub na łowach się zabawia.

Tak długi już czas przechodzi, a rycerz wciąż gości na zamku kniazia i do najpoufalszych przyjaciół się liczy. Rozmaite gadki o tem chodzą. Jedni wnioskują, że bogaty Lach, świecący stalą i złotem, stara się o rękę pięknej kniaziówny; drudzy przebąkują, że dzielny rycerz nie mógł znieść krzywdy od króla Bolesława, więc zbiegł, by przy pomocy starego kniazia się mścić mógł.

A był ten Lach wyniosłej postawy, młody jeszcze i nad wyraz piękny. Jego oblicze tchnęło dumą szlachetną i od-

wagą nadzwyczajną, a jasne oczy szczerością serdeczną świeciły i mądrością dojrzałą. Nie mało świata obiegł, znał zamorskie kraje i zwyczaje ich. Znał wielkie dwory i panów, znał rycerskie rzemiosło, jak mało kto. Więc też wkrótce wszystkich sobie zjednał na dworze Wołodara. Gdy książę wyjedzie na łowy, to chce zawsze mieć przy sobie miłego i mądrego Lacha. To też, gdy wspomniawszy swe młode lata, zapuści się książę w głębokie a niebezpieczne knieje za łosiem lub niedźwiedziem, rycerz łacki zawsze jest obok ze swą drużyną. A gdy łowów nie było, Wołodar wiódł z rycerzem długie rozmowy o tych zamorskich, nieznanym krajach.

A umiał młodzian opowiadać, umiał; widział dużo, przebył sam nie jedno. Więc o dworach znakomitych, o stroju państwowym, o wypadkach politycznych, o turniejach, o sprawach rycerskich. Dużo od niego można było się nauczyć i dowiedzieć. Tak mijały tygodnie i miesiące.

Nareszcie oznaczono dzień wyprawy wojennej na pohańbienie Polski. W przeddzień jej zaś, wielkie łowy dla wypróbowania sprawności rot i dokompletowania zapasów na drogę.

Rycerz polski zazwyczaj poważny, tego dnia spoważniał jeszcze bardziej. Ważył coś w myślach dużo, ważył, aż w końcu dał tajemne rozkazy swej drużynie.

Noc nastąpiła już głęboka, a rycerz polski nie myślał o spoczynku. Otworzył okno swej komnaty, ukląkł przy nim i wznosząc błagalny wzrok ku niebu, modlił się długo, długo...

»...Boże ojców moich! Boże, co przenikasz serca ludzkie, Ty widzisz czystość mych zamiarów«, szeptał rycerz z wyciągniętymi ku niebiosom rękoma. »Ty widzisz me serce, duszę mą! Nie dla sławy mej, nie dla korzyści własnej, dla Ojczyzny, dla narodu mego, błagam Cię, Panie! Oszczędź, Panie, rozlewu krwi! Oszczędź,

Boże Wielki, nieszczęście wojny długiej i srogiej! Oszczędź w Twem Miłosierdziu wielkiem!»

Tak modlił się, tak wołał ze łzami rycerz nieustraszony, tak się korzył przed Bogiem w swej komnacie. Bił się w piersi i duszę swą i swej drużyny Bogu polecał.

Skoro świt, ruszono na wielkie łowy. Książ długo szukał swej ulubionej zwierzyny. Łoś jednak nie ukazywał się. Zapuszczał się Wołodar w najdziksze ustępy kniei, a łoś był niewidzialny. W tem z jednej takiej kniei lach wypłoszył przepięknego łosia. Wołodar, nie bacząc już na nic, puścił się w skok za zwierzem. Przy kniazciu tylko lacki rycerz pozostał i tak we dwóch pędzili.

Tylko tentent ich koni słyhać było, tylko szelest suchych liści, czasem trzask gałęzi pod kopytami i nic nadto. Pędzili i pędzili, nie zważając na nic, jak długo mogły ich rumaki pędzić. Aż w końcu rzeźci poczęły i rozpierać się. Łoś jednak umknął. Puszcza głucha ich ogarnęła.

Wstrzymali konie zmęczone. Nadśluchują. Żadnego szelestu nawet. Książ uderzył w róg i nadśluchuje. Nie ma odpowiedzi. Uderzył po raz drugi, trzeci... Słychać tylko szelest spadającego listka... Głucha cisza — odpowiedzia...

Rycerz zdjął wtedy hełm, przeżegnał się, westchnął do Boga: »Boże, pomóż! Boże, poratuj!« I, zwracając się do kniazia, powiada: »Może ja teraz zadzwonię w mój róg, może moi usłyszają!? Jakoż, zadzwonił. W tej chwili na spienionych koniach rycerze się ukazali i otoczyli kołem wodzą swego i kniazia.

Rycerz wtedy do kniazia: »Kniaziu Wołodarze, jeńcem moim jesteś! Do króla Bolesława cię odstawię. Chciałeś wojny, nie będzie jej! Krew bratnia nie będzie się lała! Narody pokrewne miłością się jednoczą, nie krwią żelazem przelaną!« Rycerstwo porwało kniazia między siebie i wskok z miejsca ruszyli ku granicy polskiej.

Na ziemi lechickiej, wśród okolic Wisły, stoi zamek, Książ zwany. Siedziba to dzielnego rycerza, Piotra woje-

wody. On to, dowiedziawszy się o zamysłach Wołodara, podał myśl królowi pochycenia kniazia dla zapobieżenia wojnie. On też podjął się i wykonania tego planu. By uławić przedsięwzięcie, rozpuszczono wieść, iż Piotr, rozgniewany na króla, potajemnie uszedł do Wołodara szukać pomocy. Wieść tę rozpuszczono umyślnie i poza granicę Polski. Aby zaś miała pozory prawdziwości, postawiono straż zbrojną przy zamku Piotra, a lud wezwano do obrony. Mijały dni i tygodnie, a Piotr nie wracał. Wieść zatem o zdradzie nabrała pewności i utwierdziła wszystkich w tem mniemaniu.

Aż dnia pewnego ujrzano Piotra powracającego ze swą drużyną, a wśród niej więźnia.

Piotr przybywszy do zamku swego, więźnia sam odprowadził do warownej komnaty i polecił, by mu na niczem nie zbywało. — Komnata była widna i pięknie przystrojona, na stole stały misy z żywnością i dzbany srebrne z miodem i winem. Wprowadzono kniazia, zostawiono go samego i zamknięto ciężkie drzwi.

Kniaź błędnymi oczami powiódł po komnacie, następnie siadł ciężko na ławie. Nie tknął ni jadła, ni napoju. Cisza grobowa zaległa... nikt mu jej nie przerywał... Kniaź w tej chwili nie myślał o czemkolwiek. Jego głowa wydała mu się tak próżną, jak wiadro, z którego woda wyciekła. Uczuł pustkę w głowie, sercu, a dusza jego stała się jakby drewnianą. Siedział tak, nie ruszając się zupełnie. Siedział z przymkniętymi powiekami, do kukły martwej podobny.

Już słońce ostatni pocałunek ziemi oddało, już noc swój całun gwiazdzisty rozpięła, a kniaź wciąż siedział nieruchomy. Drugie kury zapiały, on wciąż siedział jeszcze. Wreszcie zaczął się chylić na ławę i usnął tak na niej.

Gdy słońce jasne wstało nazajutrz, przez okna wysłało swe pierwsze promienie do komnaty więźnia. Kniaź spał na ławie. Włosy jego długie i siwe bezładnie się zwie-

szaly, potem i błotem podróży zlepione i zwichrzone. Twarz przybrała kolor ziemisty, usta bezkrwiste i wąskie, szeroko otwarte. Cała postać wyrażała bezwładność i martwość. I gdyby nie oddech śpiącego, możnaby sądzić, że to już tylko trup zimny...

Już bieg swój słońce schyliło, książę spał wciąż... Na koniec zbudził się. Powiódł okiem zdziwionem dokoła... »Co to jest? gdzie jestem?« wyszeptał. Zerwał się szybko i siadł na ławie. Znowu powiódł zdumionemi oczami dokoła. I zdziwienie odmalowało się na jego twarzy.

Zmarszczył czoło. Starał się myśli zebrać. Coś przypominać usiłował... Naraz, twarz jego nabrała wyrazu rozjuszonego zwierza. Skoczył jak pantera ku drzwiom, usiłował je wyważyć, lecz drzwi nawet nie skrzypnęły pod jego silnem kopnięciem. Krzyknął więc straszny, wściekłym głosem: »Otworzyć!« i zaklął haniebnie. Lecz żaden głos nie ozwał się. Cisza martwa była odpowiedzią. Znów począł kopać drzwi, pięściami bić, drzwi jednak nie drgnęły nawet. Wściekły, rzucił się na zastawę stołu i niszczył ją. Pienił się i niszczył w dzikim zapamiętaniu się, miotał przekleństwa i niszczył wszystko dokoła siebie, co tylko dało się niszczyć. Aż i sił zabrakło. Runął na ławę i począł ciężko dyszeć. Zrywał się jeszcze kilka razy, miotał obelgi przekleństwa, lecz już z mniejszą siłą. Zaczął powoli uspokajać się, a i głód dał się czuć dotkliwy. Porwał więc z podłogi kamiennej resztki jada, które ocalały i chwicie połykał. Następnie szukał w dzbanach potłuczonych resztek napoju i pił, pił bez pamięci, aż znowu usnął...

Wtedy drzwi ciężkie otwarły się cicho i weszła służba.

Bez szelestu zrobiła porządek w komnacie więźnia i nową zastawę wniosła na stół. O północy stary książę zbudził. Siadł na ławie, oparł łokcie na stole, a palce zanurzył w swe siwe włosy. Począł znów zbierać myśli i zastanawiać się... Wzrok jego padł na dzban świeżo przyniesiony i nową zastawę stołu. Pochwycił obiema rękoma ciężki dzban wina, przytulił go do swych piersi i począł



pić i pić, aż zwałił się na ławę, trzymając oburącz próżny już dzban...

Gdy słońce miało się już ku spoczynkowi, książę nagle się ocknął, usiadł ociężale, przetaił oczy, a nasyćwszy się strawą, począł dumać gorzko nad swoim losem: »...on, Wołodar! książę na Przemyślu, pan tylu ziem na Rusi! — jeńcem jest jednego rycerza lackiego! Hańba i srom!« I zgrzytał zębami, aż mu szczęki trzeszczały. »...I gdybyż ten lach wziął go w boju sprawiedliwym! ale, nie! Wziął go, jak małe i głupie dziecko!... Srom i hańba!... No, a teraz?... Co teraz?...«

»...On, Wołodar, któremu Ruś była za małą, ma się wyrzec bogactw, zdobyczy, sławy?... ..no, i... tej korony? ...I gasnąć powoli w więzieniu? Byćże to może? On, Wołodar, ma gasnąć w... więzieniu?!« I w tych dumaniach i podobnych myślach przechodzą mu dnie długie i bezsenne noce bez żadnej zmiany w jego położeniu, w jego losie.

Pewnego dnia, gdy długo, długo przez cały dzień rozmyślał o latach ubiegłych, o swych wyprawach wojennych, sumienie, jak robak gryzący, wypelzło z dna jego duszy i poczęło go gnębić: »Iluż to jęczy niewinnych w twoich podziemiach, a krew i łzy nie wołająż-to o pomstę do nieba? A twe łupy i bogactwa, toż nie krew, nie łzy ludzkie to w twych skrzyniach żelaznych? A branki w niewoli u ciebie?... Słuchaj! słuchaj! — to głos matek, to pisk dzieci katowanych... ..Klątwą ozdabiają głowę twą siwą... to... twa korona!«...

Porwał się z miejsca książę. »Co to za głos! Kto śmie to mówić?« krzyknął mimo swej woli, lecz wnet się uspokoił. Po chwili, książę, jakby nadśluchiwał, a następnie szepce do siebie: »...Dziw! jakieś tony grobowe?... czy co?... Ktoś jęczy!.., Ha! może to z mogił wstają trupy... cienie ich?... — »Tak!« głos duszy odpowie, »z pod twego topora, w twych podziemiach jęczą! Dola ich stokroć gorsza od twojej! Nie rozpaczaj despoto!« Tak dnie i noce stary książę przepędza. Duma i jęczy naprzemian. Myśli

bolesne szarpia mu wnętrza, a głowę mącą czarnych duchów szpetne przywidzenia. Naga nicość jego doli do rozpaczę go przywodzi. — Ciemna przyszłość rozrywa piersi Wołodara. Pomocy — z nikąd, ulgi — skąd? Gdzie ją znaleźć?

Po wielekroć rozważał on swe czyny, rozważał cały swój żywot męski ze krwi ludzkiej, z łez i złota rabownego utkany. I nie znalazł jednej chwili, wspomnienie której ulgę by mu jaką przyniosło. Raz wspomniął o swoich latach chłopięcych, a wraz z tem stanął przed jego oczyma obraz słodki: matka ucząca go pacierza i bojaźni bożej. Wspomniął. Łza gorąca zakręciła się mu w oku. Chciał się modlić, lecz nie mógł sobie przypomnieć modlitwy żadnej. Machnął więc ręką z niechęcią. Stanął mu przed oczyma i kniaź Wasilko. »Oh! bracie mój! Jakżem nie-szczęśliwy! Przebac, zem cię nie usłuchał!« Westchnął głęboko i żałośnie! Znów wspomniął o Bogu i znów starał się modlić. Wasilko znów stanął mu w myślach i w myślach też swoich zwrócił się do niego: »Bracie mój! powiedz! gdy kto grzechów dawnych i myśli złych wyrzeczę się, to Bóg mu przebaczy i wolność wróci? Ach, powiedz! przyslij mi choć jedno słowo!«

»Ach, jak cierpię, jak cierpię!... Może... i mnie tu oślepią?...«

»Nie, nie! to być nie może!... Czemu? jeśli brat oślepił Wasilka, to czemużby obcy mnie, wrogowi swemu tego nie zrobił?«

»Jestem przecie w jego mocy... Nie! i nie!... brrr... Zimno mi, w głowie się mroczy na tę myśl... Lepiej od razu dać głowę pod miecz... brrr... Nie! tego nie będzie! Lachy — naród szlachetny, w krwi panujących rąk nie broczą. Nie! Oni skrytych zbrodni nie lubią i nie znają... taka już natura widać u nich, nie tak u nas, nie!... Oni mi raczej przebaczą... to więcej zgodne z ich naturą... A ja im oddam ich własność, choć szkoda, choć żal tego, co już jest moje... żal... ale już oddam... i więcej nigdy nie

będę im dokuczał... Oh, Boże! Boże!... Wróc mi wolność!« I począł znów modlić się, jak umiał. I coraz częściej spogląda w niebo przez okno swej więziennej komnaty. A przez to okno patrzy i na kraj piękny, jego pola urodzajne, jego lasy i rzekę.

»...Kraj i naród pokrewny«, myśli sobie »i duchem i męstwem, ale jakiś lepszy, jakiś mądrzejszy, bardziej rycerski, jakiś inny, niż nasz... Bo czemuż mnie nie zabili, bo czemuż pamiętają o mych potrzebach i wygodach nawet... w więzieniu mem? Przecież to więzienie, a jam ich wrogiem i więźniem!«

»Wasilko leżał w podziemi w wilgotnym, na zgnitej słomie, u... brata!... Głodem go morzono, także u brata, oczy mu wyłupił — brat! A ja u lacha, cudzego, wroga, mam nawet srebrne i złote naczynia na stołach... W niczem mi nie dokuczają... Chciałem ich krwi, ich ziemi, ich korony, bronią więc swojej własności. A któżby nie bronił?...«

»Więc mi wolność wzięli, bym ich nieszczęść nie był sprawcą. Bronią się, ale bronią się szlachetnie. Nie tak u nas!... Bo czemuż nie oślepiłi mnie dotychczas? Czemu? Czemu nie postąpili ze mną jak z Wasilkiem bracia? Czemu! Bo taki lepsi oni!... Ah! czemuż im byłem ciężki? Co to — ciężki? Prawdę trza powiedzieć — katem byłem im!... ot co! Ah! Czemuż w drużbie nie było żyć z nimi? Czemu? I im, i mnie byłoby lepiej. Wielkich rzeczy można było dokazać! Wielkich!... w spółności z nimi, w braterskiej zgodzie. Oh, Boże! Przebacz mi grzesznemu i głupiemu!... głupiemu! tak, tak!... Więcej głupi byłem, niż zły. Przez głupotę tak grzechów się nabrałem i zgubiłem siebie!«...

I patrzył nieraz stary książę przez okno na polski kraj, pracą i krwią użyźniony. Parzył na wioski odbudowane już po jego grabieżach, widział lud pracowity i cichy, we krwi którego broczył ręce ze śmiechem pustym. Patrzył i dumał. A gdy nocą zatapiał wzrok w gwiazdzistym niebie, przychodziły mu nieraz myśli o potędze Boga, a który

świadom wszystkich jego zbrodni! Ciemno mu wtedy robiło się na duszy, poczynął jęczeć, wzywać litości bożej. Twarz jego stała się bladą i wielkie cierpienia duszy wyryły na niej swe ślady.

Razu jednego, gdy stał przy oknie w wielkiej zadumie, łza gorąca stoczyła się po jego wynędzniałej twarzy, padł na kolana przy oknie i utonął w gorącej modlitwie. Dusza jego stopniowo się przetwarzała, szlachetniała, stawała się coraz bardziej człowieczą. Snadź, miara kniazia nie przebrała się jeszcze. Bóg lituje się nad zbłąkanym, nad kornym grzesznikiem, nie odpycha go od siebie, jak czyni to człowiek, nie zna zemsty: miłosierdzie — jego cechą i naturą. To też i nad siwą głową Wołodara przeleciał anioł pocieszenia. W rzewnej modlitwie zsyła mu duszną pociechę. A gdy Wołodar jej raz doznał, codzień już się modli i to coraz rzewniej, coraz goręcej. Nie rozpacza, nie złości się już, nie pieni śliną wściekliczny, ni przekleństw strasznych nie miota. Ufność położył w Bogu i czeka spokojnie swego losu, jaki mu Najwyższy ześle.

W taki to dzień, spokojem duszy Wołodara jasny, rozwarły się ciężkie drzwi więzienia i Piotr wojewoda wszedł. Zobaczywszy modlącego się na klęczkach, zatrzymał się na progu z szacunkiem. A gdy Wołodar wstał z klęczek, Piotr przystąpił do kniazia i rzekł: »Kniaziu Wołodarze, nie dziw się i nie miej mi za złe, żem cię zdradnie uwięził. Powinność tylko względem mego narodu i mej Ojczyzny spełniłem. I ty byś, kniazium, podobnie postąpił, gdybyś miał do wyboru wojnę ciężką i krwawą, czy uwięzienie sprawcy onej. Więzienie twoje, zresztą, nie bardzo ciężkie i nie długie, lecz kto krew narodu dla łupu przelaną wrócić może? Przypomnij sobie wsie i miasta, które wyrznałeś, przypomnij sobie te wszystkie gwałty i pożogi, którymi nękałeś moją Ojczyznę! Przypomnij to sobie, proszę! Dziś, może poznajesz już, że za zbrodnie jest kara i tu, i za grobem... Spełniłem, kniazium, tylko mój obowiąz-

zek, dlatego śmiało staję ci do oczu. Czy mi przebaczysz?... Z woli króla, pana mego, pytam cię, kniaziu Wołodarze, czy masz chęć żyć z nami w zgodzie nadal? Brat twój, Wasilko, zabiega o tę zgodę u króla. A kniaź Wasilko, był również nam wrogiem niegdyś, a dziś, prawym i bogobojnym rycerzem jest. Wróć nam jeńców nie-szczęśliwych, co w twych podziemiach się męczą, a za krew niewiast i dzieci — niech Bóg z tobą się liczy. Czekam odpowiedzi, kniaziu!»

Wołodar takim rozwiązaniem sprawy był wielce zdumiony i wprost olśniony. »A więc«, myślał sobie, »i oczów mi nie wyłupią i głowy nie zetną. Dają wolność, a w zamian, jeńców tylko żądają! Więc ot, jak Bóg łaskawy pocieszyć raczył! Wrogów na braci Bóg zmienia! Boże wielki i Boże sprawiedliwy! Dzięki Ci ślę z głębin mej duszy!« Wskutek podobnej rozmowy z sobą, nie zaraz też mógł odpowiedzieć Piotrowi i dobra chwila minęła, nim ochłonawszy z tych wrażeń, mógł rzec: »Niech bogactwy memi i skarbem moim, i wszystkim, co mam, Bóg rozporządza przez ręce Wasilka! Na wszystko się zgadzam i wszystkiego dotrzymam! Boże sprawiedliwy! Niech odtąd będzie wieczna zgoda między bratnimi narody! Na znak tej zgody, niech król poda mi braterską dłoń!« — »Amen!« odpowiedział Piotr. Od tego dnia kniaź Wołodar z więźnia stał się gościem u Piotra Wojewody. —

Szlachetny Wasilko, o ile to było możebne, wyrównał krzywdy wyrządzone Polsce, a wobec Boga i narodu ogłoszony został pokój wieczysty i zgoda braterska z ksiądzęty ruskimi i narodami im podwładnymi. Uczta wspianiała na zamku królewskim uwieńczyła tę braterską zgodę. I tak dwa bratnie narody z wrogów stały się braćmi, pożoگی i grabieże ustały.

Naród polski ten cudowny obrót rzeczy przez długie wieki wspominał i przez długie lata Bogu Najwyższemu dzięki składał. Długie lata i długie wieki modlił się naród,

modlili się panowie, modlili się królowie polscy, modlitwą serc skruszonych, modlitwą dusz czystych. A ta modła serc i dusz, jako jeden głos zbiorowy leciała z krajów Polski codziennie do tronu Najwyższego. A że tak przez wieki codziennie ten głos z Polski wlatywał, więc w końcu na jednym ze stopni tronu, jak kropla wiecznie spadająca, wyżłobił sobie swe miejsce i wieki tam pozostawał. A gdy to miejsce po wiekach okazało się pustem, Bóg w dobroci swej zapytał anioła-dziewicę o przyczynę. — »Panie Miłosierny!« odpowie anioł-dziewica, »wrogowie Polski tłumią ten głos, więc, choć on zawsze i to z jękiem bólu i skargi ku Tobie wzlata, nie jest dość silnym on, by zając swe stare miejsce. Z wyżyn opada napowrót na ziemię nieszczęsną!«

### KRZYŻAK KATECHETĄ I DOBRODZIEJEM.

Dnia jednego przed obliczem młodej Polski staje mąż z dalekiej, zamorskiej krainy. Wzrostu słusznego, barczysty, o rysach twarzy mądrych, a przebiegłych. Miał na sobie piękną, bogatą zbroję, a na ramionach płaszcz biały z krzyżem czarnym, przy boku miecz wielki i bardzo ciężki. Na piersiach krzyż brylantowy miał, by łzami osypyany. U pasa zaś zwieszał mu się różaniec z koralami, by krople krwi na nitkę nizane. Wpół rycerz, wpół mnich. A buta i chytrość zdaleka nawet były od niego.

Był to kawaler zakonu Krzyżaków, wzgardzonego przez wszystkie narody i pany chrześcijańskie za swe zbrodnie i podłość duszy. Nawet Rzym odtrącił go od siebie.

Przyszedł prosić jałmużny, prosić o kącik ziemi jakiej, którego mu wszyscy odmówili. Przyszedł do Polski, bo go Polska jeszcze nie знаła, można więc łatwiej ją oszukać. Stał więc w postawie śmiałej, prawie wzgardliwej i pozdrowia słowami Chrystusa. Oczy pałają mu chęcią zysku i zawiści. Przykrywa też je często powiekami swemi, by

nie wyczytać obłudy i podstępu, kryjącego się w jego duszy podłej.

Staął i począł mówić: »Byćże to może, miła nam siostrze, że chcesz łączyć się z Wariagiem-Russo dla dalszych swych zaborów? Takie wieści do nas doszły. Sądzę jednak, że raczej z nami należałoby się łączyć jako z bracią w Chrystusie. A tak, połączonemi siłami moglibyśmy podbić nie mało ziem, a narody zmusić do prawdziwej wiary«. Wstrzymał swą mowę i uważał, jakie sprawiła wrażenie?

— »Jeżeli bym myślała o połączeniu się z Rusem, Polska odpowie, to tylko w celu braterskich stosunków z pokrewnym słowiańskim narodem, a tym sposobem i lepszemu ugruntowaniu wiary świętej. Przymus orężny byłby conajmniej niewłaściwym. Chrystus tylko miłością pociąga ku sobie, serca człowieczego pragnie Chrystus«.

Krzyżak zdumiał się, usłyszawszy tak prostą, a tak szlachetną odpowiedź. Takiej odpowiedzi nie spodziewał się. Sądząc zaś, że to jest tylko wykręt przebiegły, odpowie z pychą:

— »Ale od nas, od Zakonu, żąda Chrystus! Musimy nawracać narody i zgarniać je na drogę zbawienia, jakiemiby to nie było sposoby. A że przy tem i Zakonowi dostaną się jakieś korzyści, to przecież zrozumiałe. Co dadzą bowiem narody Zakonowi — dadzą Chrystusowi samemu, nosimy przecież znak Chrystusa i Jemu służymy. Jeśli więc Polska naprawdę wyznaje Chrystusa, powinna ukorzyć się przed Zakonem, powinna rozumieć, że Zakon — to Chrystus sam, a wola Zakonu, to wola samego Chrystusa! Przeto ten kącik ziemi mały, który już upatrzyłem dla Zakonu, powinien być dan Chrystusowi! Nikt z panów chrześcijańskich nie ośmieliłby się odmówić czegokolwiek Chrystusowi! A zresztą, będziemy Polsce użytecznymi, bo tę dziczą pomorską i pruską, która ciągle pustoszy ten piękny kraj, utrzymać potrafimy w należytych korbach i granicach. Chrystusowi zaś przysporzymy cały ten naród dotąd barbarzyński i nieznający Boga prawdziwego. Jeśli więc Polska

naprawdę chrześcijańską jest, jeśli dba o chwałę Chrystusa, to powinna się cieszyć, że zakon ten naród chce nawrócić. Tak! powinna się cieszyć i dopomódz. A jeśli pomocy odmówi, odmówi zatem samemu Chrystusowi, a więc będzie winną przeciw Chrystusowi. A jeśli, wskutek odmowy, ten naród pruski zostanie w pogaństwie nadal, winną będzie przeciw Chrystusowi po raz drugi. A jeśli dusze tego narodu pójdą na wieczne zatracenie, będzie Polska winną po raz trzeci! Świat cały chrześcijański będzie o tem wiedział i będzie Polskę sądził, nim Bóg osądzi i sam Chrystus!« Umilkł i spojrział dumnie dokoła, a uśmiech tryumfu pojawił się na jego ustach. Po chwili dodał: »Proszę pokornie o odpowiedź, którą mam zanieść Zakonowi, a on, Zakon, Chrystus sam, będzie wiedział z odpowiedzi, co ma sądzić o Polsce!«

Młoda Polska taką mową była wprost oszołomiona, nie odrazu też mogła się zdobyć na odpowiedź i po chwili dopiero: »Przed Bogiem się korzę, Chrystusa miłuję, to też dary i ofiarę, o którą prosicie w Imię Chrystusa, jeden z mych synów da, ale Chrystusowi da. Jeśliby zaś kiedykolwiek i ktokolwiek z waszego Zakonu, ten dar, dany Chrystusowi, użył na zło, to dar ten powinien być Polsce zwrócony i niechże ten sam Chrystus będzie sędzią naszym!« Taką odpowiedź dała młoda Polska Krzyżakowi.

Krzyżak na ziemi darowanej osiadł i zamki warowne postawił. A gdy to ukończył, poszedł nawracać Pomorzán i Prusaków. Ogniem i mieczem chrzczył te narody. Jęki i lamenty, łzy i krew katowanych dochodziły do Polski. Lecz gdy Polska w żalości nad nieszczęśliwymi czyniła swe uwagi, Krzyżak warczeć poczynął. Już wnuka swego dobroczyńcy zdradziecko pochwycił na polskiejże ziemi, w jego własnym zamku, i więził, a tylko groźby króla polskiego zmusiły Krzyżaka do wypuszczenia go z podziemiów. Całą ziemię nieszczęsnych Pomorzán posiadł i zamek olbrzymi, Malhborgiem nazwany, rękami jeńców nie-



szczęsnych postawił. A był to zamek olbrzymi i straszny bardzo. Z okien jego by ze ślepiów potwora buchał ogień, a mury krwią ludzką były codzień myte, a codzień świeżą. A łeb miał ze złota, brzuch ze srebra, wewnątrz zaś przetrawiał ciała porżniętych. Był to potwór straszniejszy, niż ten, pod Krakowem, przez Krakusa zabity. Krzyżak to zmienił się w tego potwora o wielu łbach strasznych i wstrętnych, z językiem cienkim i długim, zawsze lepkiem, miodem i trucizną smarowanym. Ręce miał długie, a palce, jak u krogólcza, były zbrojne w szpony, ale stalowe. I kły mu wyrosły wielkie, potężne, a także ze stali. Temi to kłami począł błyskać w stronę Polski, a następnie ją szarpać, gdzie się da, swemi szponami. Lecz oto król polski odciął mu szpony pod Płowcami. A gdy i to nie pomogło, musiał król jeszcze raz mierzyć się z potworem. Wezwał król Boga na pomoc, wezwał Chrystusa, by sprawę rozsądził, i rzucił się król na potwora straszego. Rzucił się i połamał mu kły na kawały pod Grunwaldem.

Wiele krwi wtedy wyciekło z potwora-Krzyżaka, zdawało się, że już zginął. Lecz ten Krzyżak-potwór nosił krzyż na plecach, by ludzi oszukiwać swą pobożnością, a duszę dawno, dawno zaprzedał szatanowi. Więc szatan zmienił mu tylko postać, by zawsze wykonawcą jego woli był i sługą powolnym. A tak szatan, przyodziewając go, wedle swej potrzeby, w rozmaite postacie, aż dotąd w ciągu wieków utrzymuje go, by Polskę w szczególności wciąż nękał, aż póki Polska nie zaprze się swego Boga i Ojczyzny swej, czego niedaj Boże! Amen!

## KUSICIELE.

### (DZIEWICA LECHICKA).

Do cichego kraju Lechitów przyszli dwaj rycerze: German i Russo. Byli to rycerze młodzi, piękni, olbrzymi wzrostem i odwagą. Siłę mieli tak wielką, że dzikim po-

tworom strasznymi byli. Smoki żarłoczne ubijali, a grube nawet zwierzę w swych rękach gnietli. Między Lechity równego im nieznać. Mściwość ich była tak straszna i okrucieństwo tak niezwykle, że na samo wspomnienie imienia ich, chwycił lęk za włosy i ręce opadały bezradnie. Ci to rycerze niespodzianie zjawili się wśród cichego ludu i poczynali już po swojemu gospodarzyć.

Razu jednego, wydali rozkaz, by lud zebrał się w zielonym gaju. A gdy się zebrano, German i Russo namawiać zaczęli i zachęcać lud do sprzeniewierzenia się przysiędze danej Bogu jedynemu i do buntu przeciw swemu panu.

Naród począł szemrać, lecz wystąpić przeciw rycerzom nie śmiał z obawy wielkich nieszczęść, jakieby mogły spaść na całą ziemię i naród Lechitów. A tak, gdy naród się naradzał w trwodze wielkiej i pod groźbą strasznych kar, rycerze stanęli na uboczu i zażarty spór prowadzili między sobą.

Russo chciał Knezia Lechitów zabić, następnie ukraść jego koronę i ograbić ze wszystkiego, a chrześcian uwięzić, rabami uczynić. Lecz German temu się sprzeciwiał i wołał: »Ja tam krwi jego nie żądam, łupu żądam i pierwszym tej ziemi panem być chcę!« Okazało się, że chociaż byli z sobą sprzymierzeni, każdy z nich tylko dla siebie posiadanie chciał wszystko, co własnością Lechitów było.

Russo tedy zaczął przemyśliwać i szukać sposobów, by Germana zająć zdradziecko i ubić. German to spostrzegł. Uważał jednak rycerza Russo za mało mądrego. Począł go więc ludzi obietnicami i oszukiwać w rozmaity sposób, by zwabić go w sieci nastawione umiejętnie bardzo. A gdy się wplącze, będzie go mógł zgładzić, a dobytkiem jego się utuczyć. Russo dał się zaplatać w sidła Germana i wtedy dopiero zrozumiał niebezpieczeństwo.

Staął więc do walki z Germanem rozpaczliwej i otwartej. Stańli tedy naprzeciw siebie obydwa, potężni, zajadli, a wzrostem sięgali wierzchołków najwyższych sosen lechickich. Walczyli żażarcie, nie przebierając w sposobach, walczyli jak dwa rozjuszone potwory, na życie i śmierć! Bo kto po-

kona, panem ma być tej ziemi Lechitów. A walka ta była tak straszna, iż huragan wzniesła burzy, która aż na wielki świat szeroko się rozniosła, łamiąc wszystko i niszcząc wszystko na swej drodze.

Gdy ta walka straszna jeszcze trwa, naród Lechitów, obojętnie na pozór patrzący na to, począł się poczuwać i zkrzykiwać. A wtem, wychodzi z pośród gajów dziewica cudownej piękności i powagi nadzwyczajnej. Grono dziewic, również pięknych i w biel śnieżną przybranych, otacza wiankiem ją. Spojrzała dziewica lechicka na obu walczących wzrokiem groźnym i piorunującym. Rycerze na widok ten zdumieli się. A wtem i lęk nieznany porywa ich za długie włosy. Nie wiedzą, co począć? Ręce im opadły, wstyd i strach przejął ich serca, oczy zaś ich tracą swą siłę wzroku, a w końcu nocą się powlokły. Przerażeni padają na kolana, ale powstać już nie mogą. »Kto jesteś?« wołają, »nieba, czy ziemi bogini? Wróć nam wzrok i męską siłę, a uczynim co każesz!« Dziewica ujęła krzyż w swe białe, czyste, święte dłonie i wzniosła go wysoko. W tej chwili dał się słyszeć ze wszystkich stron szum, niby fal rozhukanego morza. To fale wielkie i głębokie milionów narodu Lechitów idącego z hukiem i łoskotem, z mocą i twardością wielką ku dziewicy lechickiej pod jej znak, który wzniosła. A wtedy dziewica tym znakiem krzyża świętego żegna rycerzy mówiąc: »Przez Boga Wszechmogącego! czyście chrztem świętym obleczeni? A jeśli tak, to wamże przystoi burzyć naród przeciw wierze w Chrystusa? Nie wiecież, że naród lechicki dał przysięgę Bogu jednemu? A kto przysięgi nie dotrzyma jest przeklętym, od swego narodu i ziemi swej na wieki odcięty! Zrzućcie więc wasze zbroje, a toporki wasze użyjcie na zwalenie fałszywych bogów i fałszywych proroków!« Lecz rycerze nie chcą usłuchać dziewicy. Bogi fałszywe im potrzebne, a fałszywi prorocy — słudzy ich i wykonawcy woli ich. Oni sami bogami chcą być i za takich się mają. Dziewica gniewna kłątwe ciska

w rycerzy. Wtem piorun z wielką błyskawicą uderza w posągi bóstw fałszywych, a dziewica z ludem niszczy je doszczętnie. Rycerze wciąż na kolanach i wciąż powstać usiłują napróżno.

Dziewica zaś polska każe rycerzom przysięgę złożyć, że zaniechają zbrodniczych zamiarów, w przeciwnym bowiem wypadku nową grozi klątwą, jeszcze sroższą. Rycerze po pewnym wahaniu dali w końcu przysięgę. Dziewica przeto każe im powstać i odejść w pokoju. Lecz rycerze uwolnieni przysięgi nie dotrzymani. Zebrała więc lud dziewica polska i rzuciwszy straszną klątwę na przeniewierczych rycerzy, z krzyżem w ręku powiodła naród na nich. Srogo pobiła ich i wyrzuciła precz ze wszystkich dzielnic i ze wszystkich ziem lechickich, aż hen! daleko! O tem wszystkim wieść długa płynie z biegiem Wisły i Dunaju, a szeroka jako morze, a wysoka jako Karpat szczyty, jako Bałkan chmurne czoła! Aż do króla dopłynęła. Król słał posły do dziewicy. A gdy przybyła na zamek, cześć wielką król z ludem wraz wyrządził jej. Odtąd ona, ta dziewica polska, wciąż stoi u boku króla polskiego na tronie samym. Rady i natchnienia daje, w chwiejności podpora mu jest, z upadku podnosi, w niebezpieczeństwach osłania... Lud zwie ją: Bogu Miła — Królowa Polska. —

## KSIEGA II.

W swym zawiązku państwowym Polska była bardzo małym księstwem i otoczona zewsząd bardzo groźnymi sąsiedzi. A każdy z nich przerastał ją po wielokroć pod każdym względem: obszarem ziemi, urządzeniem państwowym i społecznym. Czy to pod względem ekonomicznym, kulturalnym, czy militarnym, każdy z sąsiadów przewyższał Polskę ówczesną bez porównania. Polska z onego czasu — to mały i ubogi kraj, kraj jezior, błot, gajów i piasku. A jednak, dzięki swemu położeniu geograficznemu, była pożądanym kąskiem dla każdego ze swych sąsiadów, każdy spozierał na nią łakomie. Genialni Piastowie podtrzymywali jej niezależność, w niewoli nigdy nie była Polska. Każdy napór wrogów wcześniej czy później był odparty skutecznie, to orężem, to zręczną polityką. Rozpatrując się w ówczesnych stosunkach politycznych, rozważając warunki i zasoby Lechitów, wprost uwierzyć trudno, by ten mały, ubogi i niekulturalny narodek, mógł ująć przemocą sąsiadów i utrzymać niezależność swą. Zastanawiając się głębiej nad tem, musi historyk przyjść do przekonania, chcąc — nie chcąc, iż chyba tylko jakieś dziwne zrządzenie, jakieś cudowne wprost, niczem nie dające się wytłómaczyć, troskliwe bóstwo opiekuńcze przychodziło zawsze z pomocą skuteczną i zbawienną w wypadkach trudnych, a nieraz bez wyjścia.

Chlubimy się Piastami, chlubimy się ich geniuszem, blaskiem ich zwycięstw i chwałą. I mamy zupełną słuszość. Bo gdy weźmiemy pod uwagę szczupłość ówczesnych gra-

nic, stan zasobów narodowych i zestawimy to z warunkami, w jakich się Polska w późniejszych wiekach znalazła, to okaże się, że dzielność i świetność późniejszych czasów nie przewyższa stosunkowo w niczem epoki piastowskiej, w niektórych zaś chwilach i wypadkach bodaj bywa przeciwnie. Ale nie wszyscy Piastowie byli geniuszami, jak i nie zawsze blaski Polskę otaczały. Niektórzy z nich do tego stopnia byli nieodpowiedni na stanowisko naczelne narodu, że aż szkodliwi. Były i czasy bezładu wewnętrznego, rozprężenia ogólnego; nieraz była Polska ówczesna bliską nawet upadku, stała nad przepaścią zguby, zdawało się, niechybnej i ostatecznej. A jednak...

Gdyby wtedy ten naród był tylko masą obojętną, rody i jednostki niczem z sobą nie związane; gdyby w tym narodzie, pod każdym względem niższym od swych silnych, ambitnych sąsiadów, nie było jakiej wielkiej, silnej spójni, która by go przetopiła w jeden i to szlachetny kruszec; geniusz piastowski, przy całym swym wpływie, jaki wogóle geniusz wywiera, nie mógłby uchronić Polski od niewoli, nie mogłaby ona ostać się naporowi tylu wrogów przyrodzonych.

Przedstawmy też sobie przed oczy nasze, bodaj pobieżnie, ówczesne polityczne stosunki naszych sąsiadów. Oto Niemcy zorganizowały się w cesarstwo i to w rozumieniu zwierzchniczem, a ich monarcha naczelny przywdział dostojeństwo apostołskiej mości, naturalnie, z prawami przysługującymi takiemu apostołstwu. Arpada ufundował na ziemiach słowiańskich i urządził królestwo węgierskie z późniejszym dworem andegaweńskim, najwspanialszym w ówczesnej Europie. Oto od południa Siedmiogród i Wołosza; od północy i wschodu Pomorze, Prusy i Litwa sąsiadują z Polską; następnie Krzyżactwo się panoszy i wzrasta butnie; a od wschodu i południa Ruś niespokojna. Wśród zaś tylu i tak potężnych sąsiadów stoi osamotniona Polska, malutka, biedna, bez kultury...

Potężne państwo morawskie i czeskie padło pod ciosami franków i niemców; padło tyle plemion słowiańskich, siedzących niegdyś na swych ziemiach aż po Łabę i Ren się ciągnących. Śladu po tych plemionach nie zostało, nawet imię wielu z pamięci historyków szczezło. Podobnego losu musiałaby i Polska malutka, nie znacząca nic prawie w świecie politycznym, oczekiwać. Pozostawałoby jej tylko rozpląnąć się, jak wiele innych państwerek podobnych, w morzu obcych i wrogich narodów. Musiałoby to być i byłoby to zupełnie naturalnem i logicznem następstwem skojarzenia tylu niepomyślnych warunków dla jej bytu politycznego. Musiałaby Polska upaść już wtedy, a nie upadła! Czemu? — Genijusz Mieczysława, Chrobrych i tak dalej nie dał jej upaść. Zapewne, tacy ludzie wiele zaważyć mogą na szali wypadków historycznych, wiele znaczą w życiu narodu swego, w jego rozwoju politycznym i kulturalnym. Wiele! Lecz i genijusze muszą mieć choć jakiegokolwiek warunki sprzyjające zamiarom ich i działalności ich. Genijusz zużytkować te warunki potrafi i musi rozwinać je, przetrworzyć w rzetelną siłą działającą, nie bierną, w potęgę właściwą i konieczną dla celów i dążeń. Genijalni ludzie sami stwarzają warunki i okoliczności im potrzebne, lecz muszą jednak mieć wpierv coś, z czego by to wszystko stworzyć mogli. Nie mając żadnego warunku, nie mając tego coś nawet, jako wartości koniecznej, żaden genijusz nie potrafi z niczego coś zrobić. Trza być Bogiem samym na to, genijusz stanowczo nie wystarczy.

Mamy wogóle bardzo przesadne pojęcie o genijuszach, podobnie jak prostak o swym monarsze. Przy bezstronnej, bliższej analizie, genijusz dużo traci, dużo... Widzimy zdaleka blaski tylko, lecz i słońce ma swe plamy, promienie jego mają między sobą próżnię, która się ciemnym paskiem odznacza. A zresztą, jak powiedzieliśmy już, nie wszyscy Piastowie byli genijalni. Co więc ochroniło Polskę od utonięcia w oceanie obcych narodowości, co ochroniło ją, gdy niedołączny Piast objął naczelnictwo narodowe? —

Ochronił Polskę genijusz wojenny Łokietka, genialny polityk i gospodarz syn jego, Kazimierz Wielki. Lecz co ochroniło w czasach Kazimierza Odnowiciela, Wacława czeskiego? — Zdrowy rozum narodowy, moralność narodowa, solidarność narodowa. Dobrze! a skądże się to wszystko wzięło i to tak w silnym stopniu, że zapobiegło nieszczęściu niewoli? Utrata bytu politycznego nie nastąpiła pośrednio, ni bezpośrednio przy warunkach i okolicznościach nad wyraz sprzyjających temu? Czem wreszcie wytłómaczyć, że Polska Stanisławowska, w wieku XVIII-m obszerna w swych granicach, ludna, zamożna, kulturalna stosunkowo, studyująca zapamiętałe filozofię i nauki przyrodzone; nie mogła się jednak zdobyć na tyle zdrowego rozumu, na tyle moralności narodowej i solidarności, by, przy zasobach stosunkowo olbrzymich, wydobyć się z gmatwaniny wewnętrznych stosunków, porwać sieci polityczne sąsiadów i, jeśli już nie uniknąć losu niewoli, to przynajmniej zdobyć się na walkę rzetelną, prawdziwą, na jaką ze wszechmiar stać ją było! I powinna była to uczynić, choćby dla uratowania narodowego honoru wobec świata i następnych pokoleń!

Polska Piastowska nie miała manier polerowanych epoki Stanisławowskiej, nie miała jej kultury, ni zamożności jej, ale miała wiarę gorącą w Boga Jedyneho i ufność wielką w Jego pomoc. Jedną miała wiarę — nie dziesięć! I to ją zawsze ratowało. Dotrzymywała przysięgi danej przez ojców Boga. Pamięć o tej przysiędze, ta wiara, jedna jedyna, łączyła cały naród w jedną nierozzerwalną całość! Jedno pojęcie dawała ta wiara o Bogu, jedno o Ojczyźnie, o obowiązkach względem niej, o honorze i cnocie. Ta wiara tworzyła jedną moralność narodową, jedną Duszę! Duszę jedną! To najważniejsze!

Mieszko miał naród, miał raczej masę narodową, lecz duszy w niej nie było. Ciągłe utarczki z Niemcami mogły naród nie wielki wycieńczyć tylko, zdemoralizować ostatecznie i koniec końców, wcześniej czy później, oddać go



na łup sąsiadów możniejszych. Zrozumiał to genialny Mieszko. Zrozumiał i to także, że trza tę masę narodową ożywić, trza w nią jakąś ideę wielką rzucić, któraby ten naród nietylko ożywiła, lecz i przyciągnęła pokrewne plemiona i zespoliła w jedną całość. Ni ciągle utarczki z niemcami, ni stare wierzenia i baśnie, nie mogły mieć tej siły atrakcyjnej i uroku koniecznego.

Trza było koniecznie zbudzić ducha idei w narodzie i to idei jakiejś wzniosłej, odpowiedniej psychicznej naturze tych plemion słowiańskich. By ducha z uspienia obudzić, trzeba do ducha duchem przemówić i trzeba go duchem nakarmić! Mieszko i to rozumiał. Uczynił więc krok stanowczy, nad wyraz ze wszech miar genialnie obmyślany. Nie na dziś tylko, nie na lata, ale na wieki obliczył jego następstwa. Przyjął chrzest wraz z narodem. Tym sposobem uratował Polskę od zguby widocznej i czyhającej ze wsząd. Przyjąwszy chrzest, postawił Polskę odrazu w rzędzie państw politycznych Europy, podniósł swe własne dostojęństwo wśród swego narodu i zagranicą. Ożywił naród ideą ducha wielkiego i silnego, zespolił plemiona bratnie w jedną całość i dał rozpęd w następne wieki. Gdyby Mieszko nic innego nie uczynił tylko to, gdyby nawet sam tego nie uczynił, lecz, rozumiawszy sytuację polityczną i psychozę swego narodu, podał tę myśl swemu następcy, to już temsamem wykazałby genialność swego umysłu i zasłużyłby na miano wielkiego i założyciela królestwa. Gdy więc w chwilach upadku nawet zasiadał niegenialny Piast na tronie, naród znajdował w samym sobie dość rozumu, dosyć siły woli i solidarności, by zapobiedz nieszczęściu ostatecznemu. Wcześniej — później, znalazł lekarstwo na chorobę swą, znalazł sposób na zwalczenie zła, które go trapiło.

W następnych, późniejszych wiekach, okazało się w Polsce wiele wiar; zaczęto w rozmaity sposób rozumieć Boga i Jego wolę, rozmaita też i moralność narodowa poczęła być. Dziś, po tylu strasznych przykładach,

po tylu nieszczęściach narodowych, jeszcze nie zrozumieliśmy, że tylko jedna wiara, wiara ojców naszych, jedyną prawdziwą dźwignią naszą jest, bo z niej wszystko inne wypływa na pożytek narodu i Ojczyzny. A jednak, gdy dla podjęcia jakiej pracy społecznej trzeba nam w obecnych czasach zebrać grupkę ludzi, to należy wprawdzie pilnie się dowiadywać, jak ten, lub ów rozumie nie tylko już Najwyższą Istotę-Boga, lecz co znaczą dla niego, czy znaczą coś wogóle, pojęcia: Ojczyzna, naród, honor, cześć, tradycja, obowiązek? Bez takiego porozumienia koniecznego, nie należy zbierać i nie sposób zebrać dziesięciu ludzi do wspólnej roboty, choćby byli jednakich poglądów politycznych. Bo są to dziś, po większej części, frazesy tylko, któremi każdy szermierzy, każdy po swojemu rozumie i każdy inaczej je chce wykonać. Onego czasu były to pojęcia i uczucia a nie czcze frazesy, biorące naiwnych na lep; pojęcia ustalone, nie wymagające dowodzeń i sofizmatów dzisiejszej doby, a które nie znajdują linii granicznej między cnotą a podłością, zdradą a korzystnym interesem. Co to jest ojczyzna? pytają dziś, czy to drzewo, szmat ziemi jest moją ojczyzną? Co to jest narodowość? Czy to ma być grupka ludzi, mniejsza lub większa, mówiąca jednym językiem, mająca jakiś wspólny ideał lub interes? Drzewo i szmat ziemi wszędzie można znaleźć podobne do naszych drzew i ziemi naszej i to w lepszych warunkach. Grupka ludzi, porozumiewająca się w jednym języku i mająca ideał wspólny — to nie narodowość, to nie naród, bo język z czasem się zmienia do niepoznania, a ideały również. Takiej filozofii giętkiej, takiej mądrości wyszukanej, nie było w czasach piastowskich. I dla tego właśnie naród pozostawał wolnym, a Polska niepodległą.

Naród przywołał Kazimierza Odnowiciela, bo chciał mieć jedno pojęcie o Bogu Wszechmocnym, jedno o Ojczyźnie miłej, o cnotcie i honorze, o obowiązkach względem Ojczyzny. W tem widział swe ocalenie. I słusznie! Gdyby był tego nie uczynił, byłby, już wtedy zaprzepaścił swą

niepodległość wraz z ojcowizną. A przecież ów Kazimierz wcale do genijuszów się zaliczać nie może.

Gdy zaś zdarzało się, że naród przy całym wyteżeniu swych sił i ofiarności, z wielką tylko trudnością mógł podolać wrogowi, Bóg zsyłał swą pomoc niespodzianie, lub ludzi do tego powołanych. Wacław Czeski, naprzykład: gotujący niechybną zgubę Polsce, tknięty ręką Pańską, ducha nagle wyzionął w chwili najbardziej krytycznej dla Polski. Łokietek nie pierwszej mógł ratować Ojczyznę, aż pokutę uczynił. Wtedy dopiero dano mu sił tyle, że wrogów, panoszących się już, jak u siebie, w siedmdziesięciu bitwach zmógł i wypędził z ojcowizny. A uczynił to ten sam Łokietek, który przed swą skruchą i pokutą nie miał i jednej zwycięskiej potyczki, był więzionym przez Niemców, tułał się po lasach i skałach.

Tak, Opatrzność czuwała nad Polską i jej losami w owym długim okresie piastowskim, to widoczne i prawie namacalne. Jeśli bywały okresy wahań, przełomu a nawet upadku chwilowego, inaczej też być i nie mogło, to Polska po każdym takim przesileniu, nie cofała się wstecz, nie słabła beznadziejnie, a przeciwnie, męźniała, podnosiła się, potężniała nawet i szła wciąż naprzód w swym rozwoju dziejowym. Bo był naród jednolitym z krwi i ducha. A stworzyła tę jednolitość duchową, tę spójnię i siłę odporną w ciężkich chwilach przełomowych, jedność wiary i to gorącej, pamięć przysięgi niegdyś danej przez praocjów Bogu Jedynemu. Jeden Bóg i jedna ojczyzna dla wszystkich! To nie mała rzecz! To był najważniejszy warunek, przy pomocy którego mógł piastowy genijusz stworzyć wolne i niepodległe królestwo. To warunek, który dozwalał narodowi nawet w ciężkich chwilach, nawet przy gnuśnym Piaście, utrzymać swe skarby narodowe i przekazać nietknięte następnym pokoleniom. Dlatego to Chrobry tłumiał powstanie narodowe pogańskie, dlatego to niegenijalny Odnowiciel był przywołany na tron; dlatego to Zbigniew Oleśnicki wołał wyrzec się przyłą-

czenia królestwa czeskiego, niż pozwolić na nowinki husyckie. Rozdwojenie bowiem wiary rozdwoi pojęcia moralności w narodzie, wcześniej — później, osłabi dzielność spójni narodowej i moc ducha narodowego.

W najkrytyczniejszych chwilach rozdwojenie to ujawnia się bez osłonek, w całej swej grozie, z cynizmem na czole ponurym. Ze złudzeń i ciemności wychodzi jawnie wtedy na światło dzienne i powiada: »Oto jestem! Oto jestem«, powiada, »w radzie i zdradzie, w sobkostwie i lenistwie ducha i ciała, w obojętności i pysze! Jestem!« powiada, »bo inaczej rzecz rozumiem, bo inaczej czuję, bo inaczej chcę, niż wy!«

Kazimierz Wielki, genialny polityk i gospodarz, po genialnym wodzu, swym ojcu Wielkim, wstąpiwszy na tron, zastał Polskę wprawdzie wolną od wroga, lecz tak srodze skołataną, zbiedzoną ciągłymi wojnami, że aby się dalej rozwijać, a nie upaść z wyczerpania sił ostatnich już, widział się zmuszonym za wszelką cenę otrzymać dłuższą erę spokoju dla niej. Zrozumiał Kazimierz, że za cenę Ślązka, kupiwszy konieczny pokój, Polska przy uszczuplonych nawet granicach, lecz zorganizowana na wzór sąsiadów, w państwo bardziej rządne i zamożne, łatwiej utrzyma swą niezależność. A gdy wzrośnie w siły i zasoby, upomni się o zwrot swej rdzennej prowincyi przy okolicznościach sprzyjających. Było w myślach Kazimierza tylko czasowe ustąpienie i to tak czasowe, że Ślązka odebranie stawi Ludwikowi węgierskiemu jako warunek konieczny. Przyłączeniem zaś Rusi Czerwonej powetował do pewnego stopnia stratę.

Kazimierz zostawił Polskę nie tylko murowaną ale i warowną, i zamożną, i bardziej oświeconą. Jako wyraz ówczesnej polityki wewnętrznej, ówczesnych potrzeb narodowych, zwyczajów i pojęć, zostawił dwa monumenta: Statut wiślicki i zaczątek Wszechnicy Jagiellońskiej. Jako wyraz przemysłu i handlu polskiego — potwierdzenie cechów rzemiosła, Sukiennice i wytknięte

drogi handlowe. Wygląd też kraju pod jego rządami i życie narodu zmieniło się bardzo. W pewnych chwilach mógł nawet Kazimierz imponować swym sąsiadom zamożnością i ładem w kraju. Nie łudził się jednak wzrostem siły swej Ojczyzny, nie przeceniał. To też umierając, gdy nie widział godnego zastępcy wśród Piastów, oddał Polskę w opiekę Ludwikowi Andegaweńskiemu, najmożniejszemu z monarchów sąsiednich.

Fakt ten polityczny dziwny na pozór, nienaturalny nawet, a jednak tak doniosły w swych następstwach, tak brzemienne wypadkami pomyślnymi dla narodu polskiego w późniejszych czasach i wiekach nawet następnych.

Fakt ten mógł chyba być spełnionym za bezpośrednim natchnieniem samej Opatrzności. Myśl bowiem podobnej wtedy właśnie opieki nad Polską, gdy Piastowie siedzieli jeszcze na swych tronach książęcych, jest wprost cudownym zrządzeniem i jednym z dowodów troskliwości Bożej i przeznaczenia Polski do wielkich celów. Zamieszki wewnętrzne, niesnaski i niezgody ambitnych i wojowniczych Grzymalitów w czasie rządów Ludwika, upadek rządności w kraju, upadek dobrobytu, z takim trudem wzniesionego, to wszystko drobnostka i chwilowe przejście. To da się naprawić. Wielkie zmiany narodowe zawsze się przygotowują wśród wzburzeń i wstrząśnień społecznych. Naród rozwijał się ze swych powijaków niemowlęcia i stopniowo je zrzucał z siebie. O całość zaś Ojczyzny nie było obawy. Żaden sąsiad nie pokusiłby się, pod opieką Ludwikową była! To dostateczne! A naród obrzydzi sobie w końcu niezgody i bezrząd, bardziej będzie łaknął porządku, gdy przyjdzie czas opamiętania. Materyalne siły wrócą też stopniowo. Lecz naród w tem przesileniu nabierze doświadczenia, zmańdrzeje i zmężnieje zostawiony prawie sam sobie pod słabem kierownictwem Elżbiety. A zmańdrzeje tak, iż będzie rościł sobie prawo do większych swobód politycznych i społecznych narodowych, a Ludwik mu je da dla swego spokoju. Zawiązek więc konstytucjonalizmu

narodowego wyłoni się, a ten popchnie naród na wielkie tory polityczne, da mu z czasem siłę i sławę.

Czy Kazimierz, oddając Polskę Ludwikowi, przewidywał wypadki mające nastąpić w przyszłości; czy mógł oczyma swej duszy oglądać losy, jakie Opatrzność przeznaczyła jego małej Ojczyźnie? Czy w swych snach i marzeniach widział tę cudną dziewicę-aniola, z jego krwi, zasiadającą na jego osieroconym tronie? Czy widział potężny Grunwald, Horodło, tę gwiazdę cudowną w koronie Polski — Unię Lubelską? Czy widział to? Czy przeczuł tę siłę ducha polskiego, która odtąd śród ludów nieść będzie przez wieki wielką chorągiew amarantową, jako wielką pochodnię miłości bratniej i wolności ludów? Zaiste, gdyby Kazimierzowi w owym czasie, gdy Polskę oddawał Ludwikowi, Bóg oczy duszy otworzył i kazał mu patrzeć na te cuda losów jego Ojczyzny, upadłby na kolana i głowę swą królewską pochyliłby do stóp Ukrzyżowanego, wysławiając w zachwycie i zdumieniu dobroć i mądrość Najwyższego!

Polska za rządów Ludwika przedstawiała taki bezład, taką anarchię, iż raczej, zdawałoby się, według ludzkiej rachuby, tylko zniknięcie kompletne z widowni dziejów przeznaczeniem jej. A jednak ręka Opatrzności, która umie i wszelkie zło zużytkować ku swym celom odwiecznym, i tym razem na korzyść narodu polskiego obruciła jego utrapienia i niedolę. Kto może wiedzieć jak i naszą dolę, dzisiejszą, naszą nędzę niewoli, też ręka potężna zechce przeistoczyć? Może te wszystkie nieszczęścia narodowe są nam konieczne, byśmy w siebie wniknęli; by duch nasz przez pracę wewnętrzną spotęźniał, skupił swe siły w walce ciągłej o nasz byt, o naszą myśl, o nasze słowo narodowe; by plewy, szczególniejsz, szkodliwe, oddzieliły się od ziaren zdrowych, nie zatrwały sobą ich mocy do życia i działania. A wtedy dopiero nasz naród, przeszedłszy przez próbę cierpienia, przez bóle pracy i zawodów, będzie mógł sprostać zadaniom, jakie mu Bóg przeznaczył? Kto może temu

z ręką na sercu, bez sporu ze swem sumieniem, ze swą duszą, zaprzeczyć? Chyba ślepy na umyśle i na duszy. Kto może losy narodu naszego za przypadek uważać? Kto z ludzi głębiej wnikających w przeszłość ludzkości, w ducha tej ludzkości, który, jako iskra Boża, jako tchnienie Boga Stwórcy, jest częścią Bóstwa, a więc mającą w ten lub inny sposób związek z całością i początkiem swym, będzie mógł zaprzeczyć, że najbardziej logiczne rachuby ludzkie, ten duch nieraz już miażdżył i sprowadzał pojęcia i wypadki wręcz przeciwne, nieprzewidziane? Tylko ślepy, jak powiedzieliśmy, lub młodzik chyba, prędko i radykalnie rozwiązujący wszystkie zagadnienia z uśmiechem zadowolenia z siebie, będzie mógł oponować i przeczyć prawdzie oczywistej!

Kazimierz, oddając Polskę Ludwikowi, przewidział tylko, że jeśli będzie połknięta, to tylko przez Węgry chyba. A że z rodem Andegaweńskim był blisko spokrewnionym i, że Węgry ówczesne najbardziej wydawały się być oświeconymi, sądził zatem, prawdopodobnie, iż taki los zjednoczenia będzie najznośniejszym dla Polski. Więcej nie mógł przewidzieć, a jednak stały się rzeczy ponad rachuby.

Biskup i kanclerz, Zbigniew Oleśnicki, zauważywszy ruch husytyzmu w Polsce, stłumił go w zarodku, czyniąc zadość swym podwójnym obowiązkom. Jako ksiązę i sługa zarazem Kościoła katolickiego, musiał dbać o interesa tegoż Kościoła i ochraniać je. Jako pasterz, musiał bronić swej owczarni od zarazy zgubnej. Jako patriota, rozumiał znaczenie rozdzielenia religijnego w narodzie. Zresztą, miał ad oculos przykład tego na tychże Czechach. Nie mógł więc dobrowolnie zamykać rozumnych swych oczu. Jeśli Hus był patriotą czeskim, to nie mniej Oleśnicki polskim był. Hus widział swą ojczyznę w rękach mocnych Niemców i widział naród swój stopniowo niemczony. Niemcy rządili Czechami, jak dziś Poznańskiem, a będąc bardziej

oświeceni, pochłaniali wprost wszystko, co stanowiło odrębność narodową Czechów. Panowie i szlachta do tego stopnia się wynarodowili, że aż zmienili swe nazwiska historyczne, niższe zaś warstwy ze wstydem tylko przyznawały się do swej narodowości. Język czeski i poczucie narodowe prawie zupełnie zatracono. By więc rozbudzić i podnieść to poczucie narodowe, należało wyłączyć społeczność czeską ze społeczności niemieckiej. Chwycił się zatem Hus ostatecznego środka, a jak mu się zdawało jedyne: Oderwać się, chociażby pozornie tylko, od katolicyzmu, stworzyć nową, narodową, czeską religię, by tym sposobem przeciwstawić ją religii wrogów. Tym sposobem chciał wyłączyć Czechów z pośród Niemców, zespolić swój naród, pobudzić go do wielkich masowych powstań i, koniec-konców, uwolnić Ojczyznę od znieprawionego panowania Niemców. A wtedy Czechy staną się znów niezależnym królestwem, może nawet da się odbudować Morawsko-Czeskie. Albo połączą się z bratnią Polską, wolną a tolerancyjną, a rycerską, której urok i sława po sprawie grunwaldzkiej coraz bardziej się rozchodziła wśród Słowian i obcych narodów. Idąc na stos płonący wskutek podstępu cesarza Niemiec, Hus rozumiał, że popioły jego będą wielkim zarzewiem wojny o niepodległość Ojczyzny, a duch jego będzie prowadził tłumy zbrojne od zwycięstw do zwycięstw. To słodkie marzenie dodało mu sił do wstąpienia na stos płonący, jakoby na tron, i zmniejszyło cierpienia mąk i konania. Niestety! tylko marzeniem, tylko złudzeniem zostało! I dopiero dziś, po wiekach ucisku i niewoli, ten naród zaczyna się poczuwać narodem i lepsza przyszłość zda się unosić przed nim.

Polska jednak, w zupełnie odmiennych, a nawet wręcz przeciwnych znajdowała się warunkach. Wolna i niepodległa, wzmocniona braterskim związkiem z Litwą, potrzebowała tylko spokoju, by się swobodnie i naturalnie rozwinąć.

Opatrzność palcem wskazywała jej właściwą drogę, po której mogła i powinna była kroczyć. Katolicyzm stał



się właśnie religią narodową Polski. Nowej zaś nie było i nie czuła potrzeby jej, by jak Czechy, wyłączać swą narodowość z drugiej. Przeciwnie, spójnia duchowa była dla Polski konieczną, prawie warunkiem jej bytu. Wobec ciągłego rozpraszania swych sił po wielkich obszarach Litwy i Rusi, skupianie i potęgowanie sił ducha i sił fizycznych niezbędne było. Pomawiana przy tem przez zazdrosnych wrogów o spoganizowanie się wskutek połączenia się z Litwą pogańską i osadzenie na tronie neofity litewskiego, Polska nie mogła bez ujmy swej, bez szkody wielkiej, jaką zwykle przynosi rozdwojenie religijne, zgodzić się na wprowadzenie husyckiego sekciarstwa. Z drugiej znów strony, jako kanclerz, mąż stanu i polityk, Oleśnicki rozumiał doskonale, że pomagając Czechom w jakikolwiek sposób, nietylko wprowadziłby zarazę odszczepieństwa od Kościoła katolickiego, który przez swą wielowiekową działalność i wpływ na narodziny tego królestwa, na jego ustrój państwowy i społeczny stał się kościołem więcej niż narodowym, bo podwaliną bytu Polski; ale w dodatku uwikłałby swą Ojczyznę w ciężką i długą wojnę, może z kilkoma naraz wrogami. A w końcu, że te wszystkie wysiłki, przejścia niepewne w wojnach, a których końca trudnoby przewidzieć, okazałyby się może bez korzyści, bez potrzeby, a nawet szkodliwe dla państwa. Tak rozumiejąc te sprawy ze swego stanowiska kapłana i kierownika nawy państwowej, odpowiedzialnego za jej losy, musiał odmówić pomocy Czechom, musiał pogodzić się z utratą czeskiej korony, by swoją zachować w całości. A więc, w zarodku stłumił objawy sympatyj dla Czechów i zatłona iskierkę sekciarstwa przez młodego, dzielnego, sympatycznego, lecz wartogłowego Melsztyńskiego. Tak więc, szalona głowa Melsztyńskiego zginęła w małej bitewce z chorągwią kanclerską, lecz ocalał spokój narodu i bezpieczeństwo mocarstwowe Polski.

Od czasu przyłączenia Litwy i Rusi Kijowskiej polityka Polski i jej narodowe posłannictwo było, jak to już

wyżej zaznaczyliśmy, palcem Opatrzności jasno i dobitnie wskazane. Łączyć wszystkie odrośle słowiańskie, wszystkie gałęzie i gałązki tego wielkiego pnia w jedną całość, w jeden olbrzymi, przemocny dąb, któryby mógł uragać wszystkim burzom i nawałnicom. Łączyć miłością braterską, światło wiary i cywilizacji wraz z wolnością wnosić do tych ciemnych, nieszczęśliwych, a niewolniczych krajów i dusz. Z tych wielomilionowych rabów stworzyć ludzi, a stworzywszy z nich ludzi, przygarnąć do serca i uznać braćmi. Z takim hasłem, z takimi chęciami, z takimi planami iść na wschód i północ. Iść, lecz nie dla podbojów, nie dla ciemnienia i wzbogacania się łupem z ich chudoby, bo to metoda i polityka natury niemieckiej. Ale łączyć, łączyć w jedno, dając wszystkie dobrodziejstwa wolności, dając to, co Polska sama miała, czem ją Bóg obdarzył. Taką była missya narodu polskiego i ta polityka była jej wskazaną. I gdyby Polska była to spełniła, wykonała w swoim czasie, nie znalazłbyśmy dziś Murawiewych ni Bismarków. Gdyby tę missyę zrozumiano i wykonano, to wiek XVIII do nasby należał, a w XIX wieku nie germanizm przodowałby światu...

To też epoka Jagiełłowa zdawała się to rozumieć. Kultura polska, bez żadnego wysiłku, sama przez się, przenikała daleko, daleko, gdzie jej nie znano dotąd. A wspaniały akt w zamku Lubelskim wieńczył dzieło Jagiellonów, dając wolność i braterstwo ludom, które nie znały jeszcze tych dobrodziejstw.

Co za widok wspaniały, a nie znany światu dotąd! Zygmunt August, król polski, rzeka się prerogatywy władcy-despoty, dziedzicznie i bezspornie mu przynależnych nad Litwą i Rusią, nad ludami ich. A czyni to nie pod przymusem jakimkolwiek, ale z dobrej i nie przymuszonej woli. A naród polski tym ludom, nawpół jeszcze dzikim, daje swe braterstwo, swe herby rodowe, swe prawa konstytucyjne. To był testament polityczny osta-

tniego z Jagiellonów, to był najświetniejszy brylant jego korony.

I dzieje się to właśnie, gdy Iwan Groźny, książę Moskwy, współczesny Zygmunta Augusta i prawie rówieśnik jego, zbiera pod siebie dzielnice słowiańskie przy pomocy swych »opryczników«-katów i utwierdza swe »samoderżawie« zbrodniami.

A mimo to wszystko, popełniono błąd, który się nie dał już naprawić. Żyzne okolice południa pociągnęły ku sobie Witolda i, po strasznej, a nieszczęśliwej bitwie pod Worskłą, zdołał Tatarom odebrać Podole i część Wołynia. Korzyści materyalne miał Witold na celu, nie dobro pokrewnych narodów. Moskwa zatem, choć bardzo blizka granic Litwy, malutka, barbarzyńska, uboga, siedząca na błotach leśnych, nie zdawała się być łakomym kąskiem, tem bardziej, że łatwym do zdobycia. Zlekceważono to sobie. I stała się myłka fatalna, a już w lat sto niespełna dała się odczuć jako kara. Napady dzikiej Moskwy stają się coraz częstsze, poczęły pustoszyć Litwę pograniczną, a następnie i Ruś. A te niepokoje nie skończyły się nawet z rozbiorem Rzeczypospolitej Polskiej, bo dotąd nie przestaje nas łupić i mordować w jakibądź sposób, z jakiegobądź powodu i bez żadnego powodu nawet.

W miarę, jak nowinki religijne poczęły przenikać do Polski, począł się i upadek jej sił. Za czasów już ostatniego Jagiellona sekciarstwo rozplenilo się szeroko dzięki tolerancyi, jakiej świat ówczesny nie znał jeszcze. Podkopało to jedność niepodzielną Kościoła katolickiego, podkopało jedność pojęć moralnych, następstwa zaś tego bardzo opłakane ujawniły się w całej pełni dopiero w późniejszych czasach. Jako łańcuch nieprzerwany, w którym jedno ogniwo spływa z drugiego, tak porwana jedność moralna narodu zrodziła rozluźnienie obyczajów, aberracyę sumień i umysłów. Upadek spójni duchowej narodu i dezorganizacya wewnętrzna, późniejszy bezład i anarchia, któ-

rej dziś, w retrospektywie czasów przyglądamy się ze zdumieniem i żalem serdecznym, były następstwem logicznym. Poczynając od Wazów, a nawet i wcześniej, już tylko ofiarnością bohaterskich jednostek Polska swój byt podtrzymywała polityczny. Naród już nie był zdolnym do wielkich wspólnych wysiłków w obronie swych praw i swej Ojczyzny. Wielość pojęć religijnych i wielość sumień musiała wprowadzić do duszy zwątpienia, a do umysłów zagmatwanie. Nie występujemy tu bynajmniej wojowniczo przeciw tolerancji religijnej, nie staramy się wcale zwalczać ją, szczególnie w obecnych czasach i przy warunkach socjalnych bez porównania zmienionych i różnych. Tu konstatujemy tylko fakty historyczne i nasze poglądy na nie. Tolerancja religijna jest dziś tak konieczną dla rozwoju socjalnego życia narodów, jak i wolność polityczna. Dwóch zdań chyba tu być nie może. Konstatujemy tu tylko cały szereg następstw, jakie musiały wywołać religijne sekty. Za granicą doprowadzały one do całego szeregu wojen domowych, zmieniły stosunki narodowe i polityczne. U nas, obeszło się wprawdzie bez takich wojen religijnych, miały jednak te sekty wpływ olbrzymi na losy narodu polskiego i naszej Ojczyzny, a wpływ ten zawsze ujemny i to bardzo. Byłoby stokroć korzystniej pod każdym względem, gdyby naród polski w całości swej, a nie tylko w większości swej, był zachował swą jedyną, od praojców przyjętą i zaprzysiężoną wiarę. W miarę bowiem rozwielenia się różnorodności wiar i sekt wszelkiego rodzaju, powstaje różnorodność dążeń i chęci ścierających się z sobą najpierw w kole spraw religijnych, a następnie i polityka, i sprawność administracyjna, i obrona całości Ojczyzny, wchodzi stopniowo w sferę i grę intryg sekciarskich. I to w najważniejszych momentach, w najkrytyczniejszych chwilach dla Królestwa zaznaczają swoją odrębność interesów i chęć wyzyskania sytuacji. Już nie podnosi się Polska po każdej klęsce, jako dawniej, potężniejszą i świetniejszą duchem, rozbudowanym ku ofiarności i pracy społecznej;

nie idzie naprzód w swym państwowym rozwoju. Nie! Ona już tylko wyteża swe lepsze siły ku zachowaniu tego, co jej dawniejsze wieki przekazały w spuściznie, tylko. A nie zawsze i to już jej się udaje. Następnie, pozostaje jej tylko cofać się kolejno i, o ile to możliwe, w najpóźniejszym tępie ze swego znaczenia i zajętych pozycji.

Blask Unii Lubelskiej był już ostatnim blaskiem wielkiej i prawdziwie polskiej polityki, bo konstytucya 3-go maja była tylko chwilowym błyskiem, bez następstw, wskutek zbiegu fatalnie nieprzyjaznych warunków. Jak również odsiecz Wiedeńska — ostatnim blaskiem oręża polskiego. Odtąd słońce narodu zachodziło coraz szybciej i w końcu ogarnęły ciemności straszne Ojczyznę. A w tych ciemnościach słyhać było jęki, szamotania się bezsilne, kotłowanie rozpaczliwego zmagania się, wołanie o pomoc do Boga i ludzi, lecz dnia nie było, aż dotąd, aż do dziś...

Już Kazimierz Jagiellończyk chciał podjąć dzieło Witolda i jego omyłkę naprawić, nie przyszło to jednak do skutku. Batory następnie podejmuje tę politykę dążenia ku północy i wschodu; swemi zwycięstwami doprowadza prawie do skutku. I oto dziwne zjawisko. Po wielu trudach, pracach u siebie, na sejmach i przeciwnościach wojennych, gdy dzieło blizkie już, zda się, ukończenia, naród uparcie sprzeciwia się osiągnięciu stanowczych rezultatów. A gdy zapadła w końcu uchwała pomyślna dla planów Batorego, król żyć przestaje. W owej epoce już nie było jednolitego ducha narodowego, jednolitego sumienia i rozumienia obowiązków względem Ojczyzny. Nie było jedności, więc i zrozumienia misji swej narodowej i konieczności pełnienia jej nie było. Naród nie chciał jej rozumieć. Chciał używać tego, co już zdobył, używać dobrobytu w pokoju i bez troski. Kwietyzm zapanował nad wszystkimi ideałami. Ni Batory, ni Zamoyski nie mogli już przekonać. Na marne poszły ich trudy i praca ciężka, na marne! Obłęd używania mącił umysły i serca, jasność myśli politycznej przysła w narodzie.

Gdy zewsząd przychodziły niebezpieczeństwa, nie stawał już naród, jak ongi pod Płowcami, pod Grunwaldem, jako jeden mąż do obrony swych dóbr narodowych, całości swych granic. Wysyłano, i to nie zawsze chętnie, garstkę, której przewodził jaki ofiarny mąż, garstkę na całą potęgę wrogów. Garstka ta zażrzana przykładem swego wodza-bohatera, w imię starych pojęć honoru i obowiązku, musiała odnosić zwycięstwa pod Kirholmem, Kluszyńcem i tak dalej. Musiała, bo za jej plecami stała Ojczyzna bezbronna. A bezbronna prywatą i warcholstwem, bezbronna sporami religijnymi, brakiem jedności ducha i sumienia. Duch polskiego narodu był już wówczas truty, tracił stopniowo swe siły, stopniowo i stale. Ni Batory, ni Zamoyski, ni Chodkiewicz, Żółkiewski, ni tylu innych wielkich, ofiarnych mężów, nie mogło już podnieść tych sił ducha zamierającego. Jeśli czasem błysnął, to chwilowo tylko. Zrywał się na moment z pozorami wracającego zdrowia do czynu, lecz to był już tylko wysiłek, po którym następowało wyczerpanie i chęć odpoczynku martwego i długotrwałego za wszelką choćby cenę. Nie mogli więc ci wielcy ofiarnicy dużo czynić przy największych swych staraniach dla ratowania upadającej Ojczyzny. Mogli nieraz już tylko głowę swą oddać w ofierze za honor narodowy i ku opamiętaniu. Ale naród po chwilowem zdumieniu i zawstydzeniu, dalej używał dobrobytu, kłócił się, jedni intrygowali przeciw drugim i tak bez końca. Wyprawy Zygmunta III-go, Władysława IV-go, były prowadzone bez dostatecznego i rozumnego poparcia ze strony narodu. A ci, którzy szli na nie, szli, po większej części, dla łupu, dla zdobyczy, nie w imię dobra Ojczyzny, idei braterstwa i szerzenia cywilizacji. Szli, bo gdyby gratka się zdarzyła, możnaby zdobyć całą fortunę jednego dnia i już tylko używać, i używać. Nieraz wielkie gromady szły luzem, każda na swoją rękę coś zdobyć chciała... A gdy trza było stoczyć prawdziwą bitwę z wielokroć przewyższającym wrogiem, to Żółkiewski tylko garstkę

mógł rzucić do boju. Ale też ta garstka z Żółkiewskim na czele, rycerzem bez skazy, miała jednego Boga w sercu, polskiego Boga i jedno sumienie, polskie naprawdę. Dlatego to, ta garstka złamała ogromną siłę wroga i weszła do Moskwy.

A gdy zwrócimy naszą uwagę jeszcze i na intrygi rozmaitych stronnictw i osób, zrozumiemy łatwo, dlaczego nawet wzięcie Moskwy i Smoleńska, przywołanie królewicza polskiego na tron teje Moskwy przez sam naród moskiewski, ujęcie aż trzech carów Szujskich i przywiezienie ich do Warszawy, jako trofea wojenne; nie mogło to wszystko ustalić wpływów, ni rządów polskich w krajach septentryonów. Zamiast braci, zrobiono sobie z tych narodów wrogów nieprzejednanych, dzięki lekko-myślności i lekceważeniu najżywoźniejszych interesów Ojczyzny i posłannictwa narodowego. Zamiast powstrzymania chylenia się, przyspieszono upadek polityczny. Była to już ostatnia próba, jaką Polska podjęła dla swej misji cywilizacyjnej. Musiało więc się stać, co się stało. Odtąd tylko widoczna już kara wisiała nad Polską i z chwilą śmierci Władysława IV rozpętała się na dobre. Próżno Pan nawoływał do poprawy przez usta natchnione Piotra Skargi: ... »sługi sług waszych będą wam panować!«... groził. Napróżno! Zgnilizną moralną, jak trądem stopniowo okrywał się naród. Piękna myśl Skargi utworzenia unii kościelnej, genialna pod względem politycznym, została spaczona w swej nawet zasadzie i początkach pomyślnie się zapowiadających przez niepowołanych i nierozumiejących jej doniosłości. A jednak myśl ta była tak zbawienną, że jej urzeczywistnienie dałoby więcej spójności duchowej Polsce, dałoby nową siłę polityczną. Myśl ta równoznaczająca była Unii Lubelskiej ze wszystkimi prawie jej następstwami, a co najmniej, koniecznem jej dopełnieniem. Ale zepsuta odrazu w swym zawiązku, stała się raczej przyczyną nowych klęsk, stała się bronią skuteczną w rękę wrogów przeciw teje Polsce.

Zastanawiając się nad tymi wszystkimi buntami i wojnami, jakie w czasach Jana Kazimierza Polsce wypadło przeżyć i przetrwać, nie tylko zdumienie, lecz wprost jakieś osłupienie ogarnia człowieka, mającego pojęcie o prawnym państwowym i społecznym ustroju narodów europejskich. Widzimy bowiem wielką mnogość spraw wojennych, wraz z różnorodnością ich głównych aktorów, przyczyn, pobudek, charakterów i celów w jednym i tym samym prawie czasie występujących do działań, kojarzących się z sobą, spiętrzonych, splątanych, a rwących na oślep przed siebie, bez oglądania się. Taka też i mnogość rozbieżnych usposobień w narodzie, zapatrywań, chęci, dążeń i czynów. Bohaterskie wysiłki ku ratowaniu Ojczyzny, gotowość do ofiar z mienia i życia, poświęcenie, zda się do niemożliwych granic posunięte z czystej miłości ku Ojczyźnie, lub poczucia honoru, rozum zdrowy i polityczny przy entuzjazmie wojennym; a obok tego wszystkiego widzi się indyferentyzm narodowy, obojętność w sprawach, sobkostwo i niedołęstwo aż do zbrodni posunięte; próżność i pycha aż do zdrad, zdrad nigdy w Polsce dotąd niewidzianych i nieznanych. To już nie zdrada jakiegoś osobnika niezadowolonego, w swej pysze obrażonego, lub wyrzutka społecznego, banity i t. p.; to zdrady całych odłamów społeczeństwa, całych prowincyi, całych krajów! Straszne! Straszne! Dziś po tylu wiekach grozą przejmują to. Gdy się wnika w te pobudki czynów haniebnych i niecnych, w te bachanalie uczuć i orgije pychy umysłów politycznych; nie tylko smutek wielki i żal serdeczny dławi duszę, ale i wstyd wielki i niesmak przykry przepętnia. A jakich uczuć doznawali ówczesni prawi patryoci, widząc walący się w gruzy olbrzymi i piękny gmach Ojczyzny, przesławnej Rzeczypospolitej? — A jednak, cześć i sława im, tym praojcom naszym! Bo ponad szaleństwo i zgmatwanie myśli i czuć, ponad złość wrogów i wielkość wypadków, stali wyżej, stali wielcy! Z zamętów powodzi i burz piorunowych wywiedli statek ojczyźniany, ocalili go



i następnym wiekom potrafili przekazać jeszcze majestatem swym imponujący, jeszcze obszerny bardzo i silny, choć potrzebujący naprawy! A nie łatwa to sprawa była, gdy własne dzieci swemi rękoma własną Matkę w jej krwi kąpały, bluzgały błotem i wściekłą śliną w jej oblicze, we własny naród! Sprzedawano wrogom Ojczyznę kawałami, lub w całości, kto da więcej! Co za szal, co za bezwstyd! Co za mrok padł na umysły, co za obałamucenie dusz i serc narodu! Coś szatańskiego widzi się w tem wszystkim. I skąd to się wzięło? Naród polski był zawsze dumnym ze swej Ojczyzny, prześwietną Rzeczpospolitą ją nazywał, miłował ją gorąco w ciągu tylu wieków, tyle krwi swej wylał dla niej i za nią, tyle ofiar rozmaitych ponosił dotąd! Skądże się wzięło to bezmyślne rozpętanie, jakby żywiołów dzikich? Skąd to? Gdzie i w czem odpowiedź na to znaleźć można, gdzie szukać jej?... A dziwnem i rzucającem się w oczy to zjawisko, że nie nędza ogólna, nie despotyzm nieznośny, ni żadna rozpacz bez wyjścia, jak to gdzieindziej bywało, zagranicą, doprowadziły naród do tego szalu i bezwstydu; że właśnie ci, którzy najwięcej darów otrzymali od Ojczyzny, najpierwsi ją odstąpili, zdradzili i najzajadlejszymi wrogami jej się stali. Oni to i drugich za sobą pociągnęli, obałamucając umysły, deprawując sumienia, kupując honor i cześć. Ci wszyscy Radziejowscy, Opalińscy, Radziwiłłowie i tylu innych, albo nie mieli Boga w sercu, albo, jeśli mieli, to nie był ten Bóg polskim, a sumienie też nie było polskiem sumieniem, duszy polskiej! Nie! to wszystko, jeśli było u nich, było cudzem i obcem naturze polskiej, chociaż polskim chlebem tuczone!

Nie dziwny się też tak bardzo, widząc rząd rosyjski z wielką energią podtrzymujący swe prawosławie. Coby nie rozumiano i jakby nie sądzono, prawosławie jakie ono jest i jak jest, to siła Rosyi w każdym razie, to jej potęga. Raz prawosławie runie, runie i potęga jaka jest Rosyi. Ale już dziś widocznem się staje, że chociaż Aleksan-

der III bardzo był prawosławnym, jak niegdyś nasz Zygmunta III bardzo katolickim, to jednak duch już uleciał z cerkwi prawosławnej. Jeśli gdzie się jeszcze kołacze, to chyba w najniższych warstwach rosyjskiego narodu. Oznaki rozkładu i pleśni ducha jawnie się już ukazują, zgnilizna społeczna coraz większe zatacza kręgi i coraz większe plamy gangreny społecznej występują na tem olbrzymiem cielsku, którego spójnią — knut i prawosławie. A co te plamy zwiastują? — Wiemy z własnego doświadczenia. W Rosyi duch jedności już się rwie na części, została tylko forma czcza. Rząd i tą formą się zadawała, tą skorupą, gdyż i sam już jest bezduszny, bezwyznaniowy. Gdy zaś ta zgnilizna obejmie i niższe warstwy rabów wielomilionowych, to rozpętanie dzikich namiętności dojdzie do tak potwornych rozmiarów, że zbledną nawet wszystkie orgije bezceństw i zbrodni wielkiej rewolucyi francuskiej. Nie człowiek to wolny wstanie w Rosyi, bo to złuda, dzika bestya apokaliptyczna zerwie się z łańcucha i pożre wszystko i wszystkich.

Gdy spory religijne coraz częściej zaczęły wyrzucać ze swych mętów objawy bardzo niezdrowe, a zjawiska polityczne wskazywały coraz częściej na podminowanie spójni i dzielności ducha narodowego; gdy wskutek tego siły ojczyzny poczęły zapadać w letarg osłabienia; rząd polski starał się ograniczenia przynajmniej niektóre sekciarstwu nałożyć. Było to jednak lekarstwo spóźnione już. Widzimy bowiem jeśli nie wojnę religijną prawdziwą z tego powodu, to w każdym razie bardzo silne zaburzenia na sejmach i w łonie samego społeczeństwa. Następstwem zaś tego, silne zubożenie religijne, a które udzieliło się i duchowieństwu nawet. Naród ogłupiał do tego stopnia i zubożniał na swe i Ojczyzny losy, że wprowadzenie Augusta Mocnego na tron Polski przez kilku złotych saskich zapłaconych śmiałków, profanacya pogrzebu Sobieskiego, profanacya koronacyi, nie oburzyły do głębi narodu. Nie stanął on, jak jeden mąż, w obronie swych praw pogwał-

conych i swego honoru. Drugiej Byczyny nie było, bo i drugiego Zamoyskiego już nie znaleźć. Na razie przyjęto fakt dokonany obojętnie. A gdy później opamiętał się naród, zerwał się do broni, to było to już za późno, tem bardziej, gdy i jednomyślności zabrakło. Wojska saskie z ministrami saskimi gospodarzyć poczęli jako sami chcieli, a w narodzie chaos i stronnictwa zwalczające się wzajemnie, orężnie nawet. Czegóż już wówczas można się było spodziewać od społeczeństwa polskiego i jakiego losu wróżyć ojczyźnie? Polska w owym czasie jeszcze bardzo obszerna, bardzo zamożna i ludna, mogła być zająć jedno z pierwszych miejsc w rządzie mocarstw Europy; a tak bezsilna, tak bezbronna, że obcy bezkarnie tratuje jej pola kopytami swych koni. Hulają po niej, jak po stepie bezludnym, bezpańskim, otwartym dla wszystkich.

Piotr Wielki, genialny i zarazem brutalno-dziki despotą, układa się z Sasem o rozbiór Polski, pustosząc ją tymczasem swymi przemarszami wojskowymi. Karol XII, Szwed, stał się nieproszonym protektorem i rozjemcą w wadziach narodowych i sporach religijno-politycznych. Narzuca narodowi Leszczyńskiego, zacnego człowieka i mądrego filozofa, ale nie wybranego przez naród początkowo. Narzucony przez kaprys Karola i jego dwulicową politykę, Leszczyński mimo woli wprowadza rozdwojenie. Naród polski, wobec tego rozgardyaszu we własnym domu, stał bezradny, swemi partjami wojującemi rozdarty, bez siły i spójni jakiegokolwiek. A ta bezsilność ducha narodowego marnowała olbrzymie jeszcze i niespożyte siły i zasoby narodowe.

Gdyby nam dano dziś te obszary kraju z czasów saskich lub Poniatowskiego, te jeszcze olbrzymie stosunkowo zasoby ówczesne, może, nauczeni strasznem doświadczeniem, potrafilibyśmy już utrzymać w naszych rękach? Może...

Czasy Poniatowskiego, to czasy ogólnej bezwiary, zgnilizny moralnej, a były następstwem i końcem wcześniejszych stuleci. Czasem tylko i tylko wśród rozpaczliwych okoliczności, geniusz narodowy dawał jeszcze przebliski swe poprzez pojedyncze czyste dusze ofiarników i ofiar narodowych, idących na całopalenie z zupełną świadomością i zwątpieniem w sercu w ocalenie Ojczyzny.

Zestawmy teraz dwa przeciwieństwa: Polskę piastowską małą i bez kultury, okrążoną przemożnymi sąsiadami, a która jednak utrzymała swą niezależność w ciągu długich wieków, która mogła rosnąć w obszar ziemi, w sławę i siłę nawet; z Polską stanisławowską co najmniej dziesięćkroć większą, bez porównania zasobniejszą i bez porównania kulturalniejszą, a jednak gnuśną i bezsilną wobec swych dawnych wrogów, aż do zaniku politycznego z pośród mocarstw Europy. Rozważmy to zestawienie poważnie i głębiej w naszej duszy i w naszym umyśle, a przekonamy się z łatwością o prawdziwości i słuszności wypowiedzianych już naszych poglądów i twierdzeń. Tak, wiek elegancyi, wiek filozofii i bezwiary wraz z rozpustą wszelaką, jest zarazem i wiekiem upadku haniebnego naszej Ojczyzny. I co dziwniejsze, że rozpusta i bezwiarstwo i filozofia z elegancyą bodaj w większych jeszcze rozmiarach dają się zauważyć u innych narodów ówczesnej epoki, a jednak żaden z tych narodów nie zapłacił niewolą i bytem Ojczyzny. My jedni tylko! My jedni! Dziwne to zjawisko, zdumiewające bardzo! Bezprzykładne w nowożytnej historii!

Działanie trunku wprowadza stopniowo chwilowe zamieszanie pojęć i chwilowe zaburzenia w organiźmie człowieka, mieszanina zaś dwóch rodzajów trunku, jakkolwiek wpływ wydaje się być bez różnicy i identycznym, działa jednak szybciej i silniej, i dłużej na układ nerwowy. Częste i dłuższe używanie w większej ilości sprowadza zupełny zanik umysłowy, jako następstwo zaniku tkanek nerwowych rdzenia ich. A więc działanie trunków równa

się powolnemu działaniu trucizn. Podobnie trucizna zachodniej Europy, dostawszy się do Polski przez drzwi na oścież otwarte, czy nie wywarła podobnegoż wpływu na ustrój nerwowo-umysłowy naszego narodu? Czy mieszanina trucizny zachodniej ze wschodnio-północną nie była już za silną? Może naród polski, który tyle już rozmaitej przetrwał, tej jednak nie mógł bez szkody dla siebie? Może być!...

Zważmy również i to: gdy dziecko ukochane, na które przelało się wszystkie uczucia serca, w którym położono wielkie i uzasadnione nadzieje przy warunkach bardzo pomyślnych, a jednak, pomimo próśb, przestróg, kar chwilowych, nie przestaje ono swoim postępowaniem ranić ojcowskiego serca, kochającego wciąż, nie myśli o poprawie i błądząc po manowcach nieraz dzikich i szalonych, wszystko niszczy i marnuje zasoby mu dane; czy w takim wypadku ojciec nie będzie się widzieć zmuszonym to dziecko ukochane, właśnie że ukochane, ukarać ciężko i to tak długo, aż przyjdzie mu opamiętanie?... A więc, wzniosłszy się do wysokości wyśmiewanego dziś transcendentizmu, wyśmiewanych pojęć metafizycznych i z tego punktu patrząc na życie całe naszego narodu, czy nie moglibyśmy znaleźć rozwiązania tej bolesnej, tak strasznie bolesnej zagadki?

Filozofia i nauki przyrodnicze w epoce stanisławowskiej miały zupełnie wyrugować wszelką wiarę w Boga i wszelki kult religijny. Miały, według zapewnień Woltera i Rousseau, sprowadzić ludzkość do błogości pierwotanu przez zbliżenie się większe do natury. Tym to sposobem ludzkość miała się uczuć szczęśliwą nad wyraz. A jednak te idee, wprowadzone w życie, dały Francji epokę Robespiera, a Polsce przyniosły deprawację uczuć i sumień, aberrację umysłów i zdrady, aż do zniknięcia z karty politycznej. I w obecnych czasach, po tylu ciężkich doświadczeniach, wielu hołduje tym dawnym zasadom stanisławowskiej epoki. Oby znów ciężkiem doświadczeniem

nie było potrzeba płacić! Daremne przestrogi! Każda epoka, jak każdy młodzieniec niedojrzały, chce mieć własne doświadczenie i własną próbę przejść...

Badania naukowe stwierdzają, że niema i nie było narodu na świecie, narodu — nie jednostek, któryby nie miał jakichkolwiek wierzeń religijnych. A to do tego stopnia, że w miarę upadku religii, szczególniej chrześcijańskiej, powstaje kult guseł i przesądów, zabobonów i wierzeń, niemających nic wspólnego z podstawami logiki, ni rozsądku naturalnego. Badania naukowe stwierdzają, że religia, w swej istocie samej, jest zjawiskiem wszechludzkiem i objawia się w najrozmaitszych formach i przejawach w stosunku pewnym do kultury i charakteru pojedynczych ras i narodów. Nauka stwierdza również, że błędną jest interpretacya, jakoby każda religia, nawet chrześcijańska, powstać miała wskutek poczucia zależności od zjawisk i nieznanych sił przyrody. Antropologia w swych najnowszych badaniach i odkryciach obala w zupełności starą teorię, jakoby jedynie bezsilność człowieka zmusiła go do ubóstwiania żywiołów natury. Może być, że ta bezsilność i zależność człowieka, jak również i cześć dla zmarłych przodków, mogła dorzucić, a nawet i dorzuciła jakąś domieszkę do jego wierzeń. Może być... Treść jednak i forma pierwocin poszczególnych religii i wierzeń dowodzą raczej ogólnej i dziwnej potrzeby duszy ludzkiej, potrzeby, której pierwiastek został wrzucony do tej duszy wraz z jej narodzinami. A zaspokojenie tej potrzeby jest tak silne, tak konieczne, tak domagające się, jak potrzeba zaspokojenia dokuczliwego głodu i pragnienia. Zważmy i to, że te wszystkie wierzenia, choćby w formie naiwnej i wszystkie religie albo dążą do rozwiązania odwiecznie nękającej ludzkość zagadki bytu, albo na podstawie pewnych podań, legend i wierzeń podają już stosowne rozwiązanie, stosowną odpowiedź.

Pobieżne nawet przeglądanie pomników wysileni myśli ludzkiej, przez starożytną filozofię nam przekaza-

nych, nie wspominając już o bardziej jeszcze starożytnych papyrusach Westy, Brahmy, o księgach Mojżesza i t. d., musi nas utwierdzić w tem przekonaniu. Weźmy do ręki tylko dzieła helleńskich myślicieli: Thalesów, Pythagoresów, Demokrytów, Arystotelesów, późniejszych Platonów, Stoików, Sceptyków, Epikurejczyków i t. d., ich szkoły i ich mistrzów... Co nas przeważnie uderza w tych widocznych zmaganiach się myślowych geniusza ludzkości, w tym zbiorze chaotycznym, tej gmatwaninie myśli i pojęć, mniej więcej udatnych? Oto jedno i jednogłośnie dążenie: możliwe zrozumienie i wyjaśnienie zagadki istnienia człowieka, jego strony duchowej i materyalnej, lub natury bytu wszechświata. Pytania takie: Co to jest kosmos, skąd i poco? Co jest człowiek, skąd i poco, dokąd dąży? Są główną, jedyną thezą, nad rozwiązaniem i wyjaśnieniem której najtęższe mózgi pracowały i nie przestają pracować dotąd i szukać odpowiedzi na rozmaitych drogach obecnych czasów. A filozofia średnich wieków scholastyczna, która chciała pogodzić neoplatonizm i Arystotelesa poglądy z filozofią chrystyanizmu i jego objawieniem? Ta chęć podparcia twierdzeń i dogmatów religijnych kombinacjami logiki ścisłego rozumowania, miała również to samo zadanie i cel główny t. j. wyjaśnienie zagadki. Pomimo jednak wielkich i dziwnie pracowitych wysiłków, naprawdę jedno z drugim scholastyka pogodzić nie mogła. I bardzo naturalne. Bo filozofia grecka oparta jest li tylko na dociekaniach myślowych i to bardzo mglistych, bardzo elastycznych, bo badania naukowe były jej obce zupełnie. Kombinacje więc jej myślowe, jakkolwiek znajdujemy je nieraz bardzo zastanawiające, nawet wyprzedzające ducha swego połyskami swój wiek i epokę, zależne jednak one bardzo były od stopnia poznania myśliciela, a nawet od usposobień i skłonności jego natury indywidualnej. Jednego skłaniał ku sobie epikureizm, innego sceptycyzm lub stoicyzm i t. p. Badania naukowe w dzisiejszem znaczeniu, były żadne. Nie mogły więc, choćby do pewnego stopnia tylko, dawać

podstawę realną, lub ukrócić bujność fantazyi myślowej, wiecznie depczącej w jednym kole problematów, ponad siły ludzkie.

Chryścjanizm zaś cały oparty na objawieniu, w które można wierzyć lub nie. To sprawa li tylko duszy indywidualnej i jej uczuć bardzo mnogich i bardzo rozmaitej natury. A objawienie to mówi: »Jest tak i tak. Oto wam objawiam to, co jest koniecznem dla was wiedzieć«. Krótko i węzłowato, bez uzasadnień i bez kompromisu ze zdolnościami percepcyi myślowej człowieczej natury. Bo człowiek nie mógłby tych wywodów i przyczyn zrozumieć, bo zakres jego poznania zawsze będzie za ciasny, bo pojęcia człowieka są za szczupłe, jak np. prostaka w stosunku do uczonego.

Wielką jest męką dla męża nauki zniżyć się pojęciem i stylem wysłowienia, by prostakowi odpowiedzieć na jego pytanie głębszej natury, lub mu wytłómaczyć zrozumiałe swe odkrycie naukowe doniosłego znaczenia.

Męką to jest dla uczonego, męką i dla prostaka, usiłującego zrozumieć słyszane mądre słowo. Rzadko kiedy mędrzec będzie mógł ignoranta pouczyć, jeszcze rzadziej ignorant, przy nadludzkich wysiłkach swego instrumentu myślowego, będzie mógł zrozumieć coś niecoś i to bardzo chaotycznie. Po większej części powstaje w jego głowie chaos nie do uwierzenia i kończy się albo nieufnością ku mądrymu, albo też głębokiem przekonaniem wcale niepochlebnem dla uczonego. W podobnym stosunku i my się znajdujemy względem objawienia. Dlatego to, ni gnostycy, ni nominalia lub uniwersalia, ni św. Augustyn przy swych genialnych pomysłach wraz ze św. Tomaszem z Akwinu, Szkot Erigiena, ni późniejsi ci wszyscy, którzy szukali w naukach przyrodniczych uzasadnienia, tłumaczenia i poparcia pojęć i zdań pisma św. i dogmatów; nie mogli przyjść do rezultatów konkretnych pogodzenia objawienia z wynikami myślowymi i badaniami naukowemi. I nowoczesna filozofia wraz z nowoczesnemi badaniami i odkryciami naukowemi szuka pośrednio rozwiązania pytań wie-



cznie trapiących ludzkość: coto jest to wszystko, skąd się to wzięło i poco ono, koniec końców?

Czy z tego wynika, że koncepcye myślowe i badania naukowe, nie doprowadzając do rezultatów rozwiązania tych zagadnień, mają być zaniechane tem bardziej, gdy religia chrześcijańska podaje rozwiązanie mniej więcej zadawalające potrzebę duchową wielu? Wcale nie!

Szukanie niegdyś kamienia filozoficznego i sposobu robienia złota, jakkolwiek nie doprowadziło do zakreślonego z góry celu, było jednak nadzwyczaj pożytecznem dla ludzkości, bo dało pobudkę do badań naukowych i odkryć doniosłego charakteru. Nie należy tylko te badania filozoficzne i przyrodnicze przeceniać, aż do godności objawień na wzór religijnych podnosić, aż do rugowania wiary w Boga, Stwórcy wszechrzeczy, ośmielać. Bo takie postawienie nauki imądrości ludzkiej nie na właściwem miejscu może tylko szkodę przynieść niepowetowaną ludzkości całej. A naszemu narodowi w bardzo nienaturalnych, wyjątkowych warunkach politycznych i psychicznych znajdującemu się, wyrządzić w szczególności szkodę nieobliczalną w swych następstwach.

W epoce stanisławowskiej rozumiano, że Wolter i Rousseau, jako filozofowie, a ówczesne badania przyrody i odkrycie siły elektrycznej, jako niezbite prawdy i jedyne, w zupełności mogą wystarczyć potrzebom duszy ludzkiej. Wyrugują zatem zupełnie, »przesady i zabobony religijne« z serca człowieka i narodu. W naszych czasach niestety wielu podobnieź sądzi i tem bardziej zdają się mieć rację, gdy ogół zwolenników tych poglądów coraz się zwiększa, a odkrycia naukowe dały tak zdumiewające wyniki, tak świetne rezultaty już, a w przyszłości zapowiadają się jeszcze bardziej doskonałe, że aż ludziom w głowach się zakręciło, aż w duszy się zamroczyło. A jednak, nie mogą one zadowolić tej, domagającej się koniecznego zaspokojenia, potrzeby duszy człowieka, jakie daje wiara w Boga. Te nowe odkrycia, jako potężne i świetne

odruchy, jakiejś wewnętrznej, a niepochwytnej siły samej istoty człowieka, wielu myślicielom dają dużo do myślenia, zmuszają do głębszego zastanawiania się nad istotą duchową, wnikania w najskrytsze jej tajniki, dotąd z lekceważeniem traktowane.

Zaznaczyć też wypada, że wszystkie systemy naukowe opierają się na hipotezach dowolnie i dowcipnie, mniej lub więcej, pomysłanych, że te systemy nietylko bywają często wręcz sobie przeciwne, lecz co pewien czas, niedługi nawet, upadają, zwalczone nowymi badaniami, nowymi odkryciami. Co wczora jeszcze było godne uniesienia i podziwu, co było podnoszone do apoteozy świętości prawie naukowej, dziś uważa się jako błędne i nieładne nawet. Oddając się badaniom nauk ścisłych, zobaczymy zjawisko, konieczne sresztą, przypominające jednak bardzo system masonów, obiecujących zawsze ważnych ujawnień na następnym, wyższym szczeblu ich hierarchii, a nigdy niespełnionych naprawdę nadziei i pragnień ich adepta. Podobnie dzieje się i z tą nauką, która ma zamienić wierzenia, religiję wszelką i Boga. Bóg — powiadają młodemu adeptowi — to cała przyroda z jej tajnikami i zagadkami. Religiją jej — to właśnie nauka o przyrodzie i jej tajemnicach, a my — jesteśmy kapłanami jej. Młody adept z wielkimi nadziejami i większem jeszcze namaszczeniem przystępuje do przyjęcia tej religii nowej, a nie nowej wcale, potargawszy wprzód na strzępy dawną wiarę swych ojców, wyrzuca ją przezornie za okno, jako coś niepotrzebne i ambarasujące. Poczyna wtedy pracę trudną i żmudną, a odrazu, na wstępie, rzucają mu słowo: »przepuścmy«. Inaczej też być nie może. A więc od przepuszczenia ta nowa religija się poczyna, od hipotezy, a nie od czegoś pewnego, realnego, jakby się napozór zdawało? Na tej właśnie hipotezie, mniej więcej prawdopodobnej, często fantastycznej i często niezrozumiałej, bo wychodzącej poza obręb naszych zmysłów, naszych pojęć ludzkich, poczyna się budowanie jakiejś teorii. Po-

wziąwszy tę pierwszą wiadomość, adept i kandydat na kapłana sądzi, iż dalej pójdzie śmiało, drogą prostą i pewną do celu zrozumienia przyrody, a przez nią do rozwiązania zagadki bytu. Aliście, znów przed nim zasłona, kryjąca tajemnicę. Tę zasłonę podnieść niepodobna, więc obejść ją zgrabnie wypada. Tworzy się zatem nowa hipoteza na oczekaniu, następnie nowa buduje się teoria i tak dalej bez końca. Tak prosta na pozór rzecz, jak zrozumienie prostej linii geometrycznej domaga się wpierv hipotezy, następnie dopiero rodzi się teoria. Że te teorie dają pewną satysfakcyę naukową, wykazują *sui generis* przebiegłość mądrości ludzkiej i dają rezultaty bardzo poważne; to jednak nie dowodzi niezbitęj prawdziwościi jakiej teoryi. Jeśli dawniej na podstawie hipotezy o atomach i molekulach zbudowano teorię o materyi, a ta teoria dała wielkie nawet wyniki i wielkie bardzo rezultaty konkretne; to jednak dziś pytają filozofowie i przyrodnicy, gdzie jest ten atom, jakiej formy ma on być, jakiej wagi i jaka przyczyna, w jaki sposób tworzy spójnię tych atomów? A zatem, co to jest właściwie materya, o której tyle słyszeliśmy? czy ona naprawdę jest? A jeśli jest, to, czy jej właściwościi przez was wskazane, są naprawdę jej istoty właściwościami? Czy nie będą tylko złudzeniem waszych zmysłów niedość subtelnych, lub złudzeniem wskutek waszego błędnego rozumienia samej rzeczy, samej istoty, a niewłaściwego dzięki waszej pedanteryi i rutynie? A co to jest, co wy nazywacie »siłą«? »Siła« — to jakaś rzecz niezrozumiała, a w nauce wszystko powinno być zrozumiałe ze swego założenia właściwego i ze swej istoty samej. Bo to nie fantazyja, nie objawienie religijne, wymykające się zmysłom człowieka, nie dające się przeto dotknąć, zważyć, sprawdzić; ale nauka ścisła, na podstawach realnych, pozytywnych i materialistycznych oparta. A ta wasza »siła« jakaś, łączy ona, powiadacie, atomy materyi i przyciąga jabłko z jabłoni ku centrum ziemi? A co to jest? Czy aby nie bajka, przy pomocy której ukrywacie waszą igno-

rancę wobec dzieci naiwnych? Celulka Darwina, jedna jedyna klateczka, tyle miała siły, mocy i władzy, że aż stworzyła przy swej dobrej woli cały Kosmos! Dobre sobie! Albo ta drabinka zoologiczna, na której ostatni szczebel wylazł sobie jakiś człeczyna przez ciekawość i rozgląda się po świecie! Jeśli ma być nonsensem twierdzenie podania z pisma św. o pochodzeniu ludzkości od jednej pary, to czy nie będzie daleko większym absurdem pogląd o powstaniu kosmosu z jednej klateczki, lub jednego pierwiastku chemicznego? Czy to wszystko nie jestże również hipotezą tylko, również genialną, jak i wiele innych, ale również bajeczką naukową, wykazującą niedołęstwo chociażby najgenialniejszych i najśmielszych badań ludzkich? A co to jest przestrzeń, wieczność, nieskończoność przestworów niebieskich? Co to jest światło, ciepło, wulkan, trzęsienie ziemi? Teorye tylko i teorye są odpowiedzią na podobne pytania. Teorye osnute na niepewnych spostrzeżeniach, na wnioskach, na prawdopodobieństwie a priori, na porównaniach bez konkretnych dowodów twierdzenia ich, bo oparte tylko na niedoskonałych zmysłach człowieka. A jednak daje się zauważyć nieraz zjawisko, że teorye filozoficzne i naukowe, powoli, z czasem przeistaczają się w jakiś dogmatyzm, nawet z odcieniem religijnym. Zjawisko to bywało zwyczajnem prawie u starożytnych, ale też i w nowszych czasach, nawet naszych już, daje się widzieć. Uczniowie Pytagoresa stworzyli moc rozmaitych sekt, u których obok rozmaitych wierzeń pewne liczby otoczone były religijnym kultem. Stoicy, epikurejczycy, platończycy rozmaitych odcieni i tylu innych, przedstawiają cały aglomerat rozmaitych kultów. Albo przez samych mistrzów ustanowione są one, albo przez ich uczniów i adeptów, wyprowadzających ze zdań i kombinacji myślowych pewne konsekwencye, godne kultu religijnego. W nowszych czasach, taki pozytywista, Auguste Comte, został najwyższym kapłanem swej sekty. A dziś, czy mało się namnożyło sekciarskich wierzeń, do których dały po-

budkę badania i doświadczenia naukowe z dziedziny filozofii lub nauk przyrodniczych, w szczególności hypnotyzm, spirytyzm i im pokrewne?

Czego to wszystko dowodzi? Oto, że ludzkość nie może się obejść bez wierzeń religijnych, niezależnie od tego, z kąd one powstały i co było ich podstawą, bodźcem, punktem wyjścia: podania, objawienie, czy badania naukowe. Był czas, kiedy rozumiano, że nauki przyrodnicze są nową ewangelją dla ludzkości, lecz obecnie, pomimo postępów i to bardzo doniosłych w swych skutkach i następstwach, ludzkość poczyna czuć, na ogół, głód duszy. Szuka więc coraz pilniej, coraz usilniej zaspokojenia tego głodu, puszczając się nieraz na najdziksze i niedostępne manowce takich wierzeń, które nie mają nic wspólnego nie to już ze zdrowym rozsądkiem, nauką i logiką, lecz nawet z estetyką dusz subtelniejszych i czuciami bardziej uszlachetnionemi. Niezaspokojenie tego głodu marnuje nieraz siły największych duchów ludzkości. Nasuwa się tu pytanie, dlaczego w takim razie liczni porzucają Chryścjanizm i albo pozostają bezwyznaniowymi, chociaż w kompletnem znaczeniu tego wyrazu nie zdarza się prawie znaleźć człowieka, albo przyjmują jakie inne wyznanie, choćby Buddyzm, choćby wierzenia jakieś w wilkołaki, choćby jakiś kult przez siebie samych i dla siebie wyłącznie utworzony? Odpowiedź na to nie łatwa. Natura ludzka i jej dusza z wielu bardzo składników powstała. I na każdy z tych składników fizycznych i psychicznych oddziaływujących na się wzajemnie, oddziaływa w rozmaity sposób jeszcze cała suma bodźców rozmaitych zewnętrznych i wewnętrznych życiowych bardzo skomplikowanych i zawiłych. Naprzykład: wpływy kultury, warunki życia i jego rozwoju, otoczenie i środowisko, nawet klimat, nawet jasność słoneczna dnia fizycznego i jasność dni wieku człowieka, prądy społeczne i polityczne, mają swój wpływ nieraz decydujący, działając jawnie lub skrycie, pogodnie lub nerwowo. Natura ludzka bardzo silnie poddaje się wpływom, a wpływy te są

ogólnego charakteru, bądź poszczególne, wnikające w poszczególne społeczeństwa, sfery jego, w życie nawet jednostek. Bywają wpływy bezpośrednie i pośrednie, uboczne, a nieraz bardzo nieznaczące na pozór, o działaniu powolnym, lecz sięgającym często głębiej i daleko, tem właśnie niebezpieczniejszem. Ileż to razy zdarza się widzieć dziecko, kochające bardzo swą matkę, które jednak pod wpływem obcej osoby traci stopniowo przywiązanie, a następnie staje się wrogo i wzgardliwie nawet usposobionem względem swej rodzonej i bardzo nawet czulej matki? A ponieważ natura jego dziecięca zmusza go do szukania pieśczęt, szukać idzie więc u obcej, służy płatnej choćby, obojętnej zupełnie, której to obojętności nie spostrzeżają narazie, a nawet w ciągu długiego stosunkowo czasu. Gdy zaś zauważy w końcu tę obojętność lub interesowność, idzie szukać pieśczęt u innej obcej. Nie wraca do matki swej, pod wpływem bowiem uprzedzenia jest, lub fałszywy wstyd i ambicya powstrzymuje go. Z czasem, gdy u obcych nie znalazło serdecznych pieśczęt, jako zaspokojenia swych naturalnych potrzeb dziecięcej natury, a u matki nie szukało, staje się już w zaraniu swych lat sceptycznym, z gryzącą ironią na ustach. A potrzeba szukania serca stopniowo zanika. W wieku zaś męskim, gdy matka w grobie już, poczyną rozumieć co się utraciło, ocenia się wtedy i serce matczyne, i jej troski, i jej pieśczęty. Tęsknota wtedy przepelnia serce za utraconem i łza żalu stoczy się po policzkach. Bo nietylko żal mamy za lekkomyślnie zmarnowanemi uczuciami serca matki, nietylko czujemy naszą niesprawiedliwość i okrucieństwo bólu, jaki czystemu sercu zadawaliśmy, lecz odczuwamy nieraz silnie brak tego, nam w zupełności oddanego, serca matki naszej. Serce najlepszej żony, czy też dziecka jest inne, o wiele inne. Podobnie dzieje się z człowiekiem w stosunku do jego wiary, religii i kościoła.

Jak wielki wpływ starają się wyrzucić na chrystyanizm, a w szczególności na katolicyzm i jak rozmaity, dość spoj-

rzec, choćby pobieżnie, na tę mnogość i taniość, i popularność rozmaitej literatury, dzienników, broszurek, pouczających mniej lub więcej naukowo o fałszywości religii, o jej bezcelowości, a nawet szkodliwości dla społeczeństwa. Pobudki polityczne, społeczne, rasowe, narodowe i ideowe, i czysto osobiste mieszają się z sobą w zawrotnem kole, idąc o lepsze na wyścigi z sobą. Wogóle katolicyzm najbardziej musi wytrzymywać szturmy tych wszystkich a rozmaitych nienawiści. Lecz nasz, nasz narodowy, polski katolicyzm oprócz tych wszystkich ogólnych szturmów, ma swe jeszcze specjalne. Odbiera się nieraz wrażenie, że ten polski katolicyzm, to nie jest między jednym młotem i kowadłem, ale go zdjąwszy z jednego kowadła i z pod jednego młota, kładą go zaraz, natychmiast na drugie kowadło i pod drugi młot, następnie na trzeci i czwarty, ile się da! A czasem to i na wszystkich kowadłach go rozłożą naraz i wszystkimi młotami wałą! A czynią to i obcy, i swoi, z kleru nawet czasem... Duchowieństwo nasze w obecnych czasach rekrutuje się w większej swej części z niższych sfer społecznych, z ludzi bez powołania, bez idei, często bez ducha prawdziwie religijnego. Dla chleba wygodnego, dla karyery hierarchicznej wstępują do kleru, bez zrozumienia dostatecznego swych wysokich obowiązków. Dostawszy wygodną przybendę tak się nadyma, tyle o sobie rozumie i tak używa darów fortuny, jak każdy inny śmiertelnik, który z niczego doszedł jednak do czegoś i dlatego właśnie odczuwa całą swą wartość. Zaznacza więc ją i chce, by inni to dobrane rozumieli i odczuli.

Jeśli filozofowie rozmaitymi czasy, jak również kapłani nauk pozytywnych, przyrodniczych i t. p., stwarzali na podstawie swych teorii i doświadczeń wierzenia, noszące cechy kultu religijnego, podając do wierzenia mniej więcej udatne naukowe rozwiązanie zagadki bytu; to daje się uzasadnić tym sposobem, że są to wszystko tylko rozmaite formy wierzeń i kultów, dążących do

tychże ostatecznie celów rozwiązania zagadki i zaspokojenia ogólnej ludzkiej potrzeby, głodu duszy. Bo ludzkość bez jakiegoś religijnego kultu obejść się nie umie i nie może.

Różnica ta, że chrystyanizm w istocie swej nie zmienił się od dwóch tysięcy lat w wyznaniu katolickim, uzupełniając tylko stopniowo swą formę zewnętrzną. Gdy teorye, a nawet dogmaty naukowe, nic stałego w sobie nie mają. Tłómaczą to jakoby wyższością swych teorii, ponieważ co kilka lat mogą doskonalić swój system i rozwijać do nieskończoności. Zapewne, pozwolimy sobie jednak zwrócić uwagę, że chociaż niema nic stałego na świecie, natura jednak człowieka zmusza go do uważania czegośkolwiek choćby za coś stałego. Musi być jakiś punkt stały i fizyczny, i tembardziej moralny, duchowy. W przeciwnym bowiem razie, człowiek wiecznieby stał na rozdrożu ze swemi zwątpieniami i rozterką duszną, i nigdyby z niego nie zeszedł, nie mając punktu oparcia, punktu, z któregoby mógł wyjść i iść dalej do czynu, do wiedzy, do życia... Następnie, gdyby się miało to błogie przekonanie, że człowiek uczony wszystkie rozумы ostatecznie posiędzie, a wszystkie tajemnice materji jak i ducha, będzie trzymał skoncentrowane w hermetycznie zamkniętym alembiku. I wedle potrzeby, stosownie do swego uznania, będzie rozdawał, choćby w aptekarskich dozach, naturalnie za stosownem wynagrodzeniem. Lecz my zkąd inąd przypuszczamy, że cała mądrość ludzka wraz z tą, jaka będzie po milionach lat, tworząc wciąż coraz większe cuda, nie przestanie jednak być kroplą w oceanie niewiadomości. Bo im się więcej wie, tem większym i szerszym staje się horyzont niewiadomego przed oczami naszego umysłu i duszy naszej. Człowiek najmądrzejszy, i właśnie dlatego, a nie obłudny względem siebie przynajmniej, odkrywa tyle niewiadomego, iż staje zdumiony i powiada sobie: »jeżeli co wiem, to tylko to, że nic nie wiem!« Tylko ignoranci wręcz przeciwne mają pojęcie o sobie.



Tak więc, widzimy nieskończony łańcuch, od początków istnienia ludzkości, ciągłych usiłowań po rozmaitych drogach, skierowanych przez jej lepsze jednostki ku rozwikłaniu najważniejszych i najwyższych zagadnień bytu. A w tych rozlicznych pytaniach, czy odpowiedziach, naiwnych, lub mądrych, na podstawie objawienia, czy też na wynikach myślowych kombinacji i naukowych doświadczeniach opartych, zawarta jest cała istota religii. Ni epoka, ni rasa, ni geograficzne miejsce, ni ta lub inna kultura, nie wywierają decydującego wpływu na istnienie lub zanik religii. Konieczność jakiejś wiary jest faktem udowodnionym jak długo ludzkość istniała i istnieć będzie. Z dziedziny jej życia nigdy w zupełności usuniętą być nie może. I na ten fakt nie należy zamykać oczu, owszem, należy się liczyć z nim, i to bardzo, reformatorem społeczeństw, narodów, czy też li tylko gatunku ludzkiego.

Składniki psychiczne natury Lechitów, wzięwszy pod uwagę choćby tylko, dawne pogańskie wierzenia, były i są po dziś dzień, z małymi wyjątkami obcych naleciałości, tego rodzaju, że bardziej skłaniają się ku ideałom chrystyanizmu, niż jakiegokolwiek innej religii. Lechici z natury swej i ze swych wierzeń byli uprzednio już przygotowani. I, jeśli naród nasz uznał Boga chrześcijańskiego, to uznał tem samem za najwłaściwszą dla siebie tę a nie inną formę kultu. Katolicyzm rzymski potrafił w ciągu wieków skryształizować swe pojęcia religijne, swój kult w taką przedziwną formę, na jaką żadne inne wyznanie nie mogło się zdobyć. Ideały i dążenia katolicyzmu, bez względu na te lub owe osobistości w dodatkiem lub ujemnem rozumieniu, są tak wysoko szlachetne, tak wzniosłe wspaniałe, że każdą szlachetną duszę, choćby nie była zupełnie wolną od sceptycyzmu, muszą ku sobie pociągnąć wcześniej czy później po głębszem wniknięciu w istotę rzeczy. Obrzędy i formy, z bardzo nielicznymi wyjątkami, a które to wyjątki mają swe źródło w obyczajach bardzo

zamierzchłych wieków, są wynikiem subtelnej znajomości duszy ludzkiej i poczucia estetycznego. Ze wszystkich form znanych religii, ze wszystkich idei i kodeksów ich etyki, nie sposób wydstać formę bardziej odpowiednią naszym psychicznym potrzebom i rozwojowi naszej rodzimej kultury. A przy tem, co może być bardziej wspaniałego nad ideę, ogarniającą ludzkość całą, wszystkie narody, wszystkie warstwy i każdego człowieka z osobna w wielkim nieogarnionym uścisku miłości, wiodącej ku tej wielkiej miłości, która jest Bogiem? Ta miłość początkiem jest wszystkiego i końcem wszystkiego. Piękno bez Boga — nie jest zupełnem. Dobro bez Boga — nie jest zupełnem. Rozum bez Boga — nie jest rozumem, lecz nożem obosiecznym w ręku szalonego. Zpowszedniały nam te idee i dlatego nie widzimy dostatecznie ni prawdy w nich, ni piękności, ni doniosłości. Dlatego nie widzimy i różnicy jaka oddziela od podobnych idei innych wyznań. Gdy w katolicyzmie idea miłości jest tylko sama w sobie celem i tylko dla siebie, u innych zaś wyznań tylko sposobem, pobudką ku osiągnięciu czysto materyalnych korzyści, ludzkich dążeń. Idea chrystyanizmu, to wcale nie podobna do idei judaizmu, ciężką skorupą egoizmu powleczonę, ogarniającego tylko spółwyznawców swą miłością srogiego i mściwego Jehowę. Idea to samolubna, służąca i zastosowana do zachowania odrębności jednego narodu i wyzyskiwania obcych dla swych wyłącznie narodowych i osobistych celów. Idea judaizmu z całym swym zbiorem mądrości talmudu, to skrępowanie każdego ruchu myśli ludzkiej, to przeobrażenie postępu życia, w jakąś martwość bezmyślną, w zanik duchowy, w śmierć. Judaizm — to litera prawa, to forma czczy bez ducha i uczuć serca. Chrystyanizm — to nie idea islamu, dążąca do podbicia narodów świata całego nie w celach wolności i cywilizacyi, lecz w celu rabunków i gwałtów, nagięcia wszystkich pod jedno jarzmo i zniwelowania w imię cielesnych rozkoszy, użycia bez trosk. Idea gnębiąca wszystkich, aż

do zagłady zupełnej, nie uznająca ducha ludzkości i tamująca wszelki objaw jego życia i rozwoju na równi z judaizmem. To nie idea nirwany smutnej, obez władniającej potężne skrzydła geniusza ludzkości i strącająca go w błogą nicość, by się w niej rozplątał i zniknął z życia narodów. Nie! To idea miłości chrześcijańskiej aż do przebaczenia i miłosierdzia, braterstwa wszechludzi. To idea podnosząca ludzkość z nizin ku wysokościami ducha, ku najwyższemu pięknu i dobru. Wiele jeszcze wieków potrzeba pracy usilnej, nim ona w końcu przybierze formę plastyczną i wcieli się realnie w życie nasze, nim Chrystus będzie mógł powiedzieć do ludów ziemi: »Pokój wam! oto przyszło królestwo boże, o które prosiłiście w ciągu wieków tyłu!«

Jeśli byśmy chcieli widzieć w Chrystusie tylko człowieka, a w Jego nauce tylko myśl ludzką i pracę ludzką, to musielibyśmy przyznać, że ten człowiek był chyba genijuszem i to tak wielkim, tak wielkim, iż mieścił w sobie chyba coś, bardziej boskiego jeszcze, niż wszyscy inni, do dziś znani genjusze. Musielibyśmy przyznać, że ten geniusz Chrystusa był chyba najbliższym Boga Wszechmogącego, Wszechmiłującego i Wszechsprawiedliwego. Że ten geniusz ze swą miłością i mądrością musiał być, jeśli już nie samym Bogiem, to choć wielką częścią Jego. Bo jak Bóg, ogarnął on całą ludzkość w jej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości nieskończonej życia i rozwoju: w jej cierpieniach, bólach, niemocy, upadkach, namiętnościach, szaleństwach, nadziejach i radościach; w jej podnoszeniach się i znów upadkach, kaleczeniuach się do krwi i łez wściekłości i błakaniach się po dzikich manowcach umysłu i czuć swych. Bo jak Bóg, pojął i ogarnął Chrystus całą naturę ducha ludzkości, a pojął tak, jak by ten duch był z niego i częścią jego! »Zaprawdę, powiadam wam: Bogowie jesteście!« powiedział, może więc właśnie w tej myśli. Tak, bogowie z ducha, lecz ten duch boży skrępowany prawami natury ciała. Rwie się ten duch ku światom nieznanym wciąż, wspina się z wysiłkiem strasznym

po stromych i przepaściowych drogach ku wyżynom, z których stąpił, a do których wciąż tęskni. Zrywa się ten duch do lotu, omdlewa z wysień i rozpaczy w szamotaniu się ciąglem ze swymi zmysłami i znów zrywa się i dąży znów, by znów upaść ciężko i krwawo. I tak bez końca, bez końca...

To zjawisko nie daje się zauważyć u zwierząt. Może nie mają one dlatego w sobie podobnego parcia w górę, że są bardziej mądre niż ludzie. Zrezygnowały więc już, uważając, iż daremnie będzie szamotanie się takie. Wygodniej bowiem opuścić głowę ku ziemi i szukać wiecznie tylko żeru, niż podnosić ją wciąż i patrzeć w słońce... Jeśli praca i nauka Chrystusa była li tylko pracą ludzką, to gdzie jest podobny monument pracy ludzkiej, podobnie czysty, czystością Ducha Bożego, podobnie wspaniały i wielki swą mocą życiodawczych sił, a swym ogromem strzelistym, sięgającym w niebiosa? Zaiste, tylko nadzwyczajny wysiłek całej ludzkości wszystkich czasów jej istnienia, wraz z jej kulturą nawet tą, która ma być, mógł zdobyć się, w połączeniu z bóstwem li tylko i to raz jeden, na wydanie podobnego geniusza ludzkości.

Cała europejska cywilizacja i jej rozwój, w szczególności nasza Polska, powstała, zmężniała i rozrosła się na pniu i z pnia chrystyanizmu, Jest to fakt, nie dający się zaprzeczyć i niewymagający dowodów chyba dla ludzi choć cokolwiek obeznanych z historią kultury. Niestety jednak, zwykle przemilczanym bywa ten fakt i zapominanym przy naszych dociekaniach filozoficzno-historyczno-społecznych. A mimo to, widzimy z tegoż właśnie faktu, że chrystyanizm ma w sobie coś, co ma w sobie siłę i to nie małą chyba, jeśli mogła ona ożywić narody obumarłe duchem, a ożywiwszy, pobudzić ich do samodzielnego życia i podnieść je do potęgi duchowej i materyalnej. Chrystyanizm zatem jest to siła i to niedestrukcyjna, lecz tworząca, siła dodatnia i niefizyczna, stokroć silniejsza, bo duchowa, niezniszczalna więc.

Gdy więc Lechici posiadli tę cenną siłę, przy pomocy której stali się narodem, stworzyli ojczyznę i mocarstwo; która zjednoczywszy ich duchowo, dała im tyle zasobów moralnych, następnie i materyalnych, iż mogli się ostać burzom w ciągu tylu wieków, swe skarby narodowe, wielokrotnie pomnożone, przekazać następnym pokoleniom; to byłoby chyba niemądrem tę siłę wielką, a tak pożyteczną, zlekceważyć, zaprzepaścić lekkomyślnie, dla ułud chwili, błyskotek jednodniowych, wnoszonych do nas celowo przez naszych jawnych i skrytych wrogów. Owszem, ta siła zjeonoczy nas znów, jak za czasów Mieszka, Kazimierza Odnowiciela i to bardziej niż każda inna. Staniemy się silniejszymi jednością, bardziej odporni przeciw wszelkim ewentualnościom naszych ciężkich chwil. Nie obniży ona poziomu naszych umysłowych i moralnych sił, przeciwnie podniesie do dawnych wyżyn szlachetności i ofiarności dla narodu i miłej ojczyzny. Nie upadać nam pod brzemieniem pesymizmu, zwątpień, tych marazmów duchowych, bo to śmierć niechybna! Ale żyć górnio, ofiarnie i bohatersko zmagać się z losem i życiem ciężkiem, a z ufnością w niebo spoglądać, bo to przy pracy wewnętrznej w łonie samego społeczeństwa, podniesie nas z upadku i życie nam da! A tej siły chrystyanizmu nie lekceważyć, nie odrzucać, nie zapierać się jej, bo ona była, tem bardziej dziś jest, wszystkim dla nas. Ona tak się zrosła z wszelką naturą naszą, jak dusza z ciałem. Nie możemy dziś wierzyć z prostotą serc czystych, dziecięcych prawie, naszych praoców, ale to nie racya, nie argument, byśmy tę wiarę odrzucać mieli ku radości naszych wrogów. A wróg dobrze rozumie, co za siła kryje się dla nas w katolicyzmie i bodaj lepiej to pojmuje i obawia się. Niszczy więc tę siłę gdzie może i jak może, nie przebijając w sposobach i środkach. Zapewne, wszystko się sprzysięgło, byśmy utracili jeszcze i tę spójnię z wiary ojców płynącą i tę jedyną siłę, która nam jeszcze pozostała. Nawet ogół naszego duchowieństwa nie stoi na tym poziomie, na ja-

kim powinienby stać w ciężkich tak bardzo czasach dla naszego narodu. Ale to duchowieństwo z naszego łona wyszło, więc tyleż akurat ma zalet, ile my ich posiadamy. Innemi słowy: jest takim, na jakie sobie zasłużyliśmy. Lecz i to nie racya, byśmy chcieli utracić dobrowolnie jedyną dźwignię naszą, wiarę w Boga ojców naszych, w polskiego Boga.

Obrona Częstochowy, powrót Jana Kazimierza na tron polski, wypędzenie Szwedów za morze, wszystko to przedstawia zaiste niezwykle zjawisko w psychologii narodu polskiego. Porównać chyba by się dało z identycznym prawie zjawiskiem cudów, dokonanych przez Joannę d'Arc. Jak w jednym tak i w drugim wypadku cuda te stworzyła tylko silna wiara w pomoc Bożą, wiara gorąca i powszechnie zbudzona w całym narodzie. Jak płomień objęła ona wszystkich, wszystkie warstwy społeczne w jednej mierze. Kajać się poczęto z grzechów, rozumiano swe błędy i winy. Żądza poprawy i zadośćuczynienia paliła się we wszystkich duszach najżywszym płomieniem. Naród więc, zjednoczony gorącą wiarą i ufnością w miłosierdzie Boga, zdolnym się staje do bezgranicznych ofiar a wtedy i cuda może działać. Tak też było we Francyi, tak też podobnie i w Polsce.

Przedstawmy sobie stan ówczesny tej właśnie chwili wielkich klęsk narodowych Rzeczy Pospolitej polskiej. Oto wskutek ogólnego obłędu powstała kompletna dezorganizacya społeczna i państwowa. Poznań, Kraków, Warszawa, Wilno, cała Polska wraz z narodem, wojskiem, hetmanami i senatorami, legła u nóg najeźdźcy, bez walki prawie, bezdusnością swą bezbronna. Legła pokorna, posłuszna skinieniu despoty obcego, którego sobie w swej większości za pana wzięła. Król zaś polski, opuszczony przez wszystkie stany narodu, tułać się musiał wśród obcych, niechętnych i zawistnych.

W takich to okolicznościach forteczka częstochowskiego klasztoru ośmiela się stawić czoło groźnemu najeźdźcy. Ona już tylko prawie jedna. Skądże u mnichów, białym habitem przyodzianych, tyle aż śmiałości? Stu ludzi zbrojnych i kilkadziesiąt rodzin szlacheckich, razem z dziećmi i niewiastami — trzystu obrońców przeciw dziewięciotysięcznej armii, oblegającej ten kurnik pod dowództwem jednego z lepszych ówczesnych generałów! I chociaż zdarza się widzieć fortecę z małą załogą zwycięsko się broniącą przeciw przemagającej sile, jednak to bywa przy warunkach i liczbie nie o tyle aż nieproporcjonalnych by aż niepomiernych, niemożliwych wprost. Co za szaleństwo mnichów, co za nieroztropność! Nieprawdaż? A wróg uparł się zdobyć klasztor nie tyle w celach strategicznych, ile ze względów politycznych. No, i niesłychane bogactwa mają tam być, więc i wiecznie chudą kasę Karola Gustawa trza niemi zasilić. Siłą lub podstępem, za wszelką cenę Müller musi dostać ten kurnik! Według chłodnej rachuby ludzkiej, klasztor wcześniej czy później musi się poddać i tylko gruzy i zgłiszcza o jego istnieniu mówić będą następnym pokoleniom.

Rozbestwione żołdactwo bardziej tylko rozjuszy się uporem obrońców. Pocóż się upierać, czemu nie wejść w układy, tembardziej gdy się ma list żelazny Karola Gustawa, zabezpieczający nietykalność klasztoru? Możeby choć życie uratować możnaby i ten obraz Boga-Rodzicy?

Pomocy żadnej znikąd, na cóż liczyć może ta garstka szlachetnych zapaleńców? Na co? I po co, gdy żadnej rady niema? Obok Szwedów stali pod murami i swoi obozem, również wrogowie. Przyszli dzielić się łupem łatwym. Czynnego wprawdzie udziału nie brali w szturmach, zachowali się obojętnie, ale przy podziale łupów mężnieby się rzucili na Szwedów, by tę zdobycz na klasztorze sobie zachować, a w najgorszym razie choć większą część.

Czy więc te polskie chorągwie były naprawdę polskimi? I co w nich było jeszcze z ducha narodowego?

Co? Obcy i łupieżca miał z nich sługi swe, z zaprzańców — szpiegów i katów rodzonych braci. Oto do czego doprowadziło zerwanie jedności religijnej, sponiewieranie przysięgi danej niegdyś Bogu przez praocjów za siebie i syny swe w pokoleniach. Stali oto pod murami Częstochowy obojętni na zmagania się straszne swych braci z heretyckim wrogiem. Mogliby protestować przeciw dobywaniu klasztoru, mogliby choć oburzyć się na widok katowań mnichów, posłów do Müllera wysłanych. Mogli i byliby wysłuchani, bo ich Szwed potrzebował i nawet obawiał się. Mogliby rzucić się na Szweda, choć był w przemagającej sile i, jak niegdyś pod Kircholmem, roznieść go na szablach swych. Nie! bo dla łupu zdziczali przyszli tu, dla korzyści prywatnej stoją przy wrogu i pomagają mu obdzierać i gnębić swoich i swą Ojczyznę-Matkę, naigrawać się z wiary ojców. Czy to więc polskie chorągwie, Polacy że to są, katolicy?

I tak w tej wielkiej całej Polsce, szerokiej od morza do morza, jedna prawie tylko licha i mała forteczka jeszcze się ośmieliła stanąć do walki nierównej, lecz prawdziwej, na życie i śmierć. Jako pochodnia gorejąca świeciła wśród nocy czarnej i ponurej ducha polskiego, a jak się zdawało, nie mającej kresu, ni promyka nadziei. Świeciła całej Polsce, całemu narodowi, wskazując sobą i przez siebie drogę, po której iść należy, wskazując skarbiec utajonych a nieprzebranych sił i zasobów ducha narodowego. Huk dziań częstochowskich rozlegał się po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej i wołał o ratunek dla miejsca świętego, wiary ojczystej i ogłupiałego narodu. Wstał Kordecki i walczy z odwagą i bohaterstwem. Walczy nie jak mnich cichy, lecz jako prorok potężny, natchniony wołą Najwyższego. Nie o skarby walczy, tych zresztą nie było, ale o losy narodu swego i Ojczyzny losy.

Ogdał Müller zamiary Kordeckiego i z tem większą zjadłością rzuca się na bezbronną prawie forteczkę. Idą więc szturmy jeden za drugim, nie dając odpoczynku bro-



niącym się. Ta garstka, zamknięta w murach walących się i płonących domostwach, skazaną być, zda się, na nieuniknioną całopalną ofiarę w obliczu nieba i ojczyzny swej. Ni pomocy znikąd, ni względów jakich od wroga spodziewać nie może.

Przyjąwszy zatem najwyższe wysilenia bohaterstwa w rachuby ludzkie, jaki obrót rzeczy dałby się przewidzieć, jakie horoskopy stawiać można było?

A drugie, co mogło zbolałych, krwią ociekających, upadających z wyczerpania, tych obrońców Kościoła i Ojczyzny, utrzymać w tak silnem napięciu ducha i sił fizycznych, by nie poddać się ostateczności i choćby w śmierci szukać spoczynku? Co? — Obowiązku poczucie, miłość ojczyzny i sławy wiodły Greków pod Termopile. Zapewne, Leonidas jednak wiedział, że za jego plecami cała ojczyzna jego gotuje się do walki zaciętej, że cały naród jednej z nim myśli jest i chęci, a on tylko pierwszą ofiarą konieczności i pierwszym przykładem obowiązku. Inny jednak nastrój psychiczny owładnie człowiekiem, gdy wie, że nikt nie troszczy się o niego, gdy uczuje się samotnym w swych myślach, chęciach i dążeniach, gdy ogół nietylko obojętnością swą raznacza, lecz może, heroiczne poświęceń czyny za objaw głupoty i szaleństwa uważać będzie w chwilach niepewnienia?

A wtedy, w najważniejszej, w najkrytyczniejszej chwili zdarzeń, przychodzi apatya, a z nią i niedołęstwo fizyczne. Następnie rozsądek robi moralne spustoszenia. Analizuje krytycznie sytuację i poddaje się losowi biernie, a nawet bez żalu często, wskutek zniechęcenia. A tem łatwiej stan ten nawiedza duszę zmęczoną, gdy ma się przekonanie, iż śmierć jest tylko przejściem naszej jaźni w stan zwierzęcej padliny. Wtedy to, przez wrota na ścieżaj otwarte, wchodzi z hałasem do duszy naszej pytania: co to jest ojczyzna, zwłaszcza, gdy źle nam w niej? co to jest honor, sława, gdy za nie nagrody miłego użycia rozkoszy nie dają? I powstaje w duszy bunt wielki, bo-

leśnie szyderczy, przeciw wszystkiemu, cośmy dotąd miłowali, czegośmy z poświęceniem bronili. A z całego tego bezładu rumowisk i zwalisk duchowych, podnosi się z nizin ciemności straszna, zwierzęco głodna chęć życia i użycia, ile się da, per fas i nefas. Śród tej rozterki i śród tych mąk dusznych, umysł czepia się pozoru nadziei i w końcu wywiesza na reducie, nie zdobytej jeszcze, hasło poddania się...

Müller, który strawił całe swe życie na zdobywaniu fortec i to nieraz najpotężniejszych w ówczesnym militarnym świecie, nadzieić się dość nie mógł wytrwałości tej małej i dziurawej forteczki. I nie tylko podziw, ale i niepokój coraz częściej go ogarniał. Próbował podstępów, namów, obietnic i gróźb i — nic wskórać nie mógł. Wskórać nie mógł, bo tam, w tej dziurawej częstochowskiej forteczce, nie było zaprzańców, tam jedna wiara i jedno sumienie! Nie było zdrajców, bo nie było sumienia na sprzedaż! Bóg i Ojczyzna! hasłem ich i mocą ich, z tego czerpano siły ducha i ciała! Okropne szturmury ze stratą wrogów zawsze odparto. Niekiedy naigrawano się nawet ze Szweda, urządzając mu wojenne niespodzianki.

Dzień i noc w ognjach bojowych ta forteczka i w huku działa, spowita w dymy i mgły, jakimś żywym a nadludzkim pomnikiem zdawała się być. Pomnikiem, drgającym ciągle od wzruszeń swych posiad, wieżycami zaś chmurnych niebios sięgającym i świecącym ciągle w ciemnościach ojczyźnie. Nieustającym hukiem a gwałtownym budził on naród, zakłębieniem szatana w sen ciężki i bolesny pogrążony. A to straszne zmaganie się sił, jakby nadprzyrodzonych, z ciemną siłą ludzkich namiętności trwało i trwało... Aż i chorągwie polskie zdziczałyimi umysły w końcu pojęły całą nieprzystojność swego stanowiska i precz odeszły z pod murów Częstochowy. Następnie i Szwedzi po sześciotygodniowych zapasach i walkach bezskutecznych zwinęli swe obozy.

Klasztor Jasnogórski dopiął swego celu w zupełności. Na wieść bowiem o skutecznej obronie Częstochowy, po-

częły serca polskie się podnosić, jakaś tęsknota, jakies drzenie w piersi, dawały znać, że życie jeszcze nie uszło. Nastąpiło przebudzenie i przejrzał naród. Tak tedy, oblężenie Częstochowy i jej obrona wywołały skutek wręcz przeciwny, jakiego oczekiwał wróg. Wiara ojców wstąpiła znów w pierś zbolałą i zapaliła serca płomieniem miłości ku Rodzicielce Boga. Wróciła więc i jasność umysłu. Naród zbłąkany i bezradny dotąd, począł się kajać z grzechów swych i błędy swe uznał. Uznawszy, zagorzał chęcią poprawy i powetowania szkód. I znów, jak wielka i szeroka Rzeczpospolita polska, od morza do morza, cała zakwitła ofiarnością bezmierną i poświęceniem się bez granic za wiarę ojców i za ziemię ojców. A wraz z tem poczęły się cuda. Oto Wielkopolska, jako pierwsza złożyła broń przed wrogiem wkraczającym, to też i pierwsza wstała w obronie swych praw. Młodzian Żagocki pierwszy uderzył na Szweda i walką podjazdową nekął go srodze. Następnie z rozmaitych dzielnic Polski wypłaszano go już. Stefan Czarniecki w Małopolsce zmagął się z nim, Sapieha na Litwie. Hetmani Potocki i Lanckoroński oprzytomnieli, opowiedzieli się za prawowitym królem. Zawiązano konfederację w Tyszowicach i tem podobne... Umysły oczadziały wytrzeźwiły się tedy zupełnie. A gdy Jan Kazimierz wrócił z tułaczki, to nawet Jerzy Lubomirski z przepychem wielkim i rycerstwem swem wybiegł na spotkanie króla, czołobitność swą składając i pokorne służby ofiarując. A król wdzięcznem sercem to przyjął i poczytał mu za zasługę, iż z pychy swej ze Szwedem łączyć się nie chciał, chociaż odmówił równocześnie i panu swemu pomocy w dniach upadku i żalości wielkiej. Nie przeszkodziło to jednak później Lubomirskiemu we krwi bratniej utopić swe zasługi i swą powinność, na hańbę swych pokoleń i czasów historyi. A tylko pycha niepomierna była podnieta i przyczyną tego.

We Lwowie król czyni uroczysty i wspaniały akt w obliczu Boga i narodu. Akt przepiękny w swej istocie,

sprawiedliwy i zbawienny dla ojczyzny. Najpierw, uznając urzędownie przemożną i cudowną pomoc Boga - Rodzicy, przez wdzięczność i na tę pamiątkę, uznają ją wraz z narodem Królową Polski i koronę złotą, koronę Polski wkłada na Jej skroń. Siebie zaś, Ojczyznę i naród polski we wszystkich pokoleniach jego, aż po koniec wieków, pod Jej przemożną opiekę w zupełności oddaje. Tak więc, Królową Polski zostanie Ona na wieki, jak długo naród polski będzie się modlił do swego Boga. Następnie i wraz z tem, czyni król solenną obietnicę zajęcia się szczerego, ojcowskiego losem prostego ludu. Po ukończeniu wojny, poprawa stosunków i bytu ludu ma być rozważaną i rzetelną reformą w tej ważnej sprawie wprowadzoną. Lud bowiem coraz bardziej uciskany w miarę zepsucia obyczajów szlachty i panów, zatracił coraz bardziej poczucie przynależności narodowej. A jednak w walce ze Szwedem dobrowolnie sam przyjął udział i nie mało dopomógł. Nie szło mu o Ojczyznę, bo jej znaczenie, jakby się w nim prawie zatraciło. Zostało tylko jakieś niejasne pojęcie czegoś, o czem się już dawno zapomniało, bo jeszcze od Zygmunta I. Czuł się wydziedziczonym i zapomnianym przez starszych swych braci. Było mu więc obojętnem, kto będzie mu panować, na kogo ma pracować, czyje rozkazy spełniać. Poszedł on w bój z wrogiem tylko za wiarę swych ojców. Rozumiał bowiem, że jego wiara i wiara panów jego — jedną jest. Ta wiara była prawie jedyną nicią, łączącą chłopca ze szlachcą i była jedyną pobudką, która go z chaty na bój wywiodła. Więc poszedł. Nieświadomie oddał nie małą przysługę swej Ojczyźnie. Zwróciło to uwagę króla i senatorów. Uroczyste przyrzeczenia były aktem sprawiedliwości i mądrości politycznej. Czy były jaką gwarancją? Dawniejsze nawoływania Skargi o polepszenie losu chłopów, jego przestrogi, były głosem wołającym na puszczy. I gdybyż, choć te lwowskie przyrzeczenia spełniono! Ad acta poszły! Wojny, spory różnowierców na sejmach, rokosz Lubomirskiego,

klótnie rozmaite, nie dały czasu na uregulowanie tak ważnej sprawy, a skutki tego zapomnienia odbijają się nieraz fatalnie na losach Ojczyzny i dotąd dają się odczuwać i to ciężko.

A więc jeszcze raz wskazaniem było z góry, gdzie naród polski ma odszukiwać siły utracone ducha narodowego, gdzie skarbnica potęgi i pomyślności Ojczyzny, gdzie światło się ukrywa, gdy zalegną zewsząd ciemności nocy ponurej. Po wypędzeniu Szweda za morze i przez morze, dziwiono się wśród obcych i swoich nawet niepożytym siłom narodu polskiego, który tyłu wojnom i zaburzeniom, w jednym czasie wynikłym, mógł zwycięsko stawić czoło i utrzymać swą niezależność. Tylko zważmy: pięć wojen naraz z pięciu wrogami i zaburzenia wewnętrzne do zdrad całych krajów posunięte, to chyba dostateczne do zniknięcia najpotężniejszego nawet państwa i narodu! A jednak ocaleliśmy wówczas z małemi stosunkowo stratami. Tak! niepożyte były one siły wówczas, gdy wiara je zjednoczyła i ożywiła swym duchem, dając im dzielność, sprężystość i wytrzymałość. Niepożytemi i dziś są one wśród nocy dzisiejszej niewoli i hańby, jaką znosimy codziennie, lecz są w utajeniu serc i dusz naszych, w utajeniu przed rozkładem i zgnilizną, której zarazek wrogowie nam już zaszczepiają w formie ponętnych haszyszów teoryi myślowej i rozkoszy zwierzęcych. Wrogowie nasi wiedzą dobrze, że gdy wiara wstrząśnie sercem Polaka, a duszę zapali mu płomieniem, nie ma wtedy niepodobieństw dla narodu polskiego, cuda czynić może! Niedościęgnionym on wtedy w pracy, czynach, wytrwałości, bohaterstwie i ofiarności, i tylko wtedy, wtedy właśnie. Skale zamieni w grunt urodzajny, głąz — w zarzewie ducha, a noc czarną we wspaniały dzień Słońca prawdy, miłości i wolności! Ale ten warunek posiadać musi, jako konieczność dla swych działań i myśli, w przeciwnym razie, tylko zniszczenie, zawody i śmierć ma na swej drodze!

Jak Unija lubelska była ostatnim, a wspaniałym aktem polityki polskiej, tak również odsiecz wiedeńska była ostatnim wyrazem a wspaniałym chwały oręża Rzeczypospolitej polskiej. Odtąd jej słońce coraz szybciej się zniżało, zmierzch polityczny i społeczny coraz szybciej ogarniał naszą Ojczyznę. Pod koniec życia Sobieskiego anarchija już podnosiła głowę i truła ostatek dni jego. Zwycięzca w tylu wielkich bitwach, wojownik nieustraszony, pobitym się czuł bezładem narodu swego. Czuł przestrach wobec zbliżającej się grozy rozprzężenia wewnętrznego a ogólnego. Sławę bohatera obryzgało błotem zawiści jeszcze za życia jego, prace szły na marne. Stosunki rodzinne były oplakane a wiązały się z losami kraju. A te losy w przeszłości bliskiej przewidywał i odczuwał głęboko. To rozpacz, to apatya naprzemian szarpały jego sercem wielkiem, miłującym Ojczyznę ponad wszystko. Prawie ostatniemi słowy jego były: »grzech, złość i zdrada znowu wybujały!« Zaiste, smutne bardzo miał ostatnie lata swe...

Nie było wprawdzie jawnych odstępstw od Kościoła katolickiego, przeciwnie, spełniano na ogół praktyki religijne chętnie, lecz już duch ulatywał i nie dawał życia swej formie zewnętrznej. Etyka moralności coraz bardziej obniżała swój poziom, a samowola, ucisk uboższych, buta niepomierna i pycha, ciemięstwo poddanych, zwiększały się z każdym rokiem. Polska zapomniała o nieszczęściach, jakie przyniosła. Nie wytrzymała próby, na którą dla jej dobra była wystawiona. Pan Niebios coraz bardziej odwraca swe oblicze. Mrok też, już w czasach Sasów coraz bardziej zewsząd i coraz gęstszy ogarnia Polskę. Wybór Sasa, pasyżycę, rozpustnika i marnotrawcę daje miarę o stanie moralnym i umysłowym narodu. Nieprawne wprowadzenie jego na tron, profanacya koronacyi i profanacya pogrzebu Sobieskiego, nie podziały na razie drażniąco na ogół. Chciano spokoju za wszelką cenę, by użyć dobrobytu w rozpuście i pijatyce, toteż i dlatego nie było spokoju. Rzeczpospolita hulaszca i pijacka bezbroną była, stała

więc otwartą na oścież dla wszystkich. Przechody wojsk obcych, częste zmiany na tronie, wzajemne najazdy wielmożów, powstanie na koniec niezadowolonych partyj, niszczyły kraj i ogłupiały naród. Szkoły upadły, naród nie troszczył się o nie, tembardziej rządy takich Brühlów. Szlachta synów nie posyłała do uczelni po większej części, przestawała na siakiem takim domowem wykształceniu, które niedorównywało nawet średniemu. Magnaci wysyłali swą młodzież za granicę nie po naukę jednak do uniwersytetów, jak niegdyś, ale dla nabrania »poloru« i wyczerpania się kilku języków obcych. A że przeważnie wyjeżdżano do Saksonii lub Niemiec, więc importowano do kraju poglądy Lutra i modę, zepsucie obyczajów i pogardę dla wszystkiego co swojskie. W ciągu długoletnich rządów obu Sasów, Polska zwolna zapadała w długi sen letargiczny. Jedno więc zmarniało, drugie bardziej się popsuło. Brak wykształcenia, bo go dać nie mogły »palestry«, usposabiał do płytkich poglądów na sprawy społeczne i państwowe. Hulanki i samowola, czasem dzika nawet, były zwyczajnem zatrudnieniem szlachty, marnującym jej zasoby, siły i bujność przyrodzoną.

Sądownictwo spadło na najniższy stopień. Sądy utraciły wszelką powagę. Bo albo milczały, albo były parodią sądów do usług magnatów powoływane. Deputowani trybunałów byli narzędziem partyi, która ich wyniosła na tę godność. A sejmy stale zrywane, lub też nie zwoływane wcale. Duchowieństwo zatyle na prebendach, zepsute, zdemoralizowane zupełnie. Niższe, bez żadnego wykształcenia prawie, w grubym materyalizmie pogrążone; wyższe, wykształcześnie cokolwiek, zatraciło wszelkie poczucie i pojęcie o swych obowiązkach kapłańskich, zbierało majątki, by dorównać magnatom i zabawiało się lubieżnością. Pod taką opieką bóstwa zmysłów i egoizmu usypiał naród, nie myśląc wcale o przebudzeniu się i jakiegokolwiek naprawie stosunków wewnętrznych. Złota wolność, raczej bezmyślna wolność, oczy ducha i umysłu ślepiła i wiodła do żelaznej

niewoli. Kwietyzm kompletny, ze wszystkimi swymi skutkami, zapanował w każdej dziedzinie życia narodowego. Zapomniano o plagach, jakie Bóg zsyłał dla opamiętania, o przyczynach i skutkach ich. Zapomniano, że Bóg polski domaga się serca człowieczego, a nie czczej formy, która nie jest treścią, lecz tylko wyrazem zewnętrznym uczuć serdecznych i prac duchowych. Forma religijna, jako symbol idei, lub wewnętrznych poruszeń jaźni naszej, konieczną jest z samego popędu żywiołowego natury człowieka. Gdy zaś idea się zatraci, gdy duch uleci, symbol staje się niezrozumiałym, a czasem i śmiesznym, bo stał się pustym dźwiękiem bez znaczenia i wyrazu właściwego. U starożytnych było nie mało symboli, raczej cała ich treść na symbolach opartą była. Zachowały się niektóre do naszych czasów nawet, lecz tylko z trudnością i to nie zawsze odgadnąć możemy znaczenie ich. A były i takie, których treść spaczoną należałoby podobno doszukiwać się w pierwszym objawieniu, np. trójkąt u Egipcyan, kamień węglowy i t. p.

Również i nasze religijne formy i symbole stają się dla nas niezrozumiałymi, im bardziej zatracamy ducha wiary. Nie pełnienia li tylko praktyk religijnych, jako formy, Bóg od nas wymaga, bo to czynił bałwochwalczy Grek i Rzymianin, ale uczuć naszych i ducha rozumienia. Bo to uczucie i duch ten wprowadzi prawo Boże w życie każdego osobnika, w życie społeczne narodu, do spraw rządu państwowego, do polityki jego. A tak, nie tylko jednostka grzechu uniknie, ale rządy państwa unikną grzechów narodowych i błędów polityki. Genjusz narodowy rozrasta się wtedy, olbrzymieje, rozumie swe obowiązki i spełnia swe posłannictwo. A moc i potęga rozpierają jego pierś olbrzymią i żywiołowo zmuszają do prac wielkich i czynów wielkich...

To, że nasi wrogowie, nie dbając wcale o Ducha Bożego, rozrastają się dziś w obszar i zasoby materialne, niech nas nie wprowadza w błąd. Czekajmy cierpliwie



końca, który zbliża się jako konsekwencya, jako fatalna konieczność. Oznaki tego proroctwa już stają się widocznymi dla ócz umiających patrzeć. Oczy duszy wrogów naszych, ich umysłów, bielmem się już pokrywają. Nie patrzą w dal przyszłości i nie widzą już nawet dołów pod nogami, które sami wykopali. Cieszą się z materyalnego rozrostu ciał swych, o ducha nie dbając dziś wcale. Dumni są ze swych sił fizycznych, jakby innych daleko potężniejszych nie znali. Siła pięści przed prawem wszelkim chadza u nich z pychą i butą wraz. Widzą tylko już to, co jest przed samymi oczami ich, nie dalej; rozumieją tylko dziś, jutro prawie nie egzystuje dla nich. Łudzą siebie i sobie podobnych swą siłą materyalną, ale nas nie złudzą. Przeżyliśmy już tę fazę dumy, buty i pychy, i ślepoty nędzy ducha społeczności naszej. Przeżyliśmy, i ciężką pracę w ciężkiej pokucie odbywamy. Teraz na wrogów naszych idzie z kolei kara zaślepienia, bo już narzędzie kary staje się niepotrzebnem, więc przestać istnieć powinno. My zaś, wśród cierpień krzyżowych hartowani, odrodzonym duchem narodowym wzmocnieni i silną wiarą w miłosierdzie i pomoc Boga naszego zjednoczeni, stać będziemy w spokoju i czekać. Czekać, aż znów tam, na zegarze czasów, wydzwoni godzina czynów i wyzwolenia, oznaczona przez Pana wszechczasów i wszechzdarzeń. Tak, godzina oznaczona! Naród polski mógłby ją przyspieszyć, wznosząc się swym zbiorowym duchem tak wysoko, by aż u tronu Najwyższego stanąć i zająć swe dawne miejsce, niebacznie opuszczone. W przeciwnym bowiem razie próżne będą wysiłki i na opak one nam staną, raczej zaporą, szkodę przyniosą, jakto z dawniejszych mamy naukę. Kara musi dobiec do swej ostatniej chwili i do swej ostatniej ofiary, a choćby nawet zorza wschodzić już miała, sprawiedliwości Bożej musi stać się zadość.

Bezwyznaniowi nie dadzą wiary temu, bo u nich duch — tylko jakąś materyą szarą, a zapał, poświęcenie,

przejawy silniejsze tego ducha — są głupstwem i dzieciadą. »Czciociele pieczeni« nie uznają nic ponad materję, dającą się zmysłami ludzkimi ogarnąć, zmierzyć, zważyć; jakby te zmysły tylko probierzem były i nie pozostawiały nic już do życzenia, jakby one tylko wszystką prawdę osiąść mogły. Dla nich człowiek, to tylko gatunek zwierza, dla nich przeto i dzięki im siła pięści idzie brutalnie przed wszelkiem prawem. Ale właśnie to, co ponad zmysły, w dodatku niedoskonałe, i co dziś tylko mało znanem jest, najbardziej godne studyów głębszych. Bo właśnie to, natura duchowa człowieka, stanowi jego jaźń prawdziwą i siłę jego istotną bezsprzecznie. Siła materyjalna, choćby największa i najbrutalniejsza, najbardziej imponująca masom bezkrytycznym, ulega losowi materji, siła zaś ducha, od początków istnienia ludzkości, coraz bardziej potężnieje, chociaż niewidomie dla tłumów, i w człowieczeństwo tę ludzkość przyodziewa. A mocą swą, od czasu do czasu, w ciągu wieków istnienia ludzkości, druzgocze potęgę materyjalną, gdy stanie jej na drodze przeszkodą. Cywilizacya, choćby materyalistyczna zupełnie, kultura, postęp rozumny lub i bezrozumny nawet, czemże są, jeśli nie przejawem, choćby nawet błędnym, choćby chwiejnym, nie dostatecznym, naszego ducha nieśmiertelnego po przez więzy zmysłów naszych? I przyjdzie czas, w którym ludzki duch znajdzie środki bodaj częściowego wyzwolenia się z tych więzów. Są w człowieku zmysły nierozwinięte, utajone w jego jaźni. Nie dostatecznie jeszcze one uwidoczniają się w swych przejawach, niezrozumiane te zmysły, z czasem jednak będą odkryte przy stosownych warunkach i studyach, i rozwinięte do potęgi należytej. Dadzą wtedy rezultaty nadspodziewane. One to zrobią pierwszy krok ku częściowemu wyzwoleniu.

Przeczenie istnieniu ducha nieśmiertelnego i Boga, sugestją jest przewrotnych ludzi, lub pasibrzuchów na prawdę bezdusznych, na lekkie umysły naszych dzieci, nie mających jeszcze możności i czasu nawet głębiej

wniknąć w istotę rzeczy. Modą to jest skrawka niektórych epok przełomowych, chwil kryzysu społecznego; modą lekką, nie frasośliwą, na sofizmatach naukowych i nienaukowych opartą, na utartych receptach frazesowiczów, bez cech poważniejszych. Te recepty lotne, łatwe do pochwylenia, a noszące na sobie tylko pozory nauki, smakują młodzieży i niedoukom, bo dają się użyć do popisów ich mądrości chaotycznej, lub do ulegalizowania postępów nie zawsze zgodnych z etyką.

Gdy uczony, poważny badacz nauki, przychodzi do zwątpień, to dzieje się to zwykle po ciężkich, a bolesnych bardzo i trudnych, walkach duchowych, które trwają lata całe, a nieraz i życie całe. To tak, jakby nam zabrakło wiary i ufności do kogoś bardzo drogiego nam, bardzo kochanego, z którym nas łączy tysiące węzłów, z którym zżyliśmy się poufale i któremu przywykliśmy ufać bez granic. Bolesne to nam nad wyraz, wahamy się długo, wahamy się ciągle, czy oderwać serce nasze od niego, czy mamy zostać samotni... Bo, może być, jesteśmy w błędzie, może w celu jakim starano się przyjaźń i ufność naszą zniweczyć? Taki człowiek, do jakichby nie przyszedł rezultatów swej walki duchowej, zasługuje na szacunek: on myślał i cierpiał. Ale on swą niewiarę nie będzie obnosił po ulicach i wiecach, jako szyld lub reklamę swej mądrości. On swą niewiarę chować będzie i gorycz jej sam pić będzie. On wie, że wiara jest skarbem człowieka, skarbem narodu, obdzierać więc z tego ni jednostkę, ni społeczeństwo nie będzie. On naigrawać się z uczuć religijnych nie będzie, ni bluźnierstw z pianą wścieklizny na ustach miotać nie będzie. Bo on kocha prawdę, szukał jej, lub szuka jeszcze. Zbłąkawszy się w gęstwie ciemnego lasu, może wskutek niejasnych, dwuznacznych, lub zgoła fałszywych drogowskazów; może wskutek braku światła, lub wyczerpania sił ciała i umysłu; nie stanie się przeto nieprzejednanym wrogiem wszystkiego, co ma łączność jakakolwiek z religią. Niemając sam wiary, nie za-

myka jednak oczu na piękno, dobro i pożytek, jakie z chrystyanizmu spłynęły na ludzkość. On, bezwyznaniowy, dać będzie świadectwo tej prawdzie, bo on ukochał prawdę, bo kocha swój kraj i naród, nie nosi nienawiści partyjnej, ni fanatycznej ślepoty w sercu.

Dziwić się młodzikom, odrzucającym bez żalu i trwogi wiarę ojców, można, pomimo zadumy gorzkiej i bolesnej, która ogarnia człowieka na ten widok; pomimo trwogi o przyszłość tej młodzieży, społeczeństwa i narodu losy. Gdy jednak ludzie w wieku dojrzałym, w którymby powinno być wskazaniem mieć umysł bardziej zrównoważonym, poczynają z lekkim sercem wyśmiewać wiarę, lub udają mędrków, wojują sofistematami i rozpowszechniają szkodliwą bezwyznaniowość, to już tak wstrętne i oburzające, iż trudno nawet dać wyraz temu. Bo Polakiem się mieni, a jak wróg, niszczy jedyną moc narodu, pozostałą mu jeszcze. Widzimy żydów, od blisko dwóch tysięcy lat pozbawionych ojczyzny, rozproszonych po wszystkich prawie krajach ziemi, i wśród wszystkich narodów świata wałęsających się, jednak, nie zatracają swej narodowej odrębności, a to dzięki nie-nietylko ich rasie obcej. Utracili oni nawet mowę swą ojczystą, nie posiadają nawet literatury własnej w dzisiejszem pojęciu, wżgardzeni, sponiewierani, zdegenerowani fizycznie i moralnie i w najgorszych warunkach społecznych pędzą swój żywot nędzny, jednak utrzymali się jako naród i to wśród mas narodów. A to wszystko dzięki jedynie nie rasie swej, lecz przedewszystkiem swej religii, która dała im spójnię i łączność poprzez wieki, kraje, poprzez wszystkie narody i rasy i poprzez wszystkich losów ich moc. Odstępcy wiary z asymilizowali się, i pomimo swej odrębności rasowej, znikli w oceanie obcych im narodowości bez śladu prawie. Takiego więc losu pożądamy ci mędrzy polscy narodowi polskiemu, obdzierając go wedle możliwości ze skarbu wiary w Boga jego ojców?...

Nasz europejski wogóle rozwój cywilizacyjny i narodowy na podstawach chrystyanizmu się zrodził i ukształ-

tował, on też nas wychował od kolebki. Do tego więc stopnia oswoiliśmy się już z ideami i dążeniami jego, że nie możemy wyobrazić nawet sobie, nie umiemy nawet pojąć, jak straszne byłyby skutki w każdym społeczeństwie, a w szczególności w naszym, owego bałwochwalstwa bezwyznaniowego tak dziś usilnie, bez przebierania w środkach, propagowanego? Nawet nie domyślamy się, na jakie niebezpieczeństwo, pod każdym względem, narazilibyśmy naród nasz po odrzuceniu jawnem i formalnem wszelkich pryncypiów etyki religijnej. Nie — moralnej, lecz religijnej. Bo zasady moralności zależne są od wielu, bardzo wielu, i to bardzo skomplikowanych czynników społecznych ogólnej natury, pobudek osobistych i zapatrywań każdego z nas w stosunku do horyzontów pojęć umysłu i zakresu uczuć duszy i czasów okolicznościowych. Religijnej więc, ponieważ ta etyka jedną jest dla wszystkich i każdego z osobna, i nie zależna od czasów normalnych, przełomowych, czy jakich innych, ni społeczeństw, narodów, lub polityki państwa. Można sobie na tle fantazyi, zwłaszcza gdy nie ma jej barw tęczyowych poważne badanie krytyczne umysłu, a ona, lotna sama, i nas unosi w kraj czarów szybko i namiętnie, marzyć o szczęśliwości i wyzwoleniu ludów, wróconych na łono natury i bałwochwalstwa. Można marzyć, lecz ocknąwszy się ze snu majaczeń, tę ułudę senną, a niezdrową, nie propagować, jako rzeczywistą prawdę i dopiero przez nas, w naszych snach, odkrytą. Bo prawda wręcz z przeciwnej strony. Kto odbył poważne studia nad starożytną kulturą, ten wie jaki oplakany stan socyologiczny przedstawiały narody do pojawienia się i zakiełkowania wśród ludzkości ideałów chrześcijaństwa. I ten nie będzie marzył na jawie o powrocie do tego stanu, a tem bardziej pchać swój naród na drogę taką. Gdybyśmy chrześcijanami, na ogół przynajmniej, nie byli, moglibyśmy powrotu do bałwochwalstwa, a w dodatku bezwyznaniowego, tylko wrogom naszym życzyć.

Przedstawmy sobie po krótku, bodaj w zarysie ogólnym i szkicowym, według świadectw starożytnych pisarzy i dokumentów historycznych, ten stan rozkoszny. Na wstępie zdziwią nas swą powszechnością, z małymi i nieznanymi zmianami, jedne i te same pryncypia zasadnicze ustrojów społecznych u wszystkich narodów i ras. Przedewszystkiem, spotykamy zasadę Bismarcka: »siła przed prawem« i ona w oczy każdego uderza badacza. A z tej niewzruszonej prawdy wszystko inne wypływa: i ustrój społeczny, i ustrój państwowy, i ustrój umysłu i ducha.

A więc każdego narodu większością, z konieczności ducha pojęć, to niewolnicy byli. A ustrój państwowy, jakiejby nie był formy, nawet republikańskiej, tylko na niewolnictwie oparty stał. Mała część tylko, i to rządząca, uważała się do pewnego stopnia za wolnych ludzi. Właściwie byli to tylko uprzywilejowani niewolnicy wobec władcy zwierzchniczego. A tak te stosunki niewolnicze się zdawały naturalnymi, że do obecnych czasów w niektórych państwach, nawet chrześcijańskich, n. p. w Rosyi, ten stosunek podwładnego do zwierzchnika naczelnego w biurokracyzmie pozostał. Ludzkie życie, nawet władcy, nie było wogóle szanowanem, ponieważ człowiek sprytnym tylko zwierzęciem był. Mocniejszego tylko szanował, jak długo ten mocniejszym mógł być. Za swe czyny tylko przed silniejszym i li tylko dlatego mógł odpowiedzialnym być. Życie zaś i zdrowie niewolnika nie miało wartości żadnej wobec jego pana, co najwyżej cenę chyba kosztu nabycia. Wszystkie ustawy krajowe i społeczne wyłącznie obronę przeciw wrogom i określenie praw uprzywilejowanych miały na celu. Ustawy te społeczne i obyczajowe dzikością i bezwzględnością dzikich zwierząt były nacechowane.

Weźmy niektóre przynajmniej pod uwagę, jako przykłady: Kobieta, naprzykład, z rodu choćby najbardziej uprzywilejowanego, choćby żona to była, lub matka, lub siostra władcy, cesara, imperatora itp. była uważaną jako pierwsza niewolnica męża, jako rzecz bezduszna i pogardzona.

By zapobiedz przeludnieniu, lub dla oszczędzania sobie trudu zdobywania sobie żywności, zabijano noworodków płci żeńskiej, a chłopców, gdy okaże się nie dość silnym do znoszenia trudów wojennych w przyszłości. Zwykle zanoszono dzieci do lasu, na pożarcie zwierzom przeznaczając. Dobijanie chorych, kalek, starców, nie w jednym kodeksie się zalecało. Po stracie męża-pana, brata, przyjaciela, zwykle dobrowolnie skazywano się na śmierć. Praktykowano też często ryczałtowe wypędzanie młodzieży w świat daleki i nieznan, nad brzegi morza po większej części. Jedni z tych, przyciśnięci nędzą, sprzedawali się w niewolę; z innych powstawali rozbójnicy morscy, korsarze, plaga wieczna ludnych i zamożnych brzegów. Ponieważ głowa rodziny był panem życia nie tylko niewolników, lecz również i wszystkich blizkich sobie, więc gdy umierał, palono na stosie wraz z nim i żonę jego, często żywcem nawet, w czasie pogrzebu. Zabijano jego niewolników wraz ze zwierzętami a również wszystko co lubił, co używał, szło na całopalenie na jeden stos z nim... A te straszne, okropne hekatomby ciał, bogom na ofiarę! Całe gromady istot ludzkich szły pod nóż, jako bydłeta! Ile tam strasznych tragedi, ile boleści niewypowiedzianych! Na samo wspomnienie mróz kości przebiega!...

130 Dodajmy do tego przepych olbrzymi i marnotrawstwo uprzywilejowanych, rozumiejących tylko użycie, bez nakładania sobie jakichkolwiek więzów i skrupułów; a obok nędza, również olbrzymia niewolników w ich większości. A była to nędza tak wielka, że nawet w westchnieniu nie mieli ulgi, bo nie mieli do kogo westchnąć w swym opłakanym nad wyraz losie. Skorzystawszy zaś ze sposobności, częstokroć mścili się okrutnie na swych panach, nie obawiając się najśroźszych kar za to przestępstwo. Albo przez zemstę to czynili, albo sami używać chcieli bodaj przez chwilę na wzór swych panów. Brak wiary i zupełnej ufności w stosunkach nawet najbliższych sobie osób, z małymi wyjątkami, a które to wyjątki aż historia zanotowała,

jako niezwykle; brak poczucia moralności i jakiegokolwiek sprawiedliwości, gdy strach przed siłą do tego nie zmuszał; brak bezpieczeństwa osobistego wszędzie i w każdym wypadku, bo ni w domu, u siebie, ni na ulicy tembardziej, ni przy spełnianiu obowiązków, ni wśród zabawy; nawet władzca naczelny nie był pewnym losu i rodzaju śmierci; stanowiło to wszystko tło jaskrawe stosunków społecznych i towarzyskich, w jakich pogaństwo trzymało narody.

Bohaterstwa, poświęcanie się, były to wypadki stosunkowo bardzo nieliczne, biorąc pod uwagę w dodatku olbrzymią przestrzeń wieków pogaństwa. Te piękne czyny przez wyjątkowych tylko ludzi spełniane były. Zaś w większej swej części instynktownie, na podobieństwo Zagłoby Sienkiewicza, dla samoochrony, stanu posiadania. Czasem dla zdobycia władzy lub sławy. Lub pod przymusem konieczności bez wyjścia, jak n. p. okrzyki gladyatorów, idących na śmierć dla zabawy cezara i jego gości cyrkowych: »Cezar, morrituri te salutant!« Albo naprz.: takie spalenie się Sardanapala na stosie z żonami i niewolnicami, gdy obrona była już niemożliwą, a wróg wkraczał do pałacu zniewieściałego władzcy.

Nie w najczarniejszych barwach nakreśliliśmy szkic socjologiczny i obyczajowy społeczeństw poganizmu. Uczty Nabuchodonozora, Sardanapala, Nerona; rzeź młodzianków i pierworodnych, zrzucanie ze skały Tarpejskiej, karmienie koni ciałami żywych niewolników i krwią ich; masowe mordowanie politycznych przeciwników po dojściu do władzy i t. p. były to naturalne rzeczy w obyczajach pogan, bardzo zwyczajne, bardzo częste i nie budziły wcale grozy, lub nawet zdziwienia. Takie to było zwykłe, jak w naszych czasach tępienie uprzykrzonych owadów lub myszy.

Chryścjanizm nietylko w zasadzie swej przeciwny tym wszystkim potwornościom, lecz od początków swego istnienia stopniowo, wedle możności swych, starał się



przeciwdziałać. Jako z miłości poczęty, miłość ogłaszał narodom zdziżałym, ogłaszał wolność człowiekowi, braterstwo i równość. A ogłaszał idee nie słyszane przedtem i nierozumiane przez umysły i naturę pogan. Twierdził, że najniešťczęśliwszy, najnędźniejszy niewolnik, ma Ojca w niebiesiech, że zatem, jako syn, ma cząstkę z niego nieśmiertelną w sobie. Zwierzęciem nie jest, a równy panu swemu, chociaż zależny od niego i bogactw nie posiada. Na podobne wieści zdumienie pana i jego niewolnika granic nie miało. To też, dopiero po długich, ciężkich przejściach i wojnach nawet, wiek XIX naszej ery położył ostateczny kres niewolnictwu.

I ten to właśnie niewolnik, w swem pokoleniu obecnem, najbardziej staje wrogo przeciw właśnie Temu, który go z niewoli wywiódł i z bydłęcia człowiekiem wolnym uczynił. Również ta niegdyś samica i rzecz bezduszna, podniesiona przez Kościół do godności człowieczeństwa i równych praw z mężem, a związek współżycia do najwyższej godności, bo Sakramentu, czuje się obecnie niezadowoloną i skrępowaną tą godnością. W nienawiści wraz z niewolnikiem współzawodniczy ku swemu Dobroczyńcy. Dziwny objaw wdzięczności i prawdy, dziwna logika czasów.

Byłoby bardzo wskazanem w obecnych czasach popularyzowanie wiadomości o pojęciach i obyczajach pogan w zestawieniu z reformami i pracą chrystyanizmu w sprawie uspołecznienia narodów i rozwoju kultury europejskiej. Możeby to nie jedną wątpliwość rozwiązało, nie jeden szal umysłowy się uspokoił, możeby to dało możność jedną więcej bronienia się przeciw napastniczej argumentacji bezwyznaniowców?

Bo idą oni do nas od strony wrogów naszych, wnosząc obce fałszywe bogi do naszych rodzin, naszych domów i naszej Ojczyzny. Idą, jako zawierucha, niecała przed sobą próchno zbutwiałe i piasek gryzący oczy; to znów jako mściciele czasów dawnych

i obecnych. Chcą, by społeczność, nakrywszy głowę całunem, z drogi im ustąpiła, by władza z rąk się wymknęła a broń z dłoni żołnierza. I ustępują ludziska z rozmaitych powodów. I jest się w zamęcie, niby wśród powodzi, i jest się w trwodze, niby wśród pożaru. A oni, bezwyznaniowi? Ni łodzi ratunku nie mają, ni dla ducha przytułku znaleźć nie mogą. Idą, jako plaga na dziś, a nadzieja na jutro. A czego pragną? Mało kto zgadnie. Tajemniczością się osłaniają, bo sami nie wiedzą nic pewnego. Jakieś senne marzenia przeciwstawiają rzeczywistości, marzenia fantazy niezdrowej — pracy realnej narodu, pożytecznej i budującej gmachy wśród zwalisk dawnych i zgłiszcz pozostałych z niedawnych czasów. Chcą jakieś eksperymenta czynić w szerszym zakresie. Zburzyć wpierw, co było i jest, a nie poprawiać wysiłki prac wiekowych ducha narodu. Zburzyć i zniszczyć, a następnie dopiero coś postawić, coś lepszego. Ale to lepsze, czy w ich mocy, czy nie zbraknie im sił i czasu, by go zbudować? Onego dobrego, czy posiadli już tajemnicę? Lecz oni sami o dobrem milczą, bo wątpią o jego istnieniu, nie znają go. Jak Piłat Chrystusa pytał, co jest prawdą? tak oni pytają wciąż, a co jest dobro? Jako chory, którego wnętrza gorączka pali, tak oni dotąd pragną, łakną napoju. Lecz z jakiego źródła? Nie znają go, błądzą po pustyni piasków umysłu i ducha szukając tego źródła, którego nawet nazwać nie umieją. Kują więc w obłędzie gorączki studnię w twardej skale i liżą wilgoć ziemi z rozpacz. Napiliby się i krwi, byleby ugasić żar, który im pierś suszy i mózgi. Biedni oni, nieszczęśni! Gdyby w górę podnieśli swój wzrok, wciąż pełzający po ziemi, to jedną kropelką rosy niebios wszyscyby swe pragnienie ugasiłi. Pragną stworzyć lepsze? A kiedyż człowiek, daleki od Boga, mógł co stworzyć dobrego dla ludzkości? Człowiek taki psuć tylko potrafi i burzyć. Niszczycielską jego robotą jest, jeżeli Bóg w zamiarach swoich to zniszczenie na korzyść celów swych nie użyje i nie przeobrazi. W piekło zmieniają ci

ludzie bez Boga tę piękną ziemię, ale niebo sprowadzić, nie ludzkiego to rozumu praca i daremny trud. Tylko spełnianie woli Najwyższego i Jego rozkazu przez wszystkich wielkich i maluczkich mogłoby raj na ziemię sprowadzić. »Kochajcie się jako bracia wszyscy, po tem poznają, żeście moi!« Co może być piękniejszego i czego potrzeba więcej, by ludzkość uszczęśliwić?

Czy mają ci bezwyznaniowcy myśl spokojną o przyszłość narodu, sumienie wolne od wyrzutów i smutnego przeczucia? Młodziak nie troszczy się o nic, jako dzieciak bawiący się z ogniem, pełen jest uciechy i pewności siebie. Dojrzałszy bardziej często się zamyśla, czując pewien ciężar jakiejś odpowiedzialności. Nie nosi pogodnego czoła, zadaje sobie i innym pytania, kto będzie ten, który potrafi z tych gruzów i zwalisk chociaż szafas dla przyszłych pokoleń zbudować? A nie znajdując odpowiedzi, nawet powodzeniem przerażony bywa. Zwycięztwo budzi w nim żal dokonanego czynu. Pod laurami włos mu się jeży, gdy spojrzy w przepaść, otwierającą czeluści swe pod nogami jego. Tacy, kopiąc ziemię, sypią złotem krwią polewanem, a dół coraz głębiej im się usuwa, a na dnie wulkan swój krater otwiera. Pod stopy ludu obietnic tysiące, pochwał krocie rzucają. Mówią mu o jego prawach, o obowiązkach — milczą. A lud woła: »czynu i chleba!« Do czynu odrodzenia prawdziwego za słabi we wszystkim, a z chlebem skąpi. Frazesami chcieliby lud zaspokoić, lecz słowa ich płonne, z bezdusznej ich piersi, jak z pustego naczynia, nic wydobyć nie mogą. Głoszą braterstwo po rogach ulic pisane, jakby w katechizmie wyczytać go nie mogli. A lud pyta ich: »gdzież jest nasz ojciec, skoro nas braćmi zowiecie?«

— Ojca nie znają, lub boją się go wymienić, a matką — stara natura. Ona dała im siłę, co burzy i niszczy wszystko po drodze, wszystko, co duch ludzkości w ciągu wieków stworzył, jak niszczył niegdyś Tamerlan lub Attylla. Jako mściciele czasów idą, nosząc w pier-

siach zasób palny, a z ust ich miecze ogniste w świat godzą. Wolność głoszą, lecz jaką wolność? I Chrystus głosił wolność i braterstwo, a i szatan wolności się domaga. Nie dość nakazać braterstwo, trzeba serca skłonić ku miłości, boć i braci rodzonych, chociaż krew i ziemia łączy — duch rozdzielać może. A Pankracy Krasieńskiego, ogłaszając zwycięstwo swych doktryn na gruzach społeczeństw, musiał krzyknąć: »Gallilae, vicisti!« I padł martwy na te gruzy, rażony piorunem zrozumienia swych zbrodni i następstw ich, rażony nicością swych doktryn i czynów strasznych, zbrodniczym wysiłkiem, pokoleń przekleństwem!

A oto drugi szkic socjologii pogańsko-bezwyznaniowej społeczności, bardziej blizki naszych czasów, a w myśl Woltera i Rousseau we Francji powstałej. Jakże smutny, jak strasznie smutny wpływ swój decydujący ta epoka na nasz naród wywarła! Aż niepodległością za ten wpływ zapłacić naród polski musiał. Francja wybrnęła szczęśliwie po tych strasznych katastrofach, zapłaciwszy tylko krwią większej części swej ludności. Na tem tylko na razie ograniczyła się kara niebios. Miała zresztą Napoleona swego, my zaś Stanisława »najlepszego z królów«, jak go współczesni nazywali. Następnie Francja miała tylko jednego Ludwika XVIII-go, my zaś, pod tym względem byliśmy bogatsi, bo aż trzech suwerenów mieliśmy, i mamy dotąd, chyba dość na jeden raz! na jeden naród!

Po przeprowadzeniu wybuchu rewolucyjnego i zamachu stanu we Francji, przywódcy zajęli wnet stanowiska u steru rządów republikańskich. Byli to wszystko ludzie wykolejeni przy normalnych warunkach społecznych, była to warstwa proletaryatu umysłowego i moralnego. Rewolucya tę warstwę wyniosła, jak fale wezbranych wód swą pianę z odmetów błotnych i cuchnących. Dała im, spragnionym, możność użycia i nadużycia wszelkich rozkoszy. Władzę bez granic prawie i dała zagrabione bogactwa tak zwanych wówczas »arystokratów«. Arystokratą zaś

zwano każdego, kto choćby mimowoli, z nałogu, wezwał Imienia Bożego, nie należąc wcale do szlachty, lub partyi rojalistów. Mordowano ich bez miłosierdzia, aż ręce opadały w znużeniu »obywatelom«. By sobie trudu ująć, wystawiano po wszystkich placach publicznych maszynę do ścięcia głów, gilotyną, od imienia wynalazcy, zwaną. Gdy ta warstwa nędzoty umysłowej i moralnej użyła już sobie dosyć, jako rządzący i panowie narodu, przychodziła z kolei inna fala kategorii społecznej. Lokaje, fagasi, kucharze, handlarze i t. p. Po trupach pierwszych zajmowali ich miejsca, by użyć również, stosownie do postępu czasów, dobra wyzwolenia. Po tej przychodziła znów nowa fala z zamiataczy ulic, bednarzy, szewców i t. p., chcąc również mieć udział w bankietach życia na łonie natury, według recepty Rousseau. I tak następnie, jedni po drugich przychodzili, nie wyłączając zbrodniarzy, złodziejów z najciemniejszych nor, łotrów ze stryczka zerwanych. Przychodzili i zajmowali miejsca swe, naturalnie uprzątnąwszy pierwszych, by nie mieć jakiej przeszkody. Ścięcie Ludwika XVI i królowej Maryi Antoniny, rozwiązało już zupełnie ręce »obywatelom«. Już nie człowiek uciśniony, pokrzywdzony, powstał do wolności i wyrównania sobie krzywd, ale zwierzę dzikie i bezmyślne, wolne w swych najdzikszych instynktach, trzymany dotąd na łańcuchu.

Listopada 7-go 1793 roku dekretem narodowej konwencji wydana się Boga z ziemi i granic Francyi, a natomiast ogłasza się cześć rozumowi narodu. Zaś 10-go tego miesiąca, Francya z wielką uroczystością i ostentacją cześć tę oddaje rozumowi. Oto w Paryżu, w uroczystej procesyi zanesiono do kościoła Notre Dame ladacznicę publiczną, żonę deputowanego Mannero, naga, odzianą tylko w błękitny płaszcz i czapkę frygijską czerwoną. Jako przedstawicielkę nowego bóstwa, ustawiono ją w wielkim ołtarzu i dymy kadzidel i pieśni hymnów na cześć bóstwa jej plu-gawily wiekową świątynię. Pyszne widowisko dla dusz

wzniosłych i umysłów głębokich! A ten rodzaj szczególnego nabożeństwa tak się upodobał, iż przeszedł i na prowincye. Niszczono kościoły, zabytki wiekowych uniesień, pracy i wdzięczności narodu. Niektóre zamieniono na świątynie rozumu, te tylko i ocalały. Palono publicznie książki religijne, łamano krzyże, Hostye rzucano zwierzętom. Wszystkie ludzkie namiętności i wszystkie żądze najdziksze rozpętały się i dosięgły najwyższego wyrazu i stopnia, na jakie tylko natura ludzka zdobyć się mogła i umiała. Bezprzykładny terroryzm wywarło szczególnie na duchowieństwo i wogóle na wszystkich wyznających nawet w największej tajemnicy Boga chrześcijańskiego. Podejrzenie padło, pozór lada jaki i skazywano na mękę, na śmierć. Księżę spędzano na brzeg Sekwany całemi setkami, a skrępowawszy im ręce i nogi, związywano jednych z drugimi i tak wrzucano do rzeki. Nazywano to chrztem księży. To znów, związywano każdego z kobietą i tak ich razem topiono, nazywając to ślubem księżowskim. Najwymyślniejszych naigrawań i okrucieństw nie szczędzono swym ofiarom. Po całym kraju rozsiano tysiące trybunałów wraz z gilotyną do sądzenia »arystokratów«. Najbardziej oddanych republice, najbardziej zasłużonych sprawie mordowania podejrzanych, nie oszczędzano, gdy uważano, iż dosyć już mają za swoje prace. Na placach egzekucyjnych krew zsiadła tworzyła kałuże tak wielkie, iż woły, ciągnące wozy z trupami, ledwie je mogły przebrnąć. Większa część ludności Francyi przestała istnieć w ciągu ośmiu miesięcy rządów ludu, wypoczywającego na łonie prostoty i niewinności dziecięcej matki natury. Szkoły, naturalnie przestały istnieć. Dzieci uczono praktycznie. A więc, zabawiały się głowami ściętych i dostawały w podarku małe gilotyny, by się uczyły czcić bóstwo rozumu i kochać wolność. Starsi urządzali sport ścinania głów lalkom cukrowym, z których czerwony likier, imitując krew, bryzgał im w twarz.

Wszystkie kraje przepełnione były wychodźcami z Francyi. Salwując życie, szli oni na tułaczkę wśród obcych. Z żebraniny w nędzy tylko żyć mogli. Mocarstwa, obawiając się wpływów rewolucyi, utworzyły święte przymierze, pod cieniem którego wszelka myśl ducha narodów w martwy kamień się przeistaczała.

I co to ma wszystko znaczyć? A ot co! — Robespierre, ten »czerwony szatan« rewolucyi, jak go nazywano, spostrzegł jednak w końcu, iż naród bez wierzeń religijnych nie jest w stanie samodzielnie, niepodległe żyć, że społeczeństwo samo się wyniszczy i musi pójść w służbę do obcych. Ponieważ on sam za daleko już poprowadził swój naród po drodze bezwyznaniowej, niepodobna więc było powrócić odrazu do wiary przodków bez ściągnięcia podejrzeń. Umyślił tedy utworzyć coś nowego i przejściowego, a pychę jego do syta zadawałającego. Każe więc konwencyi zadekretować, iż on, Robespierre, najwyższą jest istotą bóstwa, a dusza ludzka — nieśmiertelna. Dla uczczenia tej to najwyższej istoty bóstwa, urządzono wspaniałą procesyę, podczas której Robespierre w fioletowym odzieniu, z bukietem kwiatów w rękę, idzie na czele konwencyi, jako już najpierwszy syn najwyższej istoty. Nie przeszkodziło to jednak innym ściąć go nieco później, dość już miał zapłaty za usługi swe dla republiki. A i reakcja psychiczna poczyniała się budzić. Naród w swych lepszych synach czuł się w końcu zmęczonym tym porządkiem społecznym bez stałego dziś, bez pewnego jutra. Napoleon zauważył ten prąd i nie chcąc, jak Pankracy Krasieńskiego, skończyć na ruinie społecznej i zwątpieniach w demagogię, dał rozkaz otwarcia kościołów. Następnie zawarł konkordat, modus vivendi z kuryą rzymską. Ocalił tym sposobem naród, kraj i siebie, chociaż wolteryaninem nie przestawał być.

Filozofia Woltera spopularyzowała się bardzo w całej Europie, lecz najłatwiej przyjęła się w Polsce. Taki to już zapalny duch naszego narodu. Entuzjastyczne usposobienie zarówno do dobrego, jak i do niedobrego, często bezkrytyczne, idące za ogólnym prądem chwili danej, wytrąca nas z równowagi i na osłep idziemy. Wszystko bez wyboru przyjmujemy szczerze do serca i lubimy ostateczności, a szczególnie nowe. Tak też i z wolteryanizmem u nas było. Epoka zaś Sasów ułatwiła w znacznej mierze jego późniejszy rozwój wśród szerszych mas.

Tyle było do roboty w kraju, tyle spraw czekało uporządkowania, że i kilka tysięcy dobrych głów, a pracowitych, nie byłoby zanadto. Tyle było piękności krajo-  
wych, tyle potrzeb społecznych, tyle mądrości narodowej, że byleby to wszystko zrozumieć, ukochać, a stosownie użyć, a wydobyć z pyłu zapomnienia i na światło wyprowadzić, mielibyśmy i zasoby niewyczerpane i urządzenia społeczne niezgorsze i zaspokojenie duchowych potrzeb i estetycznych porywów zadowolenie. Trza tylko było pracy rzetelnej, trza tylko było pracy i jeszcze raz pracy, z serca, z ukochania...

Znaleźli się też ludzie ofiarni pracy rzetelnej dla dobra ojczyzny. Poczęła się robota ku odnowieniu rządu i ku podniesieniu narodu, w zasoby siły fizycznej, umysłowej i moralnej. Lecz oto panowie wracają z zagranicy. Prócz nowych strojów, krygów francuskich na wysokich, czerwonych obcasach, przywozi każdy w swych kufrach podróżnych jeśli już nie całą duszę Woltera, to choć większą jej częśćkę w podarku dla swoich. Poczyna się nowe obalamucanie umysłów, poczynają się entuzjazmy dla wielkiego myśliciela, dla wielkiego wyzwoliciela ludzkości, dla dobrodzieja jej. Wolter zaciera ręce, zbiera tynfy polskie i uważa, że Polacy są prawie tak mądrzy jak i Francuzi. Wskutek tak pochlebnej opinii i to z ust takiego mistrza, cała Polska trzęsie się w uniesieniu dla pana Woltera. Wszystkie sprawy narodowe idą, naturalnie, w ką, bo



i niewiele one warte według nowych teoryj i czasu niema na to, pilniejsze bowiem dyskusye nad mądrościami sławnego filozofa.

A tak wolteryanizm zatacza coraz szersze kręgi stopniowo i znaczy swą drogę rozkładem społecznem. Kto nie chce uchodzić za nieuka, wstecznika i gbura, musi znać przynajmniej główne zasady tej filozofii i być, ale to koniecznie, choć cokolwiek zwolennikiem ich. Wolter zaś, był to człek sprytny i obrotny, cięty satyryk i ohydny paszkwiliści, a przewrotny, jak mało kto i zawsze potrzebujący pieniędzy. Eksjezuita miał rysy twarzy ohydnie przypominające szatana chytrego a złośliwego, z przerażającym wyrazem cynizmu bez granic. Za swoją mądrość kazał sobie dobrze płacić, również za pochlebne słówka, o które się nadzwyczaj ubiegano, lub cyniczne wierszyki. Płaszczyl się wobec możnych, wcale nie jak filozof i zmuszał ich swemi paszkwiłami lub detyrambami pochwał, do zapłacenia sobie haraczu. Płacono też z uprzejmym uśmiechem bez żadnych uwag. Płacili wszyscy prawie magnaci z Poniatowskim na czele. Płaciła mu też Jekateryna swemi rublami srebrnymi i Fryderyk Wielki posyłał swe talary i wszyscy możni Europy całej. A on drwił nielitościwie ze wszystkich i zagarniał pieniądze. Człowiek moralności żadnej, umysłu szydlerczego a nie wielkiego, z małym wykształceniem, a duszą wytartą, jako liczman. To też i był liczmanem geniusza i proroka, za jakiego i chciał uchodzić. I taki to narzucić się mógł, dzięki swemu sprytowi przy ciętym piórze, całej epoce ówczesnej aż do trzeciego prawie pokolenia! Ile ten wcielony szatan przyniósł złego wszystkim narodom, Bóg jeden obrachować to może!

Bywali w Polsce w różnych epokach i czasach ludzie z wyższym umysłem i charakterem, nieznanym bojaźni wobec przeciwnych rozkładowych prądów. Bywali ludzie, jakby natchnieni Duchem Bożym, np. Piotr Skarga i inni, którzy zdawali sobie jasno sprawę, nie łudząc się pozorami świetności. Widzieli niemal proroczco przyszłość i ko-

niec nieszczęsny narodu i Ojczyzny. Szli oni między naród i głośno w rozmaitych miejscach i z rozmaitych stanowisk swych głosili prawdę i przestrogi prorocze. Głos ich jednak był głosem wołającego na puszczy, tak już był wielki rozkład podstaw społecznych i narodowych. Wołać jednak nie przestawali, wołali coraz głośniej, coraz natarczywiej z miłości ku Bogu i Ojczyźnie, wołali głosem świętego Jana na puszczy:

»A kiedy uczujecie głód i pragnienie, będzie to głód słowa Bożego — będzie to pragnienie zasiłku Jego!

»I bardziej wtedy poczujecie łaknienie świętych Sakramentów i oczyszczenia z grzechów. Ale na próżno! — Pozostaną wam tylko żałośnie wspomnienia!

»Dziś, obyczajem i mową ojczystą gardzicie, obczyzną je zamieniając. Fałszywym bogom gotowicie na wszystko. Wkrótce i świątynie Pańskie opuścicie.

»Gdy zatem do obcych bogów przyłgniecie, z nimi rozlicznych grzechów się dopuszczając, w otchłań siebie i kraj pogrążając. A tak, z obczyzną zbratani, niezadługo pod rządy obcych padniecie.

»Częścią na dalekie wygnania, częścią pod miecz i na rusztowania, bo zbawienną nauką gardzicie, bo cierpliwości Pana nadużywacie!

»I przyjdzie czas, kiedy łaknąć będziecie słowa ojczystego, kiedy pragnąć będziecie łona macierzystego, kiedy ze łzą w oku poglądać będziecie na dawny strój sukni narodowej, kiedy ze czcią relikwijną wdzielibyście ją na obrzęd godowy.

»Ale już wam będzie niewolno, już wam będzie za późno. Nastaną dni i lata, w których mienia wasze obcym będą rozdawane. Wasze grody, wasze siola i domostwa, wrogi obsiedą, reszta w gruzy będą obrócone.

»I zapragniecie choćby na ich zgłiszczach chwilkę wytchnąć, podumać, rodzimą ziemię ucałować, na niej zapłakać, w jej grobach spocząć.

»Ale was i ta pociecha minie. Nie wolno wam będzie i płakać po swej Ojczyźnie! Wolno wam będzie tylko w łańcuchy brząkać w podziemiach, z dala na obczyźnie.

»Tam dopiero łaknąć Pana będziecie, tam Jego naukę i miłość zrozumiecie. Tam nauczycie się szanować wiarę ojców waszych, poznacie wasze grzechy i zasłużoną za nie karę. Tam pojmiecie, gdzie źródło odrodzenia i droga do ocalenia.

»Tam, kędy umierać będziecie z pragnieniem Pańskiej ofiary i jej sakramentów, gdzie na całej przestrzeni bezludnej niemasz ni kościoła, ni służi Bożego.

»Wtedy świątynie pańskie, dziś przez was opuszczone, później wróg zrabuje i zhańbi. Zapragniecie widzieć je powróconemi wam, a otworzonemi dla dobra waszego, dla szczęścia Ojczyzny i narodu, nie będą!

»Wtedy zapragniecie naprawdę widzieć w nich swe działki zewsząd zgromadzone i widzieć obyczajem projców w religii i cnocie i mowie ojczystej odrodzone.

»I wtedy dopiero, gdy, czy to w bardzo dalekich obczyznach, w więzieniach katuszy, w niewoli szatana, czy w rodzimej zagrodzie, pozbędziecie się obcych bogów i niewiary, z serc waszych wygnacie precz, wtedy dopiero pomoc Pana przybędzie do was i dzieci waszych. Moc szatana będzie pokonaną i w jego własne łańcuchy Pan go okuje.

»Lecz bez poprawy i pracy rzetelnej nad sobą, nawet w pokucie za przewinienia, nie masz przebaczenia. Na łonie pokuty tylko przez nawrócenie, przez krzyż i pracę, Polski ocalenie!«

Tak duchy wielkie, duchy wieszczce, głosiły proroczo dawniej. A i dziś odzywają się niekiedy i dziś, jak dawniej, jakoby głosy wołające na puszczy. A jednak, dla ludzi nie uprzedzonych, patrzących na dzisiejszy stan społeczny okiem niezmaconem duszy i umysłu, stają się coraz bardziej rozumiałemi owe zjawiska szturmującego coraz zacieklej antychryścjanizmu wszechświatowego.

W miarę, jak żydzi rozchodzą się po krajach nawet zamorskich, zauważyć się daje rozlewającą się nienawiść ku chrześcijaństwu ze wzrastającą szybkością nawet tam, gdzie jej zdawałoby się nie mogło być. W miarę bowiem objęcia świata przez żydów, pod rozmaitemi postaciami i na rozmaitych stanowiskach upadek moralności obywatelskiej wraz z upadkiem religijnym staje się światowym. Ten objaw powszechny, a tak bardzo ujemny dla poszczególnych narodów, powinienby dać dużo do myślenia, powinienby zmusić do szukania skutecznych sposobów walki odpornej z zarazą destrukcyjną, z masonizmem żydowskim.

A te starania zniszczenia Chrześcijaństwa, ta ciągła walka przeciw niemu poczęła się nie od dziś, ni wczora, ale od wieków już, od początków, od zarania Chrystyanizmu. A tę walkę prowadzi się w najrozmaitszy sposób, w najrozmaitszej formie. Stosownie do okoliczności i czasów zmienia się taktykę i postać, przyobleka się szaty. To z podniesioną przyłbicą, to ze spuszczoną idą do boju wrogowie, pozbywszy się honoru, sumienia i wszelkiego uczucia, byleby osiągnąć cel swój. To jako obywatel, ziemianin, urzędnik, nauczyciel, lekarz, prowodyr, trybun, wciska się do społeczeństwa, by siać truciznę; to nawet w szaty mnicha cichego się przeoblecze, lub i pompatyczne fiolety okaże ludowi. To znów jako mędrzec, myśliciel, pisarz i dziennikarz, narzuca się społeczeństwu na mentora i kaznodzieję. Wskazując na prawdy naukowe, na myśli głębokie, w pozory ojczyźnianej miłości i dobra narodowego przebrany, pociąga lekkie umysły ku sobie, świeże, niedoświadczone, szukające czegoś na prędce, jakiejś łatwej, nieskomplikowanej esencji mądrości, dającej się zawrzeć w małej i wygodnie noszonej buteleczce. Jako mówca śmiały i odważny, bo bez skrupułów jakichkolwiek, frazesem szumnym tłumy bezkrytyczne hypnotyzuje i prowadzi do walki, której one nie chciały wcale. Wszystkie stanowiska społeczne chciałby ten wróg zagarnąć, by je sprofanować, zepsuć, złamać, poderwać zaufanie ogółu do

nich i, wyzyskawszy je dla swych celów, oplwane rzucić w twarz narodowi ze słowem pogardy krwawej. Zawsze, od wieków, to jako wróg zewnętrzny idzie do boju, a pobity wraca na nowo wcześniej czy później; to niby swój, miłujący Ojczyznę, kopie skrycie miny i prochy podkłada, by gotowe były, gdy uzna chwilę za stosowną. A cechą jego taktyki zawsze nieprawda i obłuda, a środkiem zawsze gwałt duchowy, czy fizyczny, rozpętujący namiętności dzikiego zwierza. Cel jego, to zniszczenie chrześcijaństwa, a w szczególności — katolicyzmu, to jego cel najbliższy. Reszta zamiarów, sama prawie, jako konsekwencya przyjdzie. A to — zniszczenie społeczności wszelkiej. I stać się może, co przewidział Krasieński w swej »Nieboskiej«. Oto na gruzach narodowych, na zgłiszczach społeczeństw, na złomach wszelkiej wiary i etyki moralności, wzniesie się śród świata, na wzgardę światu i Bogu wielkością swą prze-rażający, ze złota tron. Na nim zasiądą z powagą wzgardy i szyderstwa starcy o długich brodach, oczach niespokojnych, rysach wschodu, a twarzy zmiętej, jako szmata. Zasiądą oni na tym tronie, śród świata postawionym, a światu na wzgardę. A usiądą na worach pełnych złota i nogi swe oprą na takichże worach. A wory te od czasu do czasu wydają dźwięk złota i jęk rozpaczy i krwi sączenia. A wtedy starce kopią je nogami, lub pięścią uderzają, aż się uspokoją. U dołu zaś tronu, w nizinach i błotach cuchnących ludy całe. Z rozpaczą w sercu miotając przekleństwa, walczą o kęs chleba między sobą grupami. Walczą pięścią i zębami, jak dzikie zwierzęta, wściekłe bólem. Wszystkie pięści zaciśnięte w nienawiści ku tronu zwrócone. Zda się, te rzesze ludów całych rzucą się natychmiast na ten tron nienawistny, rozpaczą i niedolą wspólną zjednoczone. Jako huragan potężny, zburzą go i rozrzuca w śmieciach świata. Ale oto ich wódz najwyższy stanął wśród nich wzburzonych. Posyła swe proroki, a ci znaczą wodzów ludu tajemniczemi, a krwawemi znaki i straszną przysięgą ich wiążą. Wódz zaś najwyższy wstępuje na wschody olbrzy-

mie olbrzymiego tronu. I tam, wskazując starcom, moczom złota i bogactw wszelakich, te rzesze ludów w nizinach i błotach; przedstawiwszy ich gotowość rozpaczycy czynów; targi prowadzi o cenę zapłaty swych braci krwi. Również na te olbrzymie wschody wstępują tłumy monarchów w koronach na głowie i berłach w ręku, a w niskim pokłonie przed tymi starcy, zdejmując koronę, rzucają na wagę wraz z berłem swem. A otrzymawszy za te rupiecie zapłatę brzęczącym pieniądzem, z weselszą już twarzą pokłon oddają i schodzą ze stopni. I tłumy szlachty przychodzą do starców na tronie i miecze swych przodków, tarcze, puklerze, ryngrafy i herby, wiarę i honor, wszystko co mają, pod nogi starcom rzucają w gruzy, jako rupiecie, zebrząc o pieniądź...

To Krasziński przywiduje i stać się to może, bo już po części i dziś coś podobnego da się zauważyć. I patrzmy ze smutkiem i bojaźnią na rezultaty walki zacieklej, na te wyłomy już poczynione w społeczeństwach chrześcijańskich. Widzimy w naszych oczach już zdobyte reduty i bastiony w postaci rządów państwowych i ustaw krajowych u narodów najbardziej katolickich dotąd. Tam już otwarcie, bez maski występuje wróg. W innych zaś krajach i w naszych także, skrycie dotąd, po cichu, podstępnie. Niemniej jednak energicznie, przy systematyczności bacznej i skutecznej, działa wciąż. Rozkład społeczeństw wszelkich potrzebnym mu jest, bo tylko wtedy będzie mógł rozkazywać i panować im. Rozkład zaś naszego, zważywszy wyjątkowe warunki polityczne i społeczne, w szczególności koniecznym mu. A dotąd ten teren, ten polski teren, nie zupełnie jeszcze zdobyty. Więc idzie usilna, wyęziona bardzo robota. A wskutek tego, na terenie naszym spotykają się przy robocie zewnętrzny wróg z wewnętrznym i oba wyłomy czynią łącznie wzajemnie się wspierając. Po rozbiórce ziemicy naszej ma przyjść rozbiór chemiczny narodu polskiego, rozkład duszy jego zbiorowej, zgnilizna treści jego. A wtedy, wtedy już koniec naprawdę temu

narodowi, koniec więc Polsce na zawsze. Nie będzie już ona, niby upiór wstający wiecznie z grobu, zjawiać się przed obliczem Europy strwożonej i bluzgać swą krwią serdeczną w jej sumienie hartowne! Ci, którzy rękę swą przykładają do tej roboty wrogów, czy zdają sobie z tego sprawę? Są-że oni tylko z imienia Polakami, bez duszy polskiej? Chyba się łudzą i drugich łudzą także! A jeśli są nimi, czy widzą cel, do jakiego dążą i skutki, jakie będą, jakie przyjść muszą? Czy chcą mieć możliwość krzyknąć radośnie wspólnie z wrogami: »Koniec Polsce na zawsze i narodowi polskiemu!« Czy tego pragną? Ale tego okrzyku gardła wasze nigdy, przenigdy nie wydadzą! Ni uszy wasze kiedybydź usłyszą go! Bo oto, słyszycie? dzwon Zygmunta bije na trwogę, a po całej ziemicy Polski słyszany jest, a serce polskie na ten głos całym jestestwem drga! Miliony, miliony! wszystko najdroższe, wszystko co trzymają w dłoni swej ze wzdargą opuszczają i rzucają na ziemię, i tchnieniem jednym, tchnieniem Boga, polskiego Boga, owiani, jako huragan pójdą do wyłomu! Jako jeden mąż staną w obronie swych praw wieczystych, obronie strasznej, rozpacznej, nadludzkiej! A wam, sługom szatana, serce zamrze, wasza pierś pusta pęknie na widok ten, a lica wasze bladość okryje! I czołgać się będziecie jako padalce, u nóg mścicieli, żebrząc miłosierdzia! Wy, sługi szatana, uczynić macie waszą nienawiścią, iż Najwyższy przyspieszy wskazówki na zegarze czasów ku godzinie oznaczonej przez Niego, Pana Wszechmogącego i Wszechmiłosiernego!

...



### KSIEGA III.

Z miłosierdzia swego jeszcze raz ostatni  
Pan dotkliwie ostrzeża.

Warszawo! Warszawo, ukochanie serc naszych! Warszawo, dumo i chwało narodu polskiego, smutku bez granic i hańby wiekowej niedoli winowajczyni! A jednak... Bądź pozdrowioną, ukochanie ty nasze! boś najwielmożniej z nas wszystkich męczeńsko cierpiała, bo ty pierwsza zmażesz twe winy krwią twoją ofiarną i pierwsza wstaniesz liściem wawrzynu okryta, gotowa do lotu orlego!

Ale oto, za »najlepszego z królów«, Stanisława Augusta, tyś grzeszna bardzo, grzechami szalona! Gdy wulkany, ukryte jeszcze, tylko drzeniem twej ziemi rodzonej, i głuchym pomrukiem o sobie znać dają, ty, w skocznem tępie twej muzyki balowej, ze śmiechem pustym, w cudzoziemskim stroju, chodziłaś patrzeć aż w stepy Ukrainy, azali jeszcze opoka nie pękła? Chodziłaś patrzeć z dziecięcą ciekawością, azali jeszcze buchające ognie nie wyszły z ciemnych podziemiów swych; azali zamek twych wielkich ojców nie ruszon jeszcze u podstaw swych? A czując tylko twej ziemi drżenie rodzonej i głuche pomruki z oddali, ze śmiechem zalotnym, w podskokach szału, w wirach zabawy, wśród kart i złota, traciłaś pamięć, sumienie i duszę! Twój król »najlepszy«, w konkurach wiecznych przy Venus miłosnej, do bogów obcych tylko się modlił. A sprawy kraju, a losy narodu, czekały długo, długo na jego czas wolny. A wojska jego bez wodzów

były i naród bez wodza był, a ziemia bez pana! Wodzowie obcym w stolicy bogom pokłony bili, a za to złoto do rąk im lgnęło. Srebrniki Judasza wszędy dźwięk swój dawały. Sejmy zrywane, burzliwe obrady i bunty Ukrainy głośnym echem tego dźwięku były. Oh! Warszawo! Czemu obcym bogom, bogom fałszu twą wiarę dałaś? Czemu nie chciałaś twego Boga wezwać, twych ojców wielkich Boga? Czemu? Możeby twój obłęd był ciebie opuścił, możeby zdrowie było wróciło, możeby syny tve nie dali swej duszy na upodlenie wrogom! Warszawo! Czemu?...

Oto, Semiramis północy, córka Germana ze swym rodzicem, a szatanem do współki, lży leją krokodyle nad stanem narodu polskiego. Widząc bezład, rozprzężenie, anarchię, litość ją wzbiera i pragnie dopomódz tobie, Warszawo!...

A chociaż srebrniki umysły i serca już wielu skłoniły ku bogini piekieł; chociaż dźwięk ich głośny zgłuszył orkiestrę balową, a mózgi i dusze przetopił w materię szarą, z dala cuchnącą, Prozerpina jednak nie czuła jeszcze dość potęgi w sobie, by swą opieką w obręcz żelazny Polskę skuć. Bo nieraz Polska i szalona, lub we śnie letargu, gdy na nią powieje z rodzimych pól, a duchy Zamojskich, Żółkiewskich, Czarnieckich, spytają, czyście nasze syny? to szal ustaje, a letarg zerwany. W balowym stroju pójdzie na bój i zwycięstw wawrzyny u nóg jej legną. Więc jeszcze się lęka caryca lodów i nocy. Pomoc Krzyżaka może nie starczy? A więc wiedeńska niech przyjdzie kokosza. A tak, gdy radzą we troje, nad nimi szatan, pan ich, ogniami cały, krwi purpurą i złotem łyska. Oblicze gniewne ukazał i zgrzytem groźnym do pospiechu naglił...

Poszły więc pułki trzech zbirów, czeluści Pana podziemnych bezdni, na ziemię twoją, Warszawo, rodzimą! Poszły, zajęły twą ziemię bezbronną i twój lud nie-szczęśny.

I było to w roku 1772, a pierwszym początku panowania władzcy piekieł przez sługi jego.

Ponieważ szatan, na rozkaz Najwyższego, z jaskini przed wieki wypuszczon, kusić szczególnie naród polski miał, lecz panem być, gdy dobrowolnie weźmie go, wzgardziwszy wiarą ojców wprzód. A gdy wzgardzi Bogiem ojców swych, wzgardzi przeto wszystkim, co od ojców ma. Więc, krwią, imieniem, mową i ziemią swą. Zwołuje więc szatan przez sługi swe sejm wielki do ciebie, Warszawo! Pod niecną laskę pachółka swych sług, Ponińskiego Adama, spędza zaprzańców i jurgieltników swych, a »najlepszego z królów stawia na czele ich. Nie wszystkie jednak twe syny, o matko Ojczyzno, zaparły się ciebie! Oto zaledwie kilka głosów piekła zważyło szalę w stronę szatana. Ale »najlepszy z królów« nie dobył miecza, jako ojce jego, i z błyskiem piorunu nie runął ze swymi na śmiałka! Nie krzyknął grzmotem, coby zatrzęsł krajem: »gore, gore, do bronii, na koń!« Nie! sił mu zabrakło i serca, bo zbrakło mu ojców jego wiary, więc zbrakło mu ojców jego ducha... Sił mu starczyło na płacz niewieści, tylko! Podpisał cyrograf ze swymi! Panem szatana uznał tymczasem części swej ojcowizny! I było to w roku 1773, drugim już panowania władcy piekieł...

Z chychotem szyderstwa pochwycił szatan dobrowolnie cyrograf spisany. I z pychą, a butą bez granic zwycięztwa swego, urągać począł Panu w Niebiosach. Kraje zdobyte z duszami ich ludu poddał swym rządzcóm za służbę gorliwą w nagrodę. Kokosza Austrii dostała Krakusa stolicę i Ruś Czerwoną, i część Podola, Wołynia, i połać Sandomierskiego, za pomoc w porę i zgodę życziwą. Krzyżak otrzymał część Wielkopolski i jał spokojnie, germańsko pożerać. A zaś najmilsza caryca śniegów i wszystkich mroków, caryca piekieł i wszystkich rabów, plugawic miała Płockie ziemie, Witebskie, Mścistawskie z duszami wraz ludów ich...

Dotkliwa przestroga Boga obrażonego nie wstrząsała umysły oczadziały, a serc i dusz ogniem nie zapaliła ofiary, bo już ich prawie nie było w polskiej piersi. Kłęb robaków zajął miejsca te... Wrogom się łasic idą, wysługuwać dostojęństw i łask! Wrogom, ich ojcowizną tuczonym, pokłony biją zwyrodniałe syny wielkich Ojców! I coraz podlej na tej ziemi było!

### POKUTNICY MODLĄ SIĘ W OGROJCU OJCZYŹNIANYM.

Umilkły dzwony w świątyniach Pana, umilkły pienia i ofiary. Cisza zaległa i pustka głucha. Król z senatory i rycerstwem nie składa Panu swej czci należnej ze szczerą skruczą swych win. Naród w postawie nie wznosi kornej swych oczu ku Niebu, dla duszy zbiorowej nie czerpie z Ducha swych sił! Nie prosi już o nic ze swymi kapłany Tego, który Mocen jest. Wiernych zabrakło już prawie. Podwoje świątyni bywają otwarte ku podniesieniu blasków światowych. Duch już uleciał, zostało tylko pogańskie, martwe decorum. — Woltera recepty poczęły układać bieg życia panów, a cynizm ich dusze sobą przepoił; na wszystkie życiowe, społeczne czynności, piętno szatana, jako stempel kładzie. Wiara i honor, miłość Ojczyzny i praca dla niej, to przesąd tylko i stare rupiecie. A jeśli kochać, to tylko siebie, jeśli pracować, to tylko sobie, by użyć! Ah! użyć życia, ile się da! Nasze to tylko, co zjemy dziś, a jutro? Kto dba o jutro? Jutro niech będzie, jako chce! Co nam po jutrze, gdy nas nie będzie już tu? Nasza padlina nie zazna rozkoszy w mogiłnem łożu! To dziś tylko naszym!

Silny niech nogą kopnie słabszego, gdy mu to sprawa uciechę, pocóż odmawiać sobie! Niech słabszy się koczy, gdy łaski żebrze, a żebrze, by również użyć słodyczy mógł! A że pieniądze tę rozkosz dają, o którą się ży-

cie domagać chce, więc brać je wszędy, gdzie tylko są, i nie dbać o to, jaka ręka daje! Pocóż odmawiać sobie? Ze śmiechem pustym, jak każdy przesąd, zetrzeć tę kroplę krwi, która czasami złoty pieniądz splami! Pocóż odmawiać sobie? A że się wszystko komuś przydać może, więc wszystko sprzedać za pieniądź rokoszy! Pocóż odmawiać sobie? Gdy po ojcach synom nie zostanie już nic, dróg nowych szukanie rozkoszą im będzie! A zwierz, czy myśli o losie swych dzieci, czy truje sobie troską ich życia rozkoszne chwile dnia jego? Z odmetów ducha zawitych dróg na łono natury nawrócić trza! Natura tylko, nie więzy duchowe, może odrodzić ludzkości stan! Mąż więc swą żonę za garstkę złota niech sprzeda, gdy znajdzie nabywcę żądnego; albo ją w karty niechaj przegrywa, gdy innych rzeczy mu brak! Żona, dla dobra swych dzieci, śluby drugiemu za zgodą przysięże i poradą męża, pocóż, pocóż odmawiać sobie! Generał carycy za order jej, lub obietnicę łask, za rublów kupę, duszę senatora w zamian otrzyma, lub cnotę córy, albo żony jego. Hetman za włości i dostojęstwa nowe sprzedaje honor rycerski swój, i krew swych braci, i uległość Polski, bo pocóż odmawiać sobie?

Przestaje Warszawa stolicą być, bo łaski i dostojęstwa, ruble i ordery z nad Newy płyną dla synów jej, wraz z rozkazami i groźbą kar. Więc do Peterburka zaprzańców gromada wyrusza; tam, w przedpokojach carycy rabów, biją pokłony, by zaszczyt udziału w ogonie jej dworu mieć, by z ócz Semiramidy, lub w jej uśmiechu, wyczytać, co jeszcze kupić u nich zamierza, czy też na sprzedaż nic już nie mają w rupieciach swych?

Oh! straszne czasy nadchodzą! Bolescią i sromotą, hańbą i przekleństwem pokoleń następnych brzemiennie!

Bez światła słońca, promyka gwiazdy, o nocy czarna, boleści bez skonu! Oh, nocy niewoli!

Lat cztery na sejmie już radzą i nic uradzić nie mogą. Gorączka szału i obłąd rozumu podnieca tylko obrad ze-

branie i klótnie. Gdy więc zaprzańcy u nóg bogini-carycy swemi czołami biją pokłony bez wstydu i żalu, ludzie ofiary i trudów: Ignacy, Stanisław Potoccy, Małachowski, Zamojski, sejmowi swą pracę przynoszą. We wnętrzach ojców ich ducha pracę poczętą — sejm przyjął duchem i sercem, i Konstytucyi trzeciego maja jej miano dał. I oto król z narodem wraz, a naród z królem, w procesyi świętej w świątyni progi wstępują; na starych ołtarzach Boga ich ojców, starym zwyczajem przysięgę dają.

Odtąd syny wszystkie starej Polski sobie braćmi są, prawa jedne, miłość jedna, jak Ojczyzna wszystkim jedna! Król przysięgał, sejm przysięgał, cały naród tak przysięgał ojców Bogu i sobie.

Gdy Francya w krwi morzu swych synów, konania konwulsyach, poczętą równość w terrorze święciła, Ameryka nad głowy ludów po walkach zaciętych sztandar wolności wyniosła, Polska jedyna, bez krwi rozlewu, w dumie szlachtetnej i ciszy, rozwinęła chorągiew miłości, poczętą w duchu i z ducha jej Boga. Zapóźno to jednak, zapóźno przyszło! Ten myśli odbłysek Bożej, przez Skargę wskazanej i przyrzeczenia Jana Kazimierza, odbłykiem też tylko pozostał. W słońce ożywcze rozgorzeć mógł, blaskiem i chwałą dwne przyćmić chwały polskiego narodu!

A został tylko odbłykiem i to chwilowym, bo już nie w stanie Jego łaski była, lecz w stanie kary i pokuty. Kary, jako swych win następstwo i konieczność; pokuty — miłosierdzia wyraz i przebaczenia nadziei w przyszłości.

Gdy więc Europa ujrzała pomnik ten na polskiej ziemi przez naród polski wzniesiony, stanęła w podziwieniu i zdumieniu. Pomnik ten rzucać począł promyki swe w ciemności ponure świętego przymierza. Europa więc drgnęła w przestraszu despotów. Z jednej strony Francya, krwią zbryzgana, w konwulsyach wolności się wije, Polska z drugiej, cicho i niespodzianie, szlachtetną rewolucyę

wraz z królem swym święci. Możnaż na to pozwolić? A cóż więc będzie z despotą każdym, gdy narody zechcą z Francyi lub Polski sobie przykład brać? Ni los Ludwika nie budzi zazdrości, ni rola Poniatowskiego im się nie uśmiecha!

Polska, zrównaniem stanów, bratnią miłością i ładem, dziesięciokrotnie silniejszą będzie, niedługo czekając. Gdy obłąd minie, upomnieć się może o ojcowiznę, niedawno zabraną. Więc trza tu działać i szybko i zrećźnie. A przedewszystkiem, w obłądzie ją trzymać, a do wytrzeźwienia nie dać jej czasu.

Caryca więc lodów i wszystkich rabów, do stolicy wzywa jurgieltników swych. Przybyli do niej Szczęsny Potocki, Branicki hetman i Rzewuski Seweryn. A wybiwszy pokłony, jako jej raby, wolni synowie Polski jeszcze wolnej, otrzymali łaski i obietnice nowych, gdy spełnią zrećźnie rozkazy jej. Ona, caryca, nie może znieść, by magnaci w Polsce i szlachta na równi z kmieciem być miała. Wielmoże i szlachta niech zwróć się do niej. Ona im wróci prawa niesłusznie zabrane, kmiecia do pługa pańszczyzny zaprzęże znów. Potrafi ona porządek przywrócić, niech tylko o to poproszą!

Na własną więc rękę wysłańcy carycy zwołują sejmi i burzą naród, judaszów srebrniki też mają skutek swój. Obietnic tysiące, manewrów tysiące w pychę i próżność dma, a węgrzyn zdradliwy zalewa mózg.

I znowu Ojczyznę wzburzone fale w odmętach swych mają zatapiać i bluzgać pianą i mułem. Jej okręt z boku jednego na drugi się chyli znów. Ręce sternikom ustają i mdleją już. I trwoga padła na serca mężne i nieustraszone, a niemoc schwyciła najtęższe ramiona. Do Boga więc wznoszą swe dłonie i głos błagalny łkaniem rozpaczy rwany. W ogroju ojczyźnianym, w pokutę odziani wołają z bólem bezradnej niemocy: »Oh! Panie! Czemu oblicze Twe odwracasz od nas i braci zbłąkanych? Promień niebieski

czemu ich oczy osłепłe przeniknąć nie może, aż do ich dusz?

Oh! Panie! Ojcowie nasi nieraz błędzili i z drogi zeszedli, którąś im wskazywał, a jednak zsyłałeś i gwiazdy Twe, i aniołów Twych, by ich wywiodły z otchłani ciemności, zraty i zguby. Oh! Panie! Dałeś nam matkę, Ojczyznę naszą i kochać kazałeś ją. A oto matka już konać poczyna, a my już ratunku nie widzimy dla niej! A dzieci jej osłепłe, w niewiadomości i błędzie, łono jej szarpia, z niej krew toczyć już chcą!

Oh! Panie! Wiemy, żeśmy dzieci światłości Twej a wrogów nasze, to plemię szatana lub i sług jego. Oni to mają braci naszych i kuszą, do zdrad namawiają przeciw Tobie i Ojczyźnie. Wszakże, Oh! Panie! w Twej to mocy z tych ciemności piekielnych wyrwać ich; w Twej to mocy rozjaśnić drogę, jako ojcom naszym, po której iść mają syny zbłąkane. W Twej to mocy oh! Panie! wrócić naszej Matce zdrowie i siły, i nie dać na pohańbienie wrogom jej!

Oh! Panie, Panie! myśmy wszyscy winni przeciw Tobie i Ojczyźnie, wszyscy! Lecz oto przez mękę i krew Syna Twego miłosierdzie miej, błagamy! Oddal ten kielich niewoli goryczy! A jeśli inaczej stać się ma, wytęp, o Panie, handlarzy krwi naszej i ziemi naszej, tych sług szatana, co kuszą, Tobie bluźnią! Wytęp ich, Panie, ci najwinniejsi! A na czołach zdrajców ogniem Twym wypal piętno sromoty i hańby, by następne pokolenia poznać ich mogły! A jeśli ich syny pokutą i pracą dla Ojczyzny nie zechcą zmasać swych ojców win, niech klątwa wieczna ciąży nad nimi, niech trwoga wieczna nie da im snu, aż wrócą na drogę, po której iść winni! A jeśli wróg nasz u szatana swą służbę porzuci i duszą ku Tobie się wzniesie, przebac mu Boże nasz! dla chwały Twej, a na zagładę szatana. Tak się modlili w Ogrojcu pokutnicy żalobni polskiego narodu. Tak się modlili ci, którzy za grzechy narodu całopalną ofiarę z siebie czynili. I odtąd, po



drodze tylko krzyża, dobrowolną męczeńskiej krwi ofiarą, w trudzie i pracy znoejnej, nastąpić może Polski odrodzenie!

### JUDASZE POLSKĘ SPRZEDAJA.

Targowica! Straszne to słowo dla Polaka! Targowica! To wyraz piętna cynizmu, którem szatan swe dzieło w następne wieki znaczył! To klejmo przekleństwa, które na sobie pokolenia dźwigać muszą!

Czy jest słowo, mieszczące w sobie taki bezmiar pojęć, uczuć wszelakich, czynów i następstw ich bezkreśnych?... tyle bezwstydu, przeniwierstwa, hańby i poniżenia; bezbrzeżnej rozpacz, łez i krwi morza pokoleń całych w stuletnich daremnych wysiłkach nocy niewoli? Czy jest drugie słowo w boskiej mowie polskiej, mające tyle potęgi, by takie i tyle obrazów z przeszłości mogilnej wywołać przed oczy duszy polskiej i z nędzą terażniejszości dni naszych skojarzyć i splątać?... — Nie siłą też wyobraźni, lecz siłą tysiącznych czuć serca naszego, rozumu siłą chłodnego i pamięci tradycyi, a prawie świeżej jeszcze, te widma przeszłości z grobów powstają, w ciało żyjące, krwią i czynem tętniące się przeoblekają. I ranią nas wtedy, ranią niemiłosiernie, czy to swoim bezwstydem, przewrotnością i głupotą; czy swoją czystością serc i świętością dusz ofiary całopalnej na płonącym stosie z gruzów, łez, krwi i poniżenia, hekatomby jednej! Wszystko, coby się powiedziało, niedostatecznym będzie, słabem odbiciem tego, co słowo to straszne mieści w sobie. Targowica! To dosyć już!

Oto, z otchłani przeszłości, z piekielnych bezdni trzech satrapów wychodzi. Trzymają się pod rękę, trójcę tworząc pacholków, trójcy sług piekiel pana! Szczęsny Potocki, Branicki hetman, Rzewuski Seweryn, spółka wielmożów! Za miskę soczewicy Matki judaszami, Ojczyzny! Krwi braci i dusz swych handlarze! Z poplecznikami i wojskiem swym ciągną do Targowicy. Trzeciego Maja Konstytucyę na prze-

targi puścić mają, a wraz i Ojczyznę z nią! Tam, za straganów stołem Prozerpiny-carycy manifest czytają. Ona opiekunką praw polskiego narodu, przywilejów rozdawczynią, ona, dostojęństw i nagród! Wojska swe, jako łaskę widomą, przyjaciołom swym wysyła, a sługom swym! I przeciw komuż?

Oto król z wojskiem ciągnie przeciw wichrzycielom, w obronie pogwałconych praw narodu wolnego. I dwa obozy bratnie, a wrogie sobie, stanęły przeciw sobie do Kaimowej roboty gotowe. Oto carycy nadeszły rotę, złupiwszy po drodze, co było można. Więc znów wojska obce tratują kraj!

Co było synów Ojczyzny lepszych, chwyta za broń, gotowe umrzeć za Matkę! Lecz król polski, ten »najlepszy z królów« rozumie inaczej sprawę, inaczej chce prowadzić ją!... Honory oddaje rabom orężnym carycy. Rozbraja wojsko następnie swe i każe mu się rozejść... Sam zaś, przysięgę depcąc, w obliczu Boga, narodu i świata daną, do targowickiej konfederacyi przystępuje zgodnie. Czy miał on Boga w sercu, polskiego Boga?...

I Polska jękała głosem wielkim i zimne miecze poczuła w łonie. Kościuszkę, ducha świetlanego a rycerza bez skazy, nie chce na wzór wichrzycieli przeciw władzy czynić. Oznaki swe zruca wojskowe i Ameryce daje swą krew za wolność jej ludów. Andrzej Zamojski, prawy syn swych ojców, pieczęć kanclerza pod nogi króla więc ciska! I wielu innych z goryczą w sercu i rozpaczą w duszy Ojczyznę opuszcza. Na dalekie obczyzny idą, gdy Matce rodzonej służyć niepodobna! Naród zapłakał krwawymi łzami, bezbronny! Ni wojska, ni wodzów! Ni broni, ni skarbu! A wojska carycy zalewają kraj! A zdrajca, Szczęsny Potocki i fałas jego, Złotnicki zbrodzień, krwią i pożogą na carycy wiarę nawracają Podole i Ukrainę. Caryca w zamian polskimi ziemiami wielmożów zdrajców nagradza. I rabom swym wiernym, diejatielom usierdnym, złupione mienia rozdaje, za pracę ich!... Ale oblicza zdrajców splu-

gawione na wieki, ale srebrniki kłatwą krwi bratniej przesiąkłe, dławią ich rody z pokolenia w pokolenie, aż do dziś...

Krzyżak z wiedeńską kokoszą swe wojska wysyła w granice Polski, bo anarchia polska niebezpieczna dla nich, muszą porządek zaprowadzić... Tratuja więc polskie ziemie i łupiąc wszystko, garną je ku sobie. Lecz przy podziale Polski, jak niegdyś przy podziale sukni Chrystusa, spór lotry wiodą.

### POLSKĘ DEKRETUJĄ.

Nie szumią proporce na polach rodzimych gwarą wojenną nad rycerzy głowami i orzeł nie wznosi do lotu skrzydła swe białe z okrzykiem: zwyciężyć lub zginąć! Bojowa pieśń »Boga Rodzico« nie bije w niebo gromu łoskotem, a chorągwie z chrzęstem i błyskiem piorunu nie lecą w zwycięski bój! Krew się nie leje z gorących piersi za wolność Ojczyzny, niepodległość narodu! Wróg nie ustępuje w haniebnej trwodze, ścieląc wawrzyny pod stopy polskie! Nie! niemasz już Piastów, ni Jagiellonów, ni Batorych, Sobieskich nawet! Niemasz Tarnowskich, Chodkiewiczów, Zamojskich, ni Żółkiewskich, Czarnieckich, ni prawych synów ich! Bo nie masz ich Boga, nie masz więc i ducha ich! Targowica jest i skutki jej! Szatan Polsce panuje! Ciesz się narodzie! Ciesz się i sław panowanie jego! Zrzuciłeś więzy Ducha, który cię wolnym uczynił, a na twe czoło dumne królewski wieniec położył! Rzuciłeś razem i ten wieniec złoty w kałużę błota chuci cielesnych, a ręce w żelazne okowy dałeś sobie skuć! Dumną twą głowę uchylić musiałeś pod raba razami, a w szate hańby i sromu odziany, koronę z cierni z rąk raba przyjmując musiałeś! Koronę z cierni niewoli podłej! A z pod każdego ostrza tych cierni, po wyniosłem czole zbiegały strumienie krwi twojej gorącej! A z boku otwartego ni jęk

boleści, ni łaski prośba, lecz słowo: »przejrzyj! człowiekiem bądź, rabie!« bryznęło w ponure oczy oprawcy!

Sejm w Grodnie i król Stanisław na sejmie. Siwers go zwołał, poseł carycy i jej generał zuchwały Runterfeld sejm obrady prowadzi de facto. Z targowicy zebrał ile mógł handlarzy. Nieprzedajnych sumień senatorów i posłów, a serc gorących, w mroki carycy wywieść rozkazał. Tam, pokutę mają czynić za wierność Ojczyźnie swej, za sumienia czyste. Na innych siepaczy tajemnie nasyłał, mienie ich grabił na rzecz carycy skarbu. A gdy salę sejmową swem wojskiem obsadził i paszcze armat ku oknom zwrócił, z zuchwalstwem i butą do onej wszedł. Akt rozbiuru Polski wszem głośno i wobec odczytał, nakazując podpisać stanom i królowi, bo tak chce caryca wszystkich piekieł! Jedni z boleści oniemieli bezbrzeżnej, drugim sumienie sprzedane milczeć kazało... A tak, milczenie grobowe całego zebrania odpowiedzią było... »Zginiecie tu wszyscy, jeśli akt nie będzie podpisany!« krzyknie wściekłością palający generał i ukazał armaty ku nim zwrócone. »Taka wola carycy!« dodał. Król i posłowie na miejscach siedzą bez ruchu, jako posągi z kamienia kowane. I zbrojne stráže u każdych drzwi stanęły i wszelki ruch ustał... »Bodajby z głodu umrzeć mieli, akt podpisany być musi! Bez tego nie wyjdą!« krzyknie znów generał carycy.

I oto, posłowie wolnego narodu, z królem na czele, mżą z głodu dobę już trzecią, bez ruchu siedząc pod groźbą rabów. Doba już trzecia dobiegała końca i wielu omdlewać już poczęło. Naraz, Ankwicz, poseł od Litwy, jak niegdyś Piłat do oprawców: »milczenie za przyzwolenie uważać należy,« rzekł z cicha do Siwersa: »Nie chcę jednak być winnym ni skarg, ni polskiej łzy!« A na to Siwers, carycy poseł i jej generał Runterfeld: »Niech skargi Polski, jej łzy i krew na nas spadną i nasze dzieci!« ze śmiechem krzyknęli.

I dekret rozbiuru, z ociąganiem wprawdzie, większość podpisała, a król omdlał ręką swe imię nakreślił. W tej

chwili Rejtan, drugi poseł Litwy: »Bezprawie i gwałt!« zakrzyknął i padł swem ciałem z rumorem wielkim u progu wyjścia. »Po trupie moim wyjdziecie stąd! Matkę-Ojczyznę sprzedaliście wy!« wołał z rozpaczą.

I po raz już drugi nie runął z mieczem polski król, śmierci choćby szukając, by wstyd i hańbę w krwi swej królewskiej zmyć, by naród przykładem z obłędu otrzeźwiał, ducha poczuł w sobie i spójnię w jedności! Nie! W biernym oporze, w sromocie i poniżeniu, trzy doby z senatory trwał. Na tyle tylko bohaterstwa sił starczyło mu, na tyle!...

I znowu szatan z uśmiechem szyderstwa dekret ukazał Niebieskiemu Panu. A było to w roku 1793, a 12-m już panowania w Polsce władzcy piekiel.

#### 1795 ROK.

Z Ducha Istoty Najwyższej iskrę ludzkości wzięła. Z Istoty tej łona cząstkę wchłonęła w siebie. Miłował Chrystus tę cząstkę, bo z Jego całości była. Więc i ludzkość zbrodniczą ukochać musiał i grzechy jej wszystkie na siebie przyjął, bez winy sam. Na swych ramionach poniósł krzyż. Z woli swej, z umiłowania ludzkości do krzyża przybitym być chciał.

A Polska za winy tylko swe przyjęła ciężar krzyża i ponieść musiała go, jako konieczność za grzechy swe, by karę wypełnić, pokutę następnie w dobrowolnych ofiarach ducha i krwi. Kościuszki powstanie więc i Kilińskiego szewca nie mogły rozproszyć ciemności, w które naród spowitym był. Ni Raclawic zwycięstwo, ni Maciejowic jęk, ni Pragi rozpacz i Warszawy krwawa, czarnej opony niebios kar nie były w stanie rozedrzeć. Próżne szamotanie, próżna rozpacz i miłosierdzia wołanie do Niebios. Kara, kara dopełnić się miała! A że grzechy wielkie były i ciężkie, krzyż więc wielki a ciężki musiał być. A że winy były dziejowe, kara więc z pokutą wraz — wiekową.

Niegdyś sława wszechświatową była, wszechświatowego rozgłosu i kara winna być. Bez władności sił narodu musiała się stać. Wszystkie wysiłki ujęcia kary udaremnione i mają odtąd cierpienia zwiększać i nędzę narodu. Tłuszcza dzikich oprawców spełnia bezmyślnie tylko wolę Istoty Najwyższej: Za frymarkę ziemi ojczystej — rozdarcie polskiej ziemicy w bolesnym jęku na troje, aż krew z jej łona rzekami ściekała; za butę i pychę, grzeszną a niemądrą — sromota wszelka i poniewierka ducha; za szal wolności bezrozumnej, za upośledzenie młodszych braci — niewoli łańcuchy żelazne, dziczy panowanie mongolskiej nad duchem i ciałem. A za poniewierkę polskiego Boga — krwawe pokłony bogom nowych panów, fałszu bogom, obłudy i wszelkich mroków!

W roku 1795 król polski sił nie miał dość, by, jako Warneńczyk niegdyś, wylać na progu swych ojców zamku ostatnią kroplę swej krwi. Bo nie miał już ducha ojców swych, ni ich Boga w sercu. Dał się więc wywieść rabom carycy do Grodna najpierw, Peterburka wreszcie i życie w poniewierce dokonał tam! Istnieć politycznie przestała Polska, żywcem do grobu włożono ją. I wielki kamień wśród świata wielkiego, Bogu na wzgardę i światu całemu, włożono na grób!

By się ruszyć nie mogła pod kamieniem tym, by światu o sobie dać znać nie chciała, nogę postawił na grobowcu tym każdy z trzech sług szatana.

I po polach cmentarnych lat sto się rozlega szyderstwa i tryumfu szatana śmiech. Jako łoskot, głuszący modlitwy szept, i jęk boleści, i wszelkiej rozpaczy odruch beznadziejnej, zamienia życie w piekielną noc. A noc to ponura i krwawa, niewoli to noc!

Skończona kara, pokuta się zaczyna. Dobrowolne ofiary więc z mienia i życia, czyny bohaterstwa światu nie znane, cierpienia, trudy i praca w uznojeniu ciała i ducha, w łez i krwi kąpieli dla miłej Ojczyzny. I tak bez końca, bez końca... Od kopalni podziemnych Kamczatki

ponurej do piasków gorących Egiptu; od śniegów Moskwy spalonej do Samosiery skał i Alp szczytów, krew polska i kości polskie drogę pokuty znaczą ofiarnej. Ni świetnych zwycięstw wawrzyny, na które świat patrzył zdumionemi oczyma w podziwie, ni skrzyppy szubienic i dźwięki kajdan, ni szepty mogli słyszane w niebie — wolności Ojczyźnie kupić nie mogli. Daremne szamotanie zbiorowej duszy narodu, daremne myśli szaleństwa i krzyki bluźniercze rozpaczy i bólu, daremne! Bo jako ofiarne zadośćczynienie liczonem to wszystko jest, aż szeląg ostatni ofiary ostatniej spłacany będzie, aż łza ostatnia dopełni brzegów kielicha! Na zegarze wszechświatów godzina wtedy cudów wydzwoni, nieprzewidziana w rachubach statystów, polityków i ludzkich mędrców. Z uderzeniem ostatniem dzwonu tego, zagrzmi na cały świat Najwyższego głos: »Wynijdź Polsko, i wstań!« I wstanie Polska, i wynijdzie z grobu ku zdumieniu ludów i wrogów. Tak Bóg wszechmoc objawi swą i łaskę, i miłość.

W zapomnień falę koronę z ciernia zrzuci Polska wolna, wieniec złocisty skroń jej ozdobi majestatu blaskiem. I miecz sprawiedliwości w prawicy jej błysnie, a płaszcz królewski ramiona okryje. Polska, duchem królewska zawsze, dumnie królewskie podniesie czoło, myśli Bożej jaśniejące gwiazdą. Miłości serce bratniej ku ludom świata zwróci ona. I zbiegną się ludy ku tej, która najwielmożniej cierpiała, i płaszczem królewskiego jej ducha okryć się zechcą. Europa zdumiona panią w podziwie uzna ją swoją!

...

Skonieczna kara, pokuta się zaczyna. Dobrowolna  
 ofiary wieść i miłość życia, czynny bohaterstwa światła  
 nie ma. cierpienia, trudy i praca w uszafieniu ciała i du-  
 cha, w Jezus Chrystusie. Ojczyźnie. I tak bez  
 końca, bez końca. Od kopalni podziemia pod



## KSIEGA IV.

### ALLELUJA! POLSKI ZMARTWYCH- WSTANIE!

Poszczególne obecnie grupy ludzkości, narodowe i plemienne, to wytwór wiekowych ewolucji i zespożeń sobie pokrewnych szczepów i rodów, rządzonych niegdyś patryarchalnie w zamierzchłych wiekach i życiem sobie właściwym rozwijających się. Ręka niewidzialna losów ludzkich wiązała drobne te tony warunkami praw swej logiki w coraz pełniejsze, aż stworzyła z nich pełne akordy dla swej myśli wiekuistej. Wszystkie warunki, wszystkie czynniki, posłuszne Jej są, bo sama je stworzyć chciała. Stosownie więc do swych celów, jedno wywołuje ku działaniu, drugim nakazuje przycichnąć lub i zupełnie zagać po spełnieniu ich prac przeznaczenia. Stąd to i rasy i narody poszczególne, stosownie do cech ich natury ducha narodowego, pełnią swą pracę obowiązkową, swą misję, to w charakterze czynnym, to biernym, niby podścielisko i mierzwa pod zasiew. Pełnienie zaś tej pracy w stosunku czasu bywa rozmaite. To jako zjawisko chwilowe, w stosunku do przetrzeni wieków. A więc, niby burza dobroczynna oczyszcza duszącą atmosferę, w której duch już żyć nie może i zamiera powoli wyziewami truty; jako huragan, zmiatający po drodze wszystko, niweluje powierzchnię, by pracę podjęto na nowo, z większą dokładnością i staraniem. To znów, przez długie wieki ta praca się ciągnie i trwa, aż do jej ukończenia. Ciężką ona bywa nieraz, mozolną i prze-

rywaną wypadkami, mającymi jednak niewidzialny związek z tą właśnie pracą ogólną i ogólnym rozwojem życia ludzkości. Jedne pokolenia po drugich kładą się na wieczny odpoczynek, umęczone trudem i cierpieniem, a bez widocznych na pozór rezultatów pracy swej. Rezultaty jednak są w tem, lub innym znaczeniu, lecz jako fundamenta wznoszonej budowli, bywają niewidzialne dla ócz patrzących na powierzchnię tylko. Pokolenia strudzone schodzą, nowe zmieniają stare i praca wciąż postępuje. Chociażby na jakiś czasu okres wstrzymaną została, chociażby przetrwać musiała chybotanie chwilowych kierunków i okoliczności, to w swej logicznej ciągłości wiekowej posuwać się zawsze będzie naprzód i zawsze stosownie do natury indywidualnego ducha narodowego nosić będzie swe znamiona. A każda praca wszelkiego rodzaju, chwilowa, lub ciągła przez wieki: destrukcyjna, lub dodatnia, budująca i tworząca; biernego nawet istnienia jakiego narodu, czy to wskutek jego znużenia po długich wysiłkach, lub też właściwości jego natury; jest potrzebną w pochodzie ogólnym rozwoju ludzkości i jest zużytkowaną przez niewidzialną, a kierowniczą rękę, Najwyższą Monadę, jak ją nazywać chcą filozofowie, by się odróżnić od prostaczków. Zaś inni przewalili Ją ręką Najwyższego Architekta, jak gdyby architektowi jaki wlać życie mógł i ducha twórczego w swe dzieło, lub atom jeden wyprrowadzić z nicości, a z któregooby wykwitnąć mógł choć jeden płatek fiołka.

Każda praca pojedynczego człowieka stanowi składową część pracy społecznej, tak i praca społeczeństw, narodów i ras jest składową całość wielkiej ludzkości. A pracę tę zawsze należy rozumieć w dodatnim znaczeniu, chociażby z jakich bądź powodów i czasów wydawała się być ujemną i szkodliwą.

Po ukończeniu pracowitej roli Egiptu, następnie Grecyi i starej Romy, przysła kolej na rasę germańską stanąć wspólnie z konarami łacińskimi, wzajemnie się dopełniać i wyręczać w trudzie wznoszenia się ku ideałom wszechludzkim. Cechy wybitne rasy germańskiej to: przedsiębiorczość z odwagą i wytrwałością zespolona, a chytrością i obłudą jako nimbem okryta; chciwość zaborów i łupów przy skłonności do porządku i ładu systematycznego; praca zapobiegliwa i posłuszeństwo zbiorowe swemu wodzowi. Dzięki tym właśnie zaletom i wadom, germanizm oddał niemałe usługi cywilizacyjnemu pochodowi. Najważniejszą zaś narodom Europy przyniósł właśnie swą przedsiębiorczością wraz z chciwością łupów. Stał się bowiem tym sposobem jednym z najważniejszych czynników ewolucyi organizacyjnej państw i narodów w średnich wiekach. Najpierw począł się organizować sam w celu zaborów i skupił władzę w jednym ręku, w przeciwieństwie do narodów słowiańskich. Które to narody stopniowo podbijał i na ich ziemiach się sadowił, zdążając na zachód; a następnie ku wschodowi i południu się zawrócił. A wskutek skłonności do porządku i ładu, stworzył centralną administracyę nad ludami podbitymi i ziemiami ich. Dał więc tym sposobem, po upadku rzymskiego imperyalizmu, początek idei państwowej, despotyzmu imperyalistycznego, którą to ideę i ustrój siłą rzeczy narzucił wszystkim narodom Europy. Dość wspomnieć o tych wszystkich Gottach, Frankach i tak dalej. Rozmaite odrośle szczepu germańskiego wędrowały w bardzo nawet dalekie ziemie w celach podboju. A podbiwszy spokojne narody, w kwiatyżmie tonące i używaniu, nowe urządził germanizm państwa, daleko poza swem pierwotnem siedliskiem, nawet za morzami.

Wprowadzając ustrój państwowy i ład wśród luźnych i chaotycznego stosunku grup rozmaitych ludów, zespalając je w pewną całość i przynależność państwową, uporządkował całą Europę w monarchie praworządne. Zlewając się zaś z tubylcami i przyłączając do swych państw ro-

zmaite inne, obcych ras i narodów cząstki, nie bacząc na ich pochodzenie lub łączność z niedalekim sąsiadem, stworzył nowe narody na gruzach starych.

Lecz germanizm, dając możność kształtowania się i dalszego rozwoju pracy organizacyjnej, a przeto i cywilizacyjnej, zacierał jednak starannie odrębności ducha podwładnych mu narodów. Bezwzględnie niszczył wszelkie poczucie świadome cech wspólności rasowych u wielu narodów. Niwelował je i wynaradawiał. Jedyne pojęcie, jedyne poczucie dozwolone i nakazane, to przynależności państwowej było i jest dotąd. Takim sposobem, przez germanizm odrodzona idea imperyalistyczna wraz z despotyzmem, upowszechniła się w Europie całej i zapanowała wszechwładnie, dzięki podbojom lub też rozsadowieniu się na tronach latorośli germańskich.

Dopiero pod koniec XVIII wieku poczęły się ukazywać małe wyłomy w tym systemie politycznym. Nie zawsze jednak te zmiany były trwałe i skuteczne. Polska, nie znająca despotyzmu i daleka od idei imperyalistycznej, dała Konstytucję trzeciego maja bez krwi rozlewu, idąc za impulsem swego ducha narodowego. Wkrótce jednak, wmieszanie się sąsiadów do spraw Polski i jej rozbiór następnie spowodowały upadek wielkiej idei. Francya, wśród strasznych konwulsji swej rewolucyi, utworzyła chwilową republikę, po której wrócił imperyalizm w rozmaitych postaciach swych. W każdym razie, chociaż to był tylko chwilowy przejaw ducha tych czasów, które mają dopiero później przyjść, idea jednak, rzucona dawniej, pozostała jako zarzewie w masach narodów Europy. W XIX wieku kiełkowała ona wciąż i rozmaicie się przejawiała na zewnątrz. A w obecnych czasach coraz wielmożniej się rozwija i nabiera sił potrzebnych do walki nieubłaganej z ideą imperyalizmu germańskiego. Nie tyle idea wyzwolenia się ludów z pod despotyzmu panującego dziś, on bowiem bardzo już stracił na swej ostrości i sile gniotącej, dzięki konstytucyom, ile idea niepodzielności narodu i powrotu praw

jego przyrodzonych do samoistnego bytu, niezależności politycznej, nurtuje do głębi sztucznie wytworzone dzisiejsze państwa.

Gdy zatem, Europa cała przyjęła system i urządzenie przez germańską rasę narzucony sobie, Polska nie mogła nagiąć swego ducha narodowego do przyjęcia imperyalizmu z towarzyszącym mu nieodstępnie despotyzmem. Przeciwnie, pilnie się go wystrzegła. Zachowując wciąż swój ideał narodowego ustroju, ideał to jednak w swej istocie wszechludzki, osobistej i narodowej wolności, a wpływający z cech ducha polskiego i krwi polsko-słowiańskiej, przyjęła tylko powierzchownie i tylko niektóre ze zwyczajów charakteru germańskiego. I tem tylko da się wytłómaczyć forma ustroju państwowego i społecznego Rzeczypospolitej polskiej, dla wielu, szczególnie dla cudzoziemców, niezrozumiała i dziwnie odbijająca przy zestawieniu z przykładami sąsiednich państw. A że taki urządzenie w stosunku do innych mocarstw czynił Rzeczpospolitą o wiele słabszą, a więc na czasie nie był on już, siły zaś ducha narodowego, jedyna moc i dźwignia przy takim urządzeniu poczęły zanikać, więc razem to wzięte stało się następnie jedynym i najważniejszym czynnikiem upadku politycznego Polski.

Wychodząc z tego punktu widzenia, zrozumieć się łatwo nam daje to jedyne zjawisko w dziejach nowożytnych, jakim jest upadek Polski. Zjawisko to tak odosobnione, że przykładu drugiego nie znaleźć. Zrozumiemy również, dlaczego Francya i inne narody mogły okupić się temi lub owemi ofiarami, za swój rozstrój moralny i wybryki anarchii, nie tracąc jednak swej egzystencji politycznej. Bo w Polsce równoważnikiem ustroju zaborczo germańskiego imperyalizmu, była tylko siła ducha, siła narodowej i społecznej moralności. Ta zaś wpływała z głębokiej wiary w Boga Jedyne.

Stąd to, w dawniejszych epokach życia naszego narodowego daje się wyraźnie zauważyć stosunek pomiędzy

pogłębieniem uczuć wiary, przenikającej serca narodu polskiego w jego sprawach społecznych i życiowych, a jego dzielnością i wznoszeniem się politycznym, jego powstawaniem cudownem z upadków w chwilach przełomu, w chwilach bardzo nieraz krytycznych i groźnych. Bo naród zawsze w takich chwilach odwoływał się do mocy swych sił duchowych, pod działaniem których odnajdywały się niepożyte siły fizyczne. A gdy to źródło, to jest wiara ojców, zanikało i w końcu prawie zupełnie zanikło, musiała Polska w tym stosunku się chylić, aż stało się, co się stało. Imperyalizm, siła fizyczna sąsiadów, wziął górę nad ideą ducha, który, nie znajdując już pokarmu dla siebie w wierze i jej etyce, tracił swe siły w narodzie coraz bardziej.

Lecz oto widocznymi już się stają zapowiedzi, że okres idei germańskiej mija, że się już zużył, spełniwszy pracę i rolę, jaką mu Opatrzność przeznaczyła. Nowy okres powstaje. Idea polska powraca na świat, idea wszechludzka wolności i niepodległości narodów wraz z ideą miłości bratniej pokrewnych sobie ludów. Powraca idea chowana i pielęgnowana w łonie ducha polskiego, dla której naród nasz upadł i dzięki której znów wstanie. Imperyalizm z ideą polską, wszechludzką, musi stanowczo się zetrzeć. A że imperyalizm wierzy tylko w siłę fizyczną, ducha pozbawiony, musi upaść w walce z potężnym duchem, przenikającym już ludzkość głęboko. Walka będzie ciężka, skomplikowana i nieubłagana, przyszłość jednak do ducha należy już.

Przypatrzmy się więc nieco, choćby pobieżnie tylko, warunkom i sytuacyom politycznym, które nie bez charakterystyki zarysowują się już dość wyraźnie na widnokręgu, w przewidywaniu niezbyt oddalonego starcia olbrzymów siły fizycznej z potęgą ducha ludzkości.

Germanizm, podbiwszy narody, jakie tylko mógł zagarnąć pod swe wyłączne panowanie i rozsadzwszy ze swego szczepu monarchów na tronach większej części ludów Europy, zwrócił swą drogę bardziej ku wschodowi. Na drodze tej Polska niegdyś wstrzymała jego zwycięzki pochód. Ściana z polskich piersi była za mocną i chwilowe w niej wyłomy prędko naprawiano. W ciągu też tysiąca lat nie mógł germanizm zmiażdżyć jej przy największych wysiłkach zbrojnych i dyplomatycznych. A dziwne daje się tu zauważyć zjawisko. Oto bowiem, w miarę chylenia się Polski, chyliła się również i potęga Austrii, jako przedstawicielki ówczesnego germanizmu; malał i jej autorytet jako cesarstwa wszechchrześcijańskiego. W tym zaś stosunku wzmacniały się Prusy i rosły. Gdy zaś po upadku Polski, Prusy zagarniętymi jej ziemiami wzbogaciły się i potężniały z dnia na dzień, Austriya nie wiele zyskała na swej potędze i powadze, biorąc łup na Polsce. Przeciwnie, jej potęga coraz bardziej upadać poczęła. Prusy zaś ze zdwojoną energią pracować poczęły na wszystkie strony, nie przebierając w środkach. Duch germański do nich już prznosił swe siedlisko. Po klęskach napoleońskich i zamieszeniach świata europejskiego, przyszło oderwanie przemocą pruską Szlezwię i Holsztynu od Danii, następnie bitwa pod Sadową. A jedno i drugie fatalnem było dla Austrii. Następstwem zaś tego, to oderwania krajów niemieckich od Austrii i utworzenie federacyi niemieckiej pod hegemonią Prus i wojna francusko-pruska 1871 roku. Po której to wojnie znalazła się Austriya w obliczu nowego cesarstwa niemiec. Korona Habsburgów usiadła na głowie Hohenzollerna. Odtąd Prusy, jako cesarstwo niemieckie, stały się potęgą militarną, groźną dla całej Europy; odtąd one wywierają wpływ przeważny na układ polityczny świata, a świat z ich to powodu nie ma spokoju. W wiecznej obawie, wiecznie stoi pod bronią i zawsze gotowym być musi do odparcia Germana. Stary Habsburg przyjmuje dziś mile wizyty Hohenzollerna i wle-

cze swą polityczną egzystencję u jego ogona w roli honorowej sprzymierzeńca.

Rozwinąwszy swą potęgę militarną do niebywałych rozmiarów i niewidzianych w żadnym innym mocarstwie, Prusy rozwinęły też i apetyty zaborcze wraz z arogancją dorobkiewicza i butą Krzyżaka. Jak długo były groźnemi na kontynencie tylko, Anglia, z zawiści ku Francyi i w widokach swych politycznych, przyjaznie i pobłażliwie uśmiechała się do Prus. Gdy zaś zbudowały flotę i poza kontynentem poczęły szukać zdobyczy, wyczekując wciąż stosownej chwili do działań na kontynencie europejskim, Anglia zaniepokoiła się nie na żarty i poczęła zwiększać swą siłę bojową na morzu.

Obecnie Prusy mają silną flotę wojenną, kolonije w Afryce i Azji, mają wpływy wszechświatowe i handel wszechświatowy. Paraliżują też skutecznie zabiegi angielskie we wszystkich krajach i częściach świata.

Anglia zdumiała się ujrawszy pupila wyrosłego nagle na współzawodnika jej i rywala, i to zręcznego, przebiegłego i silnego. Zatrwożyła się tak, iż gotuje się wszelkimi sposobami do obrony swych interesów zagrożonych, a może i swej całości państwowej. Lecz przygotowania te, nawet dla Anglii za ciężkie, zaproponowała więc układ wzajemnego rozbrojenia się. German jednak przez usta swego kanclerza sucho i stanowczo tę propozycję odrzucił.

A jednak, German nie ma zamiaru bezpośrednio napadać na Anglię. W inną stronę ma on swe oczy zwrócone, w stronę dawniej już upatrzoną i wypatrzoną do brze, w stronę wschodu, w stronę Rosyi dzisiejszej. Będzie mamił, będzie kluczył i manewrował rozmaitymi sposobami, lecz zamiaru nie poniecha. Od lat stu się gotuje i zbiera siły. Czynił umizgi do Francyi, próbował zerwać jej sojusz z Rosyą, zaloty swe również ku Anglii kierował, groził jej nawet. A to wszystko w tym jednym celu. Szukał zabezpieczenia sobie tyłów w razie wojny z Rosyą.



Gdy zaś Edward VII odpowiedział na to sojuszem z Francją i zbliżeniem się ku Rosyi, wtedy Wilhelm II począł się starać przyciągnąć tę ostatnią ku sobie, a przynajmniej uczynić ją życzliwie neutralną, aż póki nieupora się z Francją a może i Anglią. Cała polityka Germana dąży ku temu. I tem tylko da się wyrozumieć ciągła, prawie codzienna i nieprzewidziana zmienność jego obrotów, jego ruchów dyplomatycznych, jego niespodzianych posunięć na szachownicy wszechświatowej.

Armia Wilhelma najsilniejsza w świecie współczesnym, stan finansowy i handlowy ruch ogromnie się wzmógł. Ale dla tego właśnie trza mu zużytkować te siły dla zdobycia rynków zbytu nowych i zdobycia ziem nowych. Za ciasno mu już w jego obecnych granicach. W dodatku, stan społeczny Germana jest tego rodzaju obecnie, że jeśli nie skieruje umysłów ku wojnie zewnętrznej, może mieć bardzo poważne zaburzenia u siebie wewnątrz, których następstwa nie dałyby się przewidzieć.

Od lat szeregu gotuje się Wilhelm II do wojny z Francją lub Rosją, albo też i sojuznikiem swym, Austrią, w szczególności po śmierci starego Habsburga, może to nastąpić, jeśli nie ukażą się jakie nieprzewidziane przeszkody. Cel zaś prawdziwy, a wiecznie maskowany, ku któremu zmierza wszelkimi i rozmaitemi drogami, to zabór ziem słowiańskich na Rosyi, aż ku morzu Czarnemu, aż ku Woldze, gdzie placówki swe gęsto już rozstawił.

I dziwnie przyjaznie okoliczności składały mu się do-  
tąd, a które ręcznie potrafił zawsze wykorzystać. Edward VII nie w jednym miejscu go zaszachował, opasał go nawet cicho i gładko obręczą żelazną sojuszów, uczynił Germana odosobnionym w koncercie mocarstw. Śmierć jednak Edwarda uwolniła go od niemiłej sytuacji, znów Wilhelm poczuł się wolnym w swych obrotach i łamie już tę obręcz żelazną, czy jednak ją zupełnie złamie...?

Jaką ma jednak obrać drogę? — Zawsze dwoistą i dwulicową stosownie do swych tradycji i usposobień

swej natury krzyżackiej. Albo w przymierzu z Austrią uderzyć na ścianę rosyjską, uprzednio dobrze ją podmi-nowawszy, a która mu dziś zamiast dawnej polskiej, stoi na drodze; albo, zaplątawszy Rosyę w jaką awanturę, uczynić ją bezsilną i neutralną w akcji jego względem Austrii, czy też względem Francyi i Anglii. W sprawie włączenia Bośni i Hercegowiny do Austrii mieliśmy do-wód jasny dwulicowego stanowiska Prus. Pchał bowiem German Rosyę do wypowiedzenia wojny Austrii, gdy je-dnak Rosya okazała się zanadto słabą militarnie, opowie-dział się po stronie swej sojusznicy, zyskując tanim ko-sztem jej wdzięczność. A przy tem, groźna postawa Anglii powstrzymała wybuch wojny europejskiej.

Rosya oddawna wchodzi w sferę gry planowej Ger-mana. Gotuje się on wciąż militarnie, dyplomatycznie i po-litycznie, a zawsze celowo, roztropnie przewidując wszel-kie komplikacje i możliwości incydentów międzynaro-dowych, tem niemniej stanowczo i energicznie. Umie on je-dnak cierpliwym być, pokornym nawet do czasu, aż przy-gotuje systematycznie, z rachubą pewną, wszystkie wa-runki powodzenia swej akcji. I wtedy dopiero poprowa-dzi ją bezwzględnie w chwili przygotowanej zawczasu. Czy zaś dopnie swego zamierzenia ostatecznie, czy bę-dzie mu dane to osiągnięcie celów jego...? To inna sprawa!...

Dawniej wyzyskiwał krewieństwo i głupotę Rosyi jak tylko się dało, wciągał ją zrećźnie do swych planów. A ta dawała się wyzyskiwać i wciągać bezwiednie i bez-krytycznie. Ale czynił to dawniej pokornie zawsze i ogłędnie. Od wojny zaś francusko-pruskiej coraz bezwzględniej i co-raz butniej z nią sobie radzi. W obecnych czasach, dziś, Rosya bardziej jeszcze, niż Austria, ulega rozkazom z Ber-lina i skwapliwie je spełnia. I nie tylko wskutek osłabie-nia po wojnie japońskiej, a która dziełem knechtów Ger-mana była, dzieje się to. W Rosyi rządy od dawna już w rękę tychże knechtów spoczywają, a dziś bardziej niż

kiedy. Wszyscy najwyżsi dostojnicy rosyjscy w swej większości, jeśli nie są rzetelnie Niemcami, to nosząc nawet rosyjskie nazwiska i prawosławie na swych wargach, krewieństwa związkami i duszą z rządzącą warstwą niemiecką wszystkimi węzłami najściślej związani są. Rządzą Rosyą i losami jej ludów bezapelacyjnie, wszystko od niej biorą i z niej, lecz nie przestają knechtami Germana być. Jego tylko wolę znają i jego politykę prowadzą. Koloński niemieccy zalewają kraje przyległe granicy i wszystkie fortece, nawet najmniejsze, wokół obsiedli; wszystkie miejsca wypełniają w hierarchii urzędniczej i wszystkie stanowiska cywilno-społeczne zajęli. Większość generałów i starszych oficerów Niemcami są, a często pruskimi poddanymi. Jeśli przyjmują rosyjskie poddaństwo, to tylko dla kariery urzędniczej lub wojskowej, dawniejszego zaś nieporzucają wcale i nikt do tego nie zmusza ich. Zdarzało się często doniedawna, iż generała rosyjskiego syn w Prusach odbywał wojskową powinność, następnie w rosyjskim wojsku, jako oficer już, służył pod komendą swego ojca.

Nie może więc Rosya prowadzić polityki słowiańskiej naprawdę. Taka polityka jest tylko złudą i obłudą w rosyjskim systemie. I nigdy Rosya nie była słowiańską w swej polityce, czego dowodem rozbiór Polski na wspólkę z Germanem. Ni w swem życiu społecznem i kulturalnem, ni w swym składzie narodowym w większości swej słowiańską nie była i nie jest. Nie prowadzi też Rosya polityki swoich interesów państwowych, ni potrzeb swych ludów. Bo w rękach knechtów Germana jest. Oni prowadzą ku bezwzględnemu osłabieniu i przygotowują stopniowo ku przyjęciu panowania germańskiego. Cała polityka wewnętrzna i zewnętrzna ku temu skierowaną jest. I nie potrafią zapobiedz temu ni prawicowcy w Dumie rosyjskiej, ni nacjonałiści, bo wszyscy noszą okulary germańskie, niektórzy świadomie, inni, masa, nie zdają sobie sprawy z tego. Jako maszyna, nakręcona ręką karyerowiczów,

działają ślepo i posłusznie, kierując wodę na młyn Germana. Gdy zaś przyjdzie do wojny, to będzie ona chyba tylko tryumfalnym pochodem Germana, jeśliby Anglia nie chciała postawić swe veto.

Generałowie podprowadzą rosyjską armię pod kule niemieckie i to zręcznie. Że potrafią, dali już próbkę w wojnie z Japoniją. A taka oto genialna myśl, powzięta w ministryum wojny i cichaczem częściowo już wykonywaną była? Mianowicie, ministryum wojny zauważyło, iż utrzymanie fortec i załóg w Królestwie Polskiem zawiele kosztuje skarb, a tylko miejscowy lud polski z wydatkowanych sum ciągnie korzyści. Przytem fortece te są bezużyteczne, a nawet szkodliwe w razie wojny z Niemcami! Wojska rosyjskie w takim wypadku powinny wyjść z Królestwa w głąb Rosyi i stamtąd dopiero operować, gdy Niemcy zagarną już te polskie ziemie. Tym sposobem, wojskom rosyjskim pozostawi się pełna swoboda ruchów i większe szanse pobicia wroga i wyrugowania z zajętych pozycji. W dodatku, Polacy, nie mogąc zarabiać na garnizonach, zubożeją, a chłop rosyjski o tyleż się wzbogaci. Jak widzimy, plan świetny i bardzo zrozumiały pod względem taktycznym i strategicznym! Ba! nawet i ze względów ekonomicznych świetnym jest. Nieprawdaż? Duma jednak, która ten plan wysledziła i wniosła interpelację przed forum publicum, jakoś nie uległa nacyonalistycznym i bardzo logicznym motywom pana ministra. Oparła się tym planom stanowczo. Czy jednak w danej, a bardzo możliwej chwili, taki opór Dumy będzie miał swój wpływ i znaczenie?... W każdym razie, podobny plan ministryum wojny charakterystycznym nie przestaje być.

Ludy w Rosyi tak są bałamucone przez rząd i rozmaitych jurgeltników jego, że już mniej, niż kiedykolwiek, wiedzą dokąd dążą, czemu i komu mają ufać i wierzyć? Czego mają chcieć, czego się spodziewać, od kogo i po kim? Dotąd słowo carskie miało w sobie coś pewnego i stanowczego, coś niby z opoki granitowej. Dziś i to złu-

dzenie prysło wśród szerokich mas ludu. Wykup za ziemię car kazał zakończyć, podatki kazał darować. Po pewnym czasie »uradnik« wytłómaczył, że to źle zrozumiano, że »to nie tak«. A gdy w parę lat potem płacono podatków we troje więcej, dziwował się lud niemało. Również komentowanym jest i to bardzo dziwacznie manifest 30-go października z 1905 roku, Duma zaś stała się wprost pośmiewiskiem. Agitacye rozmaitych partyi, ciągle oczekiwanie jakichś zmian, ciągle chybotanie się dusz między nadzieją, a zwątpieniem w ono »lepsze« zdemoralizowało ostatecznie szerokie masy ludu prostego. Doszło do tego, że dziś wszystko im się wydaje możliwem i na wszystko są zdecydowane, byle raz ta niepewność się skończyła, byle raz już coś stałego. Do wszystkiego dziś te tłumy popchnąć można, byle zrozumiały, iż to już ostatnia próba, ostatnia już gmatwanina będzie. Ale nie tylko tłumy bezkrytyczne cierpią na zamęt umysłów i sumień swych. Najtęższe umysły rosyjskie, rozumiejąc nawet zgubne dążenia rządu, widząc przyszłość swej ojczyzny w bardzo ciemnych barwach, nie wiedzą już, co czynić należy w tych warunkach, na co i na kogo liczyć mogą? Zniechęcenie ogarnęło wszystkie warstwy społeczne i psychiczne zmęczenie dusi jak zmora nocna. Wszystko się zgmatwało w jakiś chaos czarny i bez wyjścia. Polityka wewnętrzna i zewnętrzna, społeczna i narodowa moralność, spaczenie myśli każdej i każdego uczucia, zdziczenie wszystkich władz człowieczych, wszystko to razem skotłowało się, skłębilo się i wodzi jedno drugie za łeb wśród ciemnej i smutnej nad wyraz nocy. Coś podobnego za czasów samozwańców było chyba, bo też samozwańców klubowych, »sojuzów« i partyjnych namnożyło się bez liku. Każdy na swoją rękę prowadzi »interes«. Deprawacya wszelka i korrupcyja chińska ogólna i doprowadzona do artystycznej wprost wysokości. Młodzież rosyjska nie tylko nie jest bardziej idealną w swych pojęciach i życiu, niż starzy, lecz przeciwnie, o wiele zrzęczniejszą, bardziej wyuzdaną i cyniczną. Całe

społeczeństwo rosyjskie żyje bez ideałów, życiem zwierza i przetwarza się w cuchnącą już zdala zgniliznę. A że cielsko jest bardzo wielkie, więc i rozkład jego potrwa jeszcze, zaś swoje miazmaty trujące daleko poza siebie rozsyła. Chybaby oczyszczająca burza zechciała swój wpływ dobroczynny wyrzucić, bo duszno i parno w tej atmosferze bardzo już.

Warstwa inteligencji rosyjskiej i to bardzo wątpliwej wartości z bardzo nielicznymi wyjątkami, jest tak cienką jak pokost jaki. Pod nią — morze narodów, otchłań ciemnoty i mroków wszelakich, żadnych podstaw naprawdę moralnych. Tłumy przez popów również ciemnych i również pijackich, obłudnych, chytrych, prowadzone są. Duszy nie mają te masy narodów, bo skądżeż i jak mogła się u nich narodzić? Niewolnicy od wieków, a rząd ich bezduszny również nie mógł ich zapładniać duchowo i nie chciał. A ciała ich alkoholem przepojone i przez Venus niszczone. Całe wsie są, powiaty i gubernie, gdzie z trudem tylko chyba możnaby znaleźć człowieka zupełnie zdrowego. Patryotyzm ich bezmyślnym i rządowym jest. Kto da więcej, lub choćby obieca, tego i patryotyzm wyznawany i lepszy. Chęć użycia przedewszystkiem, bez myśli o jutrze, lub o czem kolwiek. Za rangę, order, za protekcję i pieniądze budzi rząd ich patryotyzm. Myśli, ideę, uczucia nawet, rząd budzi przez swych ludzi i swą prasę stosownie do potrzeb chwili. Ich cywilizacja i kultura wedle potrzeb rządu i chwili, swej własnej nie mają zgoła. Ta, która się niby przejawia, ale w czem? sięga niedawnych czasów, bo Jekateryny. Od niej się poczęła wraz z Łomonosowym i Kantemirem. Ich kultura, to jakiś amalgamat czegoś słowiańsko-mongolsko-bizantyjskiego, a wszystko to razem w niemieckim sosie pływa, żyje i myśli, jeśli wogóle myśleć wolno. Od wieków niewolnicy urodzeni i to niewolnicy z ducha natury ich, wieków trza usilnej pracy i celowej, by im człowieczeństwo wrócić. Więc i wolność, jako niewolnik z zerwanego łańcucha puszczony, rozumieją.

Najwyższy nawet urzędnik, Rosyanin, nie Niemiec, czuje się i jest rzeczywiście ze swej natury i pojęć, i dążeń, rabem, tylko z władzą nad niewolnikami postawionym. Całą naturę niewolniczą, ze wszystkimi jej cechami i usposobieniami zachowuje niezmiennie we wszystkich swych czynnościach i postępowaniu swym.

Rząd despotyczny mongolsko-germańskiego charakteru starał się w ciągu wieków odczłowieczyć to wszystko, co jeszcze pozostało człowieczego u narodów podwładnych mu. Każdy przejaw człowieczeństwa surowo karany był i dotąd niebardzo mile widziany. Rabów mu trza — nie ludzi, trzody ludzkiej — nie narodu, bo ludźmi i narodem rządzićby tak nie mógł. O ile rząd nie zdołał gdzie jeszcze coś odczłowieczyć, »nigilisty« przedzierżgnięci w europejskich socyalistów, pomagają w tem dzielnie rządowi, naturalnie na swoją rękę i w swoich widokach. Duma rosyjska, to tylko arcyśmieszna parodia parlamentu i wogóle cała ich konstytucya jako dziwoląg się przedstawia światu cywilizowanemu. Samowola rządu, raczej osobistości mającej wpływ u rządu i władzę nad rabami, lub pomniejszych władz administracyjnych, rządzi narodami w Rosyi. Samowola tych panów bywa zwykle motywowana prawdą fałszowaną, lub i nie motywowana wcale. Zdzierstwo, korupcyja w każdej dziedzinie i gałęzi spraw i administracyi wszelkiej, na porządku dziennym. Są to rzeczy zwyczajne i prawie naturalne. I gdyby nie rubel, łagodzący cokolwiek ostrość, życie stałoby się nie do zniesienia najbardziej lojalnemu.

Cesarz rosyjski, otoczony kliką niemieckich knechtów, podpisuje, co mu każą, mówi, co mu każą, i zawsze jest wdzięcznym wszystkim i za wszystko. Mikołaj II wiecznie na Germana się ogląda i rad jego skwapliwie słucha. Trafił się minister-śmiałek, Izwolskij. Zbliżyć Rosyę ku Anglii chciał i zerwać zależność od Germana, ale go za to po niedługim czasie usunęła klika ze stanowiska. A car, by przebłągać Germana za śmiałość swego ministra, prze-

niósł się na parę miesięcy na łono rodziny carycy do Niemiec, by tam z całym aparatem czynić zabiegi i starania pojednania się. Jakoż po kilku miesiącach manewrów rozmaitych został przyjęty na dworze Wilhelma II-go, ale za cenę zgodzenia się na wszystkie warunki podane. Warunki te zostały w swej większości zachowane w tajemnicy i tylko od czasu do czasu z pewnych przejawów politycznych dają się cokolwiek odgadnąć.

Anglia, przewidując zbrojną walkę z Niemcami, powoli i stopniowo, dzięki sprytowi i taktowi Edwarda VII, nawiązała dobre stosunki z Francją, następnie »entante cordial«, które zmieniło się w przymierze zaczepno-odporne. Naturalnie, wyłudziła przy tem nie jedno, a między innymi, zrzeczenie się praw Francji do Egiptu, które były zawsze straszakiem politycznym dla Anglii. Korzystając zaś z aliansu Francji z Rosją, starała się i dotąd się stara o wciągnięcie tej ostatniej do swego rydwanu polityki antigermańskiej. Ciężko to jednak idzie. By zachęcić Rosję do utworzenia trójprzymierza dla zrównoważenia takiegoż Niemiec, Austrii i Włoch, czyni Anglia różne umizgi. Rosja przyjmuje to grzecznie, ale, jak dotąd, chłodno bardzo. Ustępstwa rozmaite i korzyści również przyjmuje, ale o zbliżeniu się ściślejsem dotąd niema mowy. Właściwie, to mowa bywała i to nie raz. Najpierw przez Francję podejmowaną bywała, następnie i Anglia nieśmiało występowała w tej sprawie. Nawet Edward VII przybył do Rosji, lecz tylko do wizyt na jachtach się ograniczyły przyjęcia. Wkrótce zaś po tem, Wilhelm II przybył do Kronsztatu i sparaliżował wpływy poprzedniej wizyty. Rosja nie dawała jasnej odpowiedzi Anglii, milczała dwuznacznie. Otrzymawszy zaś, dzięki zabiegom Izwołskiego, zgodne rozgraniczenie wpływów na Persję, a może i tajemną umowę co do podziału tego kraju, usunięto Izwołskiego, zwolennika angielskiej polityki. Może Izwołski nie był dość zręcznym politykiem, może działalność jego przez klikę paraliżowaną była, może być. Miał on jednak trafną i pa-



tryotyczną ideę. Urzeczywistnienie jej mogłoby sprowadzić błogie następstwa dla jego ojczyzny, a może i dla całej Europy. Można się nie godzić na to, lub owo w polityce Francji i Anglii, na pobudki i czyny w sprawach wewnętrznych i zewnętrznych ich, jednak należy oddać zupełną sprawiedliwość wysokiej cywilizacji i kulturze tych krajów, do jakiej żaden inny naród nie doszedł jeszcze. Gdyby więc, te dwa narody łącznie zaczęły wywierać swój wpływ, jako czynniki najwyższej kultury i humanizmu, to należałoby oczekiwać chyba tylko wielkich a błogich skutków. Rosya, należąc do takiego związku i biorąc od niego radę, przykład i poparcie, mogłaby się wznieść bardzo wysoko pod wielu względami. Może jednak ręka kierownicza, a wszechmocna, inne losy kreśli w księdze przeznaczeń narodom Rosji...

Jednak nam, Polakom, trudnem jest przyłączyć się bezkrytycznie do ogólnego chóru uwielbienia i zachwytów na cześć Anglii. Przeciwnie, nie zaszkodzi nam odrobina sceptycyzmu w tym względzie, nawet bodaj, czy nie jest tu nam wskazanym dla baczniejszego rozważenia i ocenienia warunków i okoliczności, wśród których możemy się znaleźć i to niespodzianie w przyszłości niedalekiej. Należy cenić i to wysoko liberalne urządzenia polityczne Anglii, jej kulturę, jej humanizm do pewnego stopnia, nawet energię i przedsiębiorczość jej synów w sprawach społecznych, ekonomicznych i handlowych. Tak, wszystko to można uznawać, podnosić, chwalić i podziwiać, szczególnie gdy niema się tego u siebie. Bah! nawet życzyć naszej nieszczęśliwej Ojczyźnie choć cząstki jakiegś z tego, co posiada Anglia dziś. Ale, Boże nasz! myśląc o tem, lub patrząc na te bogactwa zasobów rozmaitych Anglii i jej obecną potęgę, mimowoli powiada się sobie, że i my mogli mieć to wszystko, gdyby konjunktury polityczne były nam się ułożyły choć cokolwiek pomyślniej; gdyby nam było dano cokolwiek spokoju choćby w ciągu tych stu lat od konstytucji trzeciego maja i swobodnego rozwoju

narodowego! Możebyśmy byli dotychczas nie w jednym dorównali, a w drugim i przewyższyli... Do podobnych przypuszczeń uprawnia nas niejedno urządzenie społeczne, niejedna myśl wielka, wyprzedzająca czasem epokę swych narodzin, a powstałe po trzecim maja i po rozbiórce naszej Ojczyzny. A gdy się rozważy przy jak nieprzyjaznych okolicznościach to powstawało, jak wrogich, to taki Anglik nawetby wiary temu nie dał. Nasza dzisiejsza kultura, nasze kształcenie się narodowe i społeczne, nasze instytucje rozmaite, dzieła naszych uczonych i t. p. przy jakichże to dziś warunkach anormalnych powstają i rozwijają się! Jakieżby to Anglik mógł zrozumieć i uwierzyć?... I, mimo woli, przypomina się dana w swoim czasie deputacyi polskiej w Londynie odpowiedź wyniosła, a kupiecka w swoim charakterze. Palmerston, stojący wówczas u steru rządów, powiedział: »...gdyby Anglia miała funt bawełny z Polski, to protestowałaby całą siłą swej dyplomacyi i floty przeciw gnębieniu polskiego narodu...« A więc Polska dla narodu kupieckiego nie miała wartości funta bawełny? A więc Polska z całym narodem, jego kulturą, świetną przeszłością historyczną, ze wszystkimi ofarami, jakie nosła w ciągu wieków cywilizacyi chrześcijańskiej Europy, nie warta była funta kłaków, mówiąc po polsku, w oczach kulturalnej, humanitarnej Anglii? Tak więc, trza było wówczas połknąć tę okrutnie gorzką odpowiedź Palmerstona, rzuconą w twarz zbolełego narodu polskiego, krwią ociekającego, ginącego za wolność nie tylko swoją, ale i za wolność ludzkości w jej pryncypjach ideowych! Polska ginąca swój wzrok błagałny ku Anglii konstytucyjnej zwróciła z nadzieją. Błagała nie o pomoc zbrojną, ni o pieniądze, ale o notę dyplomatyczną, która wówczas mogłaby mieć w Petersburgu siłę miliona bagnetów wyostrzonych. Polska konstytucyjna ku Anglii konstytucyjnej się zwróciła o pomoc przeciw despotyzmowi i barbarzyństwu dzikiej Moskwy. Zwróciła się ku środowisku cywilizacyi i humanizmu o wydanie jego opinii,

o protest platoniczny przeciw głupocie ciemnej tłuszczy oprawców dzikich. A na to wszystko otrzymała pogardliwe ruszenie ramion i odpowiedź, równającą się plwocinom w twarz narodowi polskiemu rzuconym. Tę odpowiedź każdy prawy Polak powinien w swej duszy chować. Gdy przyjdą stosowne okoliczności, musi ją wydobyć z zapomnienia, oglądać ze wszystkich stron, nim poweźmie odpowiednią decyzję. A okoliczności się zdarzą, przyjdą napewno.

Anglia ducha swej rasy, a pochodzenia germańskiego, zatrzymała w sobie, przez kulturę i humanizm nietkniętego prawie w swej rdzennej istocie. Cała jej przeszłość polityczna mówi o tem. Duch zaborczego imperyalizmu panować w niej nieprzestaje aż do dziś, pomimo odruchów humanizmu, pomimo kultury i liberalizmu. Wszystko to uregulowane i ujęte w formę tylko egoizmu dobrze zrozumianego i dobrze obrachowanego interesu własnego. I nie należy się ludzić pod tym względem. Anglia we wszystkim kupiecką jest. Ostatnich lat wypadki podtrzymują właśnie to twierdzenie o ciągłości wiekowej idei zaborczego imperyalizmu. Ta idea jest przewodnią polityki nie tylko rządu, monarchy, ale przenika ducha i krew całego narodu angielskiego.

W ostatnich czasach stara się Anglia swój imperyalizm w bardziej nowożytną, a błyskotliwą suknię przyodziać, początek temu dał zręczny polityk Edward VII, w rzeczywistości zaś, istoty idei, ani celu dążeń, nie zmienia. A wpływa ta zmiana poprostu z konieczności przystosowania się do warunków wewnętrznych sytuacji i zewnętrznej polityki. Konieczność zaś ta równoznaczna prawie — rozsypaniu się imperyi. Ta konieczność ujawniła się w całej swej grozie podczas wojny z Boerami i po śmierci Wiktorii. Anglia bowiem w tak krytycznem położeniu się znajdowała wówczas, jakiego nikt nie domyślał się nawet, szczęściem dla niej. Nawet wśród Anglików, oprócz samego Edwarda VII i pierwszego ministra, mało co wie-

dziano, w tak ściśle tajemnicy wszystko trzymano. Całe zachowanie się dziwaczne Wilhelmu II względem Anglii, taktykę jego z Boerami, jego depeszę do nich i t. p. należy rozumieć, iż on czegoś się jednak domyślał. Gdyby Wiktorya cokolwiek dłużej sprawowała rządu, sytuacja polityczna Anglii stałaby się wprost rozpaczliwą. Śmierć tej królowej przyszła w samą porę.

Dwa czynniki uratowały Anglię. Pierwszy — to jej ogromny prestige, który wrogom jej oślepił oczy i tym sposobem nie mogli odgadnąć właściwej chwili jej słabości. Drugi — to wstąpienie na tron spokojnego, mądrego, a przebiegłego polityka, Edwarda VII. Zalet tych w nim niedomyślała się Europa, jak również i jego własny naród. Zręczny jednak manewr jego i zręczna poza w stosownej chwili szerokim, a eleganckim ruchem i niby niedbale wykonana, uratowały wszystko. Stało się to jednak dzięki ogromnemu prestige Anglii, a które umiał Edward VII znakomicie wyzyskać w krytycznej dla jego ojczyzny chwili.

Zwróćmy nieco naszą uwagę na niektóre przynajmniej fakty polityczne z doby lat ostatnich tego nowego imperyum angielskiego.

Oto perski naród, bardzo biedny i bardzo nieszczęsny, bój toczy zacięty z despotyzmem, wschodnim notabene, a od wieków gniotącym go bez miłosierdzia. Po strasznych wysiłkach i ofiarach zrzucił despotę-pszecherę, łamiącego dziesięciokrotnie zaprzysiężoną konstytucję, okrwawionemi rękoma narodu wzniesioną. Już lepszego jutra zaczyna zorza błyskać woddali, chociaż cała kraina jeszcze w konwulsjach ustępującego starego systemu drga, płonie i krwią się zalewa. Mocarstwa europejskie, chciwe łupu, czyli »zainteresowane«, wyrażając się językiem dyplomacyi, same wytwarzają zamieszanie i zamęt w tym kraju. Intrygują potajemnie między stronnictwami i mieszają się do spraw zupełnie im obcych, by potem, narzekając na anarchiję i jej wpływ szkodliwy, mieć pretekst do działań swych. Stara metoda, należycie wypróbowana

na Polsce w swoim czasie. I oto ten naród nieszczęsny i umęczony dowiaduje się naraz, iż jest przedmiotem handlu kulturalnych mocarstw. Pozory tylko niezależności zostawiono mu do czasu, rządzenia się zaś wolnego w swej Ojczyźnie już prawie pozbawiony. Któż to uczynił? — Anglia liberalna, wysoce kulturalna, strasznie silna, strasznie bogata!

By kupić sobie spokój od Rosyi, a jeśli będzie można, to i pomoc w polityce antigiermańskiej, nie zagarnia Anglia całej Persyi dla siebie. Dzieli się po bratersku z Rosyą w formie rozgraniczenia wpływów tym czasem. A wiadomo, co znaczą te wpływy w polityce międzynarodowej i czem się zwykle kończą. Rosya już drugi rok trzyma tam silny oddział wojska pod rozmaitemi pozorami. Niemcy również chcą mieć tam swe wpływy, przez wszystkie więc szpary cisną się do Persyi. Rząd perski, jako tako już konstytucyjnie zorganizowany, potrzebuje pożyczkę zaciągnąć. Na to zezwala Rosya i Anglia, z warunkiem, by tylko u nich ta operacya finansowa została zrealizowaną. Co to ma znaczyć? Chyba łatwo się domyśleć. Lecz German usłużny gotów ofiarować pożyczkę na dogodniejszych warunkach, byle w widokach kolei Bahdackiej, którą buduje w celach ekonomicznych i strategicznych, mógł się wcisnąć do Persyi. Po długich wahanjach i nawet groźnych zatargach sprawa zakończyła się pomyślnie dla Germana, dzięki bytności cara w Poczdamie. Lecz co to ma znaczyć, jak należy rozumieć w stosunku do humanitarnych idei imperyalizmu angielskiego?

Dzisiaj już Egipt na wzór Turcyi i Persyi chce mieć swą konstytucyę. Naród ten ma już dość opieki i kultury angielskiej. Chce sam rządzić swoją ojczyzną i ma prawo przyrodzone do tego za sobą. Chce, ale Anglia nie chce! Niechęć więc wzrasta tam przeciw Anglikom i wogóle przeciw cudzoziemcom. A ta niechęć może prędko wielkie rozmiary przybrać i wybuchnąć płomieniem krwawym. A Indyę, rządzone przez wicekrólów angielskich na podstawie jakiejś dziwacznej formy ustroju, nikogo niezado-

walającej? Z pod popiołów tej formy dziwacznej płomyki wciąż się ukazują. Czego są one dowodem?

Czyż na równi z innymi zaborczymi rządami nie zabrała Anglia Chinom dobrej połaci kraju? Czyż nie będzie gotową nadal zabierać, co się da przy okazji, aż Chiny się obudzą z letargu i poprzysięgną odwet. A odwet ten będzie olbrzymi i bardzo straszny. Kiedyś Europa, właściwie zaś nasze polskie — słowiańskie kraje, jako bliższe i na drodze wielkiej położone, zapłacą rachunek ciężki, zapłacą może niewolą, nawet długą, za nie swoje winy.

A ta wojna z Boerami za co i po co? Autonomię dała Anglia Boerom! Tak, po zdeptaniu ich niezależności w kałużach krwi!

A gdy z tych dalekich krajów wrócimy do Anglii samej, czy nas nie uderzy w oczy i serce nieszczęsna i systematycznie głodzona Irlandya? A której synów, niby szczenięta zbyteczne, zatapiało niegdyś rozmyślnie i umiejętnie w falach oceanu? Za krzywdy straszne, doświadczane w ciągu tylu wieków, jakie zadośćuczynienie otrzymała dotychczas Irlandya? W czasie wojny z Boerami Wiktoryja jeździła na spacer do Irlandyi i listek koniczyny przypięła do gorsu. Następnie rząd obiecał wykupić ziemię irlandzką od lordów angielskich, by choć w części zwrócić ją zagłodzonemu narodowi. I teraz dopiero to się pomału uskutecznia. A że się spodziewa ciężkiej wojny z Germanem, więc coś przebąkuje o irlandzkim homerulu. A tak! W czasie wojny ciężkiej Irlandya będzie mogła wytargować niezależność autonomiczną! Jak upadek sił Rosyi po wojnie japońskiej i zaburzeniach przyniósł konstytucyę i tolerancyę religijną narodom ograbionym i nieszczęsnym; wzmocnienie się zaś tego imperyum odbiera te dary wymuszane; tak i Anglia będzie się widzieć zmuszoną dać znaczne ustępstwa narodowe i polityczne Irlandyi, by mieć spokój w swym własnym domu. Nawet owe świetne kolonie nie z dobrej i nieprzymuszonej woli Angli, ni łaski jej, stworzyły osobne, niezależne państewka. A któreby

Anglia rada dziś jakoś je związać ze sobą i pojednać, ale to jakoś niezupełnie się udaje. Węzeł zadzierzgnięty czemuś się rwie i rozwiązuje wciąż. W razie przejść krytycznych nie może Anglia bardzo stanowczo liczyć na swe kolonie.

Zastanowiwszy się więc trochę nad tem wszystkim, cośmy tu w krótkości nadmienili, niełatwo nam będzie unisono do chóru z innymi entuzyazmować się liberalizmem ducha tego nowego imperyum angielskiego. Sądzić by raczej należało, że potęga dzisiejsza Anglii zwodniczą jest. Po walce zaborczego imperyalizmu, germańskiego pochodzenia, z ideą ducha ludzkości, Anglia prawdopodobnie upadnie ciężko. Rozsypie się na tyle części niezależnych, a wrogich jej, z ilu obecnie jej cielsko się składa i czerpie zwodniczy blask. Walka tych dwu idei może przeniesie się nawet do jej wnętrza, czego zwiastuny już od czasu do czasu przesuwiają się po mglistem niebie Albionu. Prawdopodobnie straszna rewolucya, podobna cromwelowskiej, zakończy świetność imperyalizmu angielskiego.

---

Naród — to jednostka, to zbiorowy osobnik, mający swe własne, a odrębne cechy. A cechy te, jemu właściwe, nie tylko w rysach twarzy i właściwościach organizmu ciała się uwydatniają, lecz co ważniejsze, we właściwościach natury jego ducha.

Rysy twarzy zwykle są zewnętrznym odbiciem organizacyi wewnętrznej danej jednostki, jej wartości i składni duchowej. Zewnętrzne warunki mogą wyrzucić wpływ swój, a nawet i większy, aż do zaniku prawie narodowych odrębności fizycznych i duchowych. Zależy to jednak bardzo od siły nacisku warunków tych i czasu trwania, niemniej jednak i to w silnym stopniu od siły odpornej. Ta zaś znajduje się w ścisłym stosunku do rozwoju i ustalenia się tych właśnie właściwości narodowych fizycznych i duchowych w szczególności. A to do tego stopnia, że gdy na pewien okres czasu nawet zanikną pod przemo-

nym naporem obcych potęg, to tylko pozornie, jeśli cechy duchowe były silne i ustalone. Przychodzą następne pokolenia, w których siłą atawizmu biologicznego i duchowego te właściwości narodowe poczną się przejawiać stopniowo, aż znów w zupełności swej wydobędą się ponad wszystkie naleciałości i mieszaniny obce, ponad wszelki przymus. Historia nie mało nam wskazuje przykładów podobnych zjawisk bardzo zadziwiających. Bo, przy rozwoju silnym tych odrębnych właściwości natury ducha swego, naród staje się odpornym i zaznacza stanowczo swą odrębność w stosunku do innych. Nawet najsilniejszy nacisk warunków zewnętrznych i politycznych sytuacji nie zdoła go zniwelować, raczej wzmoże jego dzielność sił życiowych i jego charakter narodowy.

Naród polski, w zaczątkach już swych, pierwiastki swych właściwości miał głęboko w duszy swej osadzone. Chrystyanizm zaś zbudził w nim z uspienia jego ducha, pomagając właśnie tym pierwiastkom rozwinąć się i rozrosnąć. Starał się przytem uporządkować je, nadając pewną jednolitą całość i ciągłość. Wzrost polityczny i kulturalny Polski doprowadził owe cechy odrębności do wielkiej potęgi niektóre. Zaś nieszczęścia porozbiorowe, nie zmniejszając wcale cech wybujałych już, rozwinęły inne, mniej potężne, a przynajmniej mniej ogólnie, w dawniejszych czasach rozkwitłe. Nie brakuje cech silnie indywidualnych narodowi polskiemu. A jeśli jakie małe odłamy polskiego narodu mogły zatracić swą odrębność, stało się to wskutek zupełnego i długi czas trwającego zerwania łączności z łonem macierzystym, z którego czerpały swe soki ożywcze. Ale i te odłamy, zatracone napozór, siłą przyrodzonego atawizmu, muszą wcześniej czy później powrócić do swej całości, z której wyszły. Jednostki zaś wynarodowione, a znaleźć je można w każdym narodzie, są takiemże zjawiskiem, jakim są uschłe drobne gałązki wielkiego pnia żywego o konarach silnych i bujnie rozkwitłych.



Była epoka upadku sił ducha narodu polskiego, nie do tego wszakże stopnia, by aż zastracił swe właściwości narodowe, jak się to zdarzyło u Czechów w ciągu długich wieków.

U nas cierpienia i ofiary, na ołtarzu ojczyźnianym składane w ciągu stuletniej niewoli, odradzały tylko i wzmacniały siłę ducha narodowego. W obecnych zaś czasach, doprowadziły do dawno niebyłego rozkwitu i wytrzymałości.

Rozbiory i próby wynarodowienia dały tylko możliwość niebywałą stwierdzenia niepożytej siły ducha polskiego, świetności jego rozwoju przy warunkach jak najgorszych. Wbrew wszelkim oczekiwaniom rządów rozbiorowych, wbrew wszelkiej praktyce polityków i socjologów, naród polski, skuty kajdanami niewoli i ponieważ wszelakiej, nietylko istnieje, ale pomimo wszystko i ponad wszystko, rozwija się duchowo i ekonomicznie. Ten naród sponiewierany, przemocą do grobu wtłoczony, wydaje nieraz z siebie takie kwiaty, o jakich marzyć mogą i wydawać, wolne tylko i szczęśliwe narody. Ten naród zdeptyany stopami żarłocznych bydła, wydaje czasem z siebie tskie płody, jakie wydają najżywotniejsze tylko kraje. Naród polski drwi z granic, które polityka nakreśliła mu, drwi z idei państwowości żelaznym łańcuchem trzymającej narody! On drwi z kajdan niewoli i barbarzyństa! Duch jego rwie te więzy na ręce i nogi cielesne tylko nałożone. Nie umieli i nie mogli ducha skuć. On zawsze wolny i krolewski jest! Porwie on i cielesne więzy, gdy wydzwoni mu wyznaczona godzina! A dziś daje wszem ludom Europy jaskrawy przykład na sobie, co znaczy naród, mający od wieków własnego ducha, a co jest państwowość, despotyzmu sługa? Naród polski, mimo swej woli, do narodów ciżby wnosi pochodnię idei nieśmiertelności narodowej; odpornej siły prawdy narodowej przeciw fałszom i obłudzie; siły ducha przeciw brutalnej sile pięści opancerzonej ciemńców, państwowości wyznawców. Dziś więc,

nawet w nieszczęściu swem, spełnia swą misję, roznosząc ideę w sobie od wieków zrodzoną i sobie tylko właściwą. W ciągu swego tysiącletniego życia politycznego, nie będąc zaborczym, czuł wstręt do imperyalizmu i obawiał się go u siebie. Wszystkie zalety i wady ustroju jego narodowego najlepiej świadczą o tem. On jeden z całej plejady narodów słowiańskich, przy zachowaniu najczystszej krwi słowiańskiej, zachował i ducha słowian. Dlatego też może i upadł. Bo nie mógł ducha swego przeobrazić, nie mógł przyjąć wzoru imperyalizmu germańskiego, jak to uczyniły inne narody Europy. Kochał wolność osobistą i narodową, nieznaną wówczas Europie. A kochał tak silnie, że aż padł jej ofiarą, pokrył grobami swe pole ojczyzniane, ze swych kości dał pomost pod drogę Sybiru, a krwią swoją ofiarną przepoił swe piaski i w żyzną glebę je zmienił. Unia lubelska i konstytucya trzeciego maja, te wielkie, wspaniałe gwiazdy w koronie Polski, te pomniki przekonywające, nawet z dalekiej przeszłości rzucają jasność promienną na dzisiejsze dwudzieste stulecie. A gdy biegł Polak bronić chrześcijaństwa Europy i jej kultury, lub wolności ludów nawet za morzami, mógł-że mieć w sobie ducha zaborów i łupiestwa?

A ponieważ ta ręka niewidzialna, a kierująca losami narodów, którą my, chrześcijanie, nazywamy Opatrznością, umie przedziwnie wszelkie zło zużytkować na korzyść Jej wielkich celów, więc i nasz upadek i nasza sroga niewola ze wszystkimi jej następstwami i przejściami, zużytkowana jest i musi być ostatecznie zużytkowana tylko dla dobra naszego. Nie należy nam rozpaczać i w zwątpieniach łamać ręce. Przeciwnie w pracy i trudzie dla narodu i Ojczyzny wytrwać i iść dalej wciąż bez wytchnienia. Ocierając pot ze znużonego czoła, patrzeć spokojnie na wypadki, które w niedalekiej przyszłości poczną się rozwijać, z ufnością spoglądać w niebo i przyszłość narodu polskiego.

Porównywując dawniejsze czasy z dzisiejszymi zauważymy, że i ucisk stracił już cokolwiek na swej ostrości i sile i nie tak już strasznie beznadziejny dla nas; i odporność nasza tęższa i bardziej jednolitości nabiera. Zauważymy większe skupienie ducha narodowego w masach, pomimo tendencyjnych fałszów i błędów w poszczególnych grupach społecznych; większe jego streszczenie się w sobie. Zauważymy większe uświadomienie i bardziej ogólne sił narodowych, zalet i niedomażeń; większe wyrobienie na ogół tych sił w twardej walce o byt narodowy i umiłowanie braci młodszych, tak bardzo dawniej zapoznanych. Duch narodu pogłębił swą treść. Swe ideały i umiłowania bardziej jeszcze wszechludzkimi uczynił. Pełniejszy też i szerszy weźmie lot przy sprzyjających i nadarzyć się mających okolicznościach. Twarda, ciężka dola niewoli wiekowej lekarstwem się okaże, wracającem i zdrowie i siły.

Te wszystkie dzisiejsze zboczenia umysłów i uczuć, te wszystkie zjawiska szamotania się, gwałty zaburzeń społecznych, zwyrodnienie jednostek zgrupowanych lub nie, to wszystko razem jest objawem fermentu czynników obcych narodowi polskiemu, obcych jego naturze zdrowej i normalnej. Organizm narodu w nienormalnych warunkach się rozwija, więc niby gruźliczny mikrob padł na niego. Ale to kryzys przejściowy choroby, której przyczyną — niewola! Kryzys ten jednak stopniowo przemija, otrzeźwienie, jakkolwiek powoli, następuje, posuwa się stale ku uzdrowieniu społecznemu. Niech tylko jaka wielka idea zaświeci, choćby w dali, choćby niedość jeszcze jasno, a społeczeństwo nasze odrazu zdrowem się stanie już samą nadzieją życia pełniejszego i bardziej normalnego. Beznadziejność, pesymizm czyni go chorobliwym i przydatnem ku wszystkim dolegliwościom ducha i ciała.

Że kryzys, choć powoli, zaczyna jednak ustępować, oznaki tego niemylnie mnożą się coraz bardziej. Niepodobna nie zanotować z lubością niektórych przynajmniej. Oto dziatwa szkolna i młodzież uniwersytecka łączy się

w towarzystwa z myślą najszczytniejszą. Obyczaje jej stają się czystsze, poglądy górne, sądy — surowe, dążenia — anielskie wprost. Gdzie, w jakim kraju, w jakim społeczeństwie, znaleźć młodzież, któraby, jak polska, zebrana we Lwowie, dałaby publiczną deklarację, niemal publiczną przysięgę: »Chcemy żyć górnio, roboczo i ofiarnie!« Kto zna młodzież obcych narodów, narodów wolnych i szczęśliwych, ten wie, że tam takiej nie szukać. Tylko Ojczyzna nasza, tylko Polska, wydaje z siebie taką działwę, takie syny! Praca zaś społeczno-narodowa stała się obowiązkiem każdego Polaka i pomimo najgorszych warunków, czyni znaczne bardzo postępy.

Gdy więc naród nasz nie tylko potrafił przechować w sobie swego własnego ducha, lecz go doprowadził do potęgi wielkiej przez ofiary, poświęcenia bezprzykładne i pracę ciężką, a trwał i to przy warunkach jak najbardziej wrogich temu; to taki naród, z taką siłą duchową, zaginąć nie może! Nie może się rozpląnąć w morzu obcych narodowości wszelakich! Indywidualna potęga ducha za silna, a dążenia i ideały zanadto mają wspólności z wielkim genijuszem wszechludzkości. Wszeźniej czy później musi podeptać fizyczną przemoc, musi dojść do możności swobodnego działania, do czynów sobie, naturze swej indywidualnej, właściwych. Musi zużytkować tę siłę żywiołową, jaką w sobie w utajeniu, wskutek nieprzyjaznych okoliczności posiada, a która go rozpiera coraz bardziej pomimo żelaznych obręczy.

Naród nasz jest tylko w stadyum ewolucyjnego rozwoju i zmężnienia przez krzyż, cierpienia i pracę. Gorzkie lekarstwo niewoli, podane ręką Opatrzności, może być właśnie jedynem ku naszemu uzdrowieniu. Ono sprowadziło nas na drogę zmężnienia, ideowego skryształizowania się i rzeczowej, produkcyjnej pracy narodowej. Duch nasz narodowy już nie ugnie się, nie zwicznie się przy spełnianiu swej misji, której nie spełnił jeszcze dotąd. Ale już spełni ją gdy przyjdzie czas. A spełni z całą świetno-

ścią i godnością, na jaką tylko zdobyć się może genijusz narodu polskiego. A więc z wielkim, szczerym rzutem i bezinteresownie, w Imię Chrystusa, w imię ideałów wszechludzkich przez Polskę do słowiańszczyzny, przez słowiańszczyznę z Polską na czele do Europy i wszechludźkości! Oto droga, oto misya wyznaczona Polsce przez tę wszechmocną rękę, losami narodów i ludźkości po przez wieki i wypadki przedziwnie kierującą!

---

Polityka państwowości już się przeżyła i trupieszaje coraz bardziej, na oczach prawie. Cała mądrość mężów stanu, cała siła i energia ich rządów, wysiła się i zużywa na mozolne łatanie wciąż rozlatującego się kubraka politycznego. A to łatanie sprowadza się do utrzymania osławionego »status quo«, utrzymania stanu posiadania. Życie jednak narodów posuwa się naprzód samą siłą żywiołową życia. A ta stara skorupa państwowego »status quo« nie wytrzyma już naporu tej siły życiowej narodów. A napór ten idzie i wciąż szturmuje z wewnątrz na zewnątrz i odwrotnie. To też ta stara skorupa germańskiego wynalazku pęka od czasu do czasu w rozmaitych miejscach i dziś jest już tak spękana, że lada uderzenie mogłoby wywołać ogromne jej wstrząśnienie. Zaś cokolwiek silniejsze napięcie grozi rozleceniem się tej skorupy w kawałach większych i bardzo nawet malutkich i w rozmaite strony, w rozmaitych podskokach i koziołkach nawet szalonych. Wszystkie warunki ku temu potrzebne zebrały się już i to w niemałej ilości i niezgorszej jakości. Wybuchowe materiały i żywioły działające, a niezbędne, skupiają swe siły. A siły te zgęszczają się bardzo przy ciśnieniu nadzwyczaj mocnym ducha nowych ideałów, nowych dążeń i potrzeb życiowych. Duch narodowościowy zbudził się z letargu, w który go pogrążyła idea przynależności państwowej. Zbudził się nawet tam, gdzie używanie wolności i swobody przy względnym dobrobycie nie zdaje się usposa-

biać do podobnego przebudzenia; zbudził się i tam, gdzie rozumiano, iż już ostatnie swe tchnienie wyzionął. Wszystkie narody się obudziły z letargów. I wszystkie prawie bez wyjątku oczekują chwili końca starego świata, starego ustroju, jako wyzwolenia z duszącej atmosfery polityki państwowej, jako chwili odrodzenia się w swych przyrodzonych prawach do życia pełnego w rozwoju narodowym. Rozumieją one dobrze, iż to przejście do innej formy, do odrodzenia się, będzie bolesnem cierpieniem, a samo widowisko straszne wprost. A jednak żądają przyspieszenia tej chwili decydującej i z bojaźliwą radością oczekują jej. Są to narody przeważnie ujażmione, znoszące swą niewolę z rozpaczą i nadzieją w przyszłość nieznaną, przeczuwaną jednak duchem i logiką rozumu chłodnego.

Dumną jest Europa ze swej kultury, z dumą też i zachwalstwem narzuca ją innym. W celach podboju pełni swią misję cywilizacyjną we wszystkich częściach świata. U siebie jednak nie mało mieści upośledzonych i wydziedziczonych narodów z ich praw i ziem ojczystych. To też sądy pokojowe w Hadze nie mogą doprowadzić do celów konkretnych, bo nie mają podstaw realnych społeczno-politycznych. Te sądy pokojowe, na które zjawiają się i przedstawiciele rządów państwowych z zamiarem zachowania »status quo ante«, nie mogą przynosić ulgi jakiegokolwiek w sytuacji niewolniczej narodów zrabowanych. Są tylko gorzką ironią względem losów ludów wydziedziczonych.

W Europie bo wszystko już się splątało i na opak wywróciło, w jakiś chaos, zda się, bez wyjścia, spiętrzyło, strzaskało. Sprawy polityczne, ekonomiczne, estetyczne i etyczne, narodowościowe i państwowe tak się zgmatwały, tak mało już mają przestrzeni dla swej działalności i powietrza do oddychania, atmosfera stała się tak duszną, nieznośną, że burza i to straszna burza musi się rozpętać, rozszaleć.

Rządy obawiają się tego właśnie, obawiają się zawiązań międzynarodowych i starają się przeto wszelkie ostrości

polityczne łagodzić lub usunąć, przy pomocy osławionego i znienawidzonego »status quo ante«. Tym sposobem od-  
mawiają rozstrzygnięcia najbardziej słusznych potrzeb, ja-  
kich się domaga toczące się wciąż naprzód życie narodów.  
Ale ręka Opatrzności zmusi do zaprzestania tej ich roli  
biernej, wzniesi ogniska, których płomień ogarnie całą Eu-  
ropę. Z widocznych już dziś takich ognisk, chociaż z pod  
popiołów jeszcze nie strzelających, to tajemniczy bliski  
Wschód ze swemi Bałkany mrocznymi, Macedonią krwawą  
i nieszczęsną, greckimi aspiracyami, kolejną bałkańską itp.;  
to nowa sprawa Maroka, bardzo zagadkowa i bardzo nie-  
pokojąca zachodnią Europę i Niemcy; to sprawy austry-  
ackie ze swym dążeniem ku południu i wschodowi, ze swą  
sławizacją i bliską katastrofą Franciszka Józefa a wojo-  
wniczem, ambitnem usposobieniem następcy.

Każda z tych spraw, wchodząc w stan jakiegokolwiek  
akcji poważniejszej, może wyprowadzić z równowagi rządy  
państwowe, a cóż dopiero, gdyby wszystkie naraz zechciały  
szukać rozwiązania? Mogą się jednak wyłonić i inne je-  
szcze, niespodziane. Gdy więc weźmiemy pod uwagę przy-  
tem antagonizm Anglii antygermański, butę krzyżacką i za-  
chłanność wraz z gotowością bojową, kosztowną wielce,  
a nieprodukcyjną dotąd w ciągu tylu lat, parcie do nowych za-  
borów, koniecznych zresztą; gdy zważy się ludów nastroj,  
społeczne prądy, to trudno oprzeć się wpływającym z tego  
zestawienia logicznym konsekwencyom, chociaż one wy-  
biegają poza granice teraźniejszości.

A że »gouverner c'est prévoir«, więc rządy dzisiej-  
sze, czy to w złudnej nadziei ocalenia siebie, zechcą lejece  
pochwyć i rozhukane żywioły poprowadzić według swego  
widzenia rzeczy; czy też, zmuszone siłą konieczności sa-  
mych wypadków politycznych, rozpoczną taniec, który się  
okaże śmiertelnym dla nichże.. Oprócz bowiem zawikłań  
politycznych-rządowych; powstaną obok zawikłania społe-  
czne najpierw, następnie — narodowe. A tak, walka mię-  
dypaństwowo-rządowa zamieni się w walkę państw dziś

uznanych przeciw idei narodowościowo-społecznej, przeciw geniuszowi ludzkości.

Każdy z łatwością zauważy, kto chce bliżej wnikać w dążenia ogólnego życia europejskiego społeczno-narodowego, kto chce bliżej się przypatrzeć arkanom politycznym, że ponad wszystkimi sprawami górują dziś kwestye ekonomiczne, że z pod rozmaitych obsłonek, pozornie bardzo idealnie wyglądających, wyziera ekonomiczny interes. Cała polityka państwowa, czy narodowa, wewnętrzna lub zewnętrzna, bah! nawet wszystkie ustroje społeczne i socyalne, walki wewnętrzne i zewnętrzne, wszystko to nosi stygmat ekonomiczny w swej istocie. A ten ekonomiczny pęd tak się rozwielił coraz bardziej, takiej siły i rozmachu nabiera, że wszystko, co tylko jest objawem życia zbiorowego, stara się sobie podporządkować i wyzyskać dla swoich celów. Stara się on również odkryć lub stworzyć nowe tereny działań dla siebie i swych dążeń, druzgocąc z bezwzględnością nieubłaganą wszystkie przeszkody. Gdy sobie w naszym umyśle jasno ten kierunek przedstawimy, gdy zdamy sobie sprawę z przyczyn i pobudek tego kierunku oraz jego żywiołowej wprost siły, to ze ścisłością prawie matematycznej logiki moglibyśmy wytknąć główne etapy jego pochodzenia, moglibyśmy ukazać najgłówniejsze przeobrażenia społeczeństw, narodów, krajów, bah! nawet części świata. Gdzie zaś meta i cel ostateczny tego prądu i kierunku, gdzie kres, w jakiej przestrzeni czasów, narodów lub ziemi? Odpowiedź stanowcza wymyka się organom pojmowania i sądów ludzkich.

Jak niegdyś plemiona pokrewne łączyły się z sobą w jedną całość dla wspólnej obrony lub zaborów, tak dziś widzimy podobne łączenie się rozmaitych grup państwowych w celach obrony swych spraw ekonomicznych, lub szukania nowych horyzontów dla tych spraw działania. Z drugiej znowu strony, widzimy, iż te sprawy ekonomiczne



w swą sieć tajemną wciągają narody i państwa wrogie nawet skądinąd sobie; że ta sieć tajemna zmusza nieraz do porzucenia chęci walk orężnych, lub też przeciwnie, do podjęcia oręża w przeciwieństwie do usposobień i zamiarów. Ta sieć tajemna rozstrzuwa się coraz bardziej, łączy ściślej lub luźniej wszystkie interesy ludów Europy i wytwarza ich politykę, nadaje bieg rzeczom i sprawom nawet daleko poza Europą. Potęga ekonomiczna dziś już tak wielka, że gdyby nie dzisiejszy ustrój polityczny jeszcze nie złamany, Europa jużby przedstawiała jedną ogólną federację ekonomiczną i to kompletną. Gdy więc potęga ekonomiczna, przywoławszy do pomocy ideały narodowościowe bardzo już silnie upominające się o swe prawa, skruszy dzisiejszy stan polityczny Europy, jako nieznośną przeszkodę; to potęga ta również dla swego właśnie rozrostu, uformowania federacji ekonomicznej, będzie zmuszoną stworzyć wpierw federację polityczną ludów Europy. Tak zfederowana Europa politycznie i ekonomicznie, tworząc już sobą całość prawie jednolitą, będzie mogła postawić swój stan ekonomiczny na tak wielkich, kolosalnych rozmiarach, o jakich możemy obecnie tylko marzyć. Wtedy tylko jej stosunek do Azji, stanie się naprawdę — suwerena, nie bacząc na polityczne zmiany, jakieby mogły się zdarzyć w niej. A od stosunku tego, jego charakteru i stopnia wpływów na Azyę, zależy w przyszłości nie bardzo dalekiej los Europy, nietylko jej rozrost ekonomiczny. — Europa musi, po uporządkowaniu się wewnętrznem i ucieszeniu wichrów, skupić wszystkie swe siły i wyteńczyć je w kierunku tym.

Właśnie polski naród i Polska, nie inny naród, nie inny kraj, stoi geograficznie w samym środku Europy, on też dlatego w przyszłości, może niedalekiej, stanie się głównym punktem całego tego ruchu ekonomiczno-politycznego. Stanie się łącznikiem »zgniętego zachodu« ze »zdrowym wschodem« i Azyą. A to nie mała rzecz! I to tak niemała, że wszystkie interesy i sprawy nietylko ekono-

miczne, lecz eo ipso i polityczne Europy, poczną się koncentrować w Polsce. Ale dlatego właśnie Polska musi być niezależną wpierv i dość silną, by tę niezależność utrzymać. I mają słuszość ci politycy, którzy utrzymują, iż kwestya polska jest zawsze europejską. Gdy bowiem runie »status quo«, ona się wzniesie i będzie jedną z pierwszych z pośród międzynarodowych spraw. Kwestya polska — to nie polsko-rosyjska, lub polsko-niemiecka, domowa sprawa, to — wszechświatowego znaczenia rozwiązanie jej. Na zachodzie są już i uczeni i politycy, którzy poczynają podobnie się zapatrywać na sprawę polską. Ta sprawa, tak długo milczeniem pomijana, poczyną już nieraz i w dziennikach zagranicznych zabierać miejsce, wprawdzie skromne jeszcze, tem niemniej aktualnego poczyną nabierać znaczenia i cokolwiek rozgłosu. Z gabinetów uczonych i ze szpalt dziennikarskich musi ona wejść do rachub politycznych, gdy wypadki dziejowe, których oczekuje Europa, wystąpią na widownię.

Gdy zetrą się rządy i namacalnie objawi się bankructwo idei państwowościowej, wstaną narody i podniosą swe głosy gromkie. A wśród nich głos Polaków nie będzie drugorzędnym z pewnością. A że ostateczny dramat dziejowy rozegrać się musi na naszym terytoryum, w Polsce i krajach do niej przynależnych, naród nasz więc może i powinien odegrać rolę wybitną, biorąc udział. W początkach jednak tych walk i politycznej gry szalonej roztropność nakazuje zachować się spokojnie i cicho, ile tylko będzie to możliwem, biorąc pod uwagę naszą dezorganizacyę narodową i nieprzygotowanie z powodów niezależnych od nas. Może tym sposobem udałoby się uniknąć choć w części niepotrzebnych strat i ruiny, zemsty wrogów. Należałoby spoglądać na wszystko spokojnie, choćby to było nawet bardzo bolesnem, i czekać z nadzieją i ufnością w Bożą pomoc chwili dla nas przeznaczonej. Nim ona właściwa nadejdzie, skupiać należy nasze siły, porachować się, poczuwać się do jedności, organizować się duchem,

umysłem, ciałem. Niema natenczas stronnictw! Jedno tylko jedyne — polskie jest! A które musi wiedzieć czego chce, dokąd dąży, jaką siłą rozporządza i jak ma czynić, gdy przyjdzie działać w warunkach i okolicznościach wpierv przewidzianych i obrachowanych. Jeden sztandar! jak jedna Polska, jak jeden Bóg! I stać nam i czekać, aż walczące rządy wzajemnie się zmoją, aż podniosą swe głosy narody i rozpocznie się walka idei wszechludzkiej z ideą imperyalizmu. Dopiero wtedy stanąć obok tych narodów, w pierwszym szeregu zająć miejsce, zwykłe nam. Ale stanąć zorganizowanymi już, świadomymi celów, dróg, sposobów i środków dobrze obrachowanych. Złączeni duchem i ciałem w jedno jestestwo — będziemy szanowani przez wrogów i poszukiwani przez przyjaciół, pomimo szczupłej liczby naszej w porównaniu, bo będziemy wtedy siłą realną i konkretną. A każdy Polak musi być bohaterem, gdy ma honor i szczęście polską duszę z polską krwią nosić w sobie.

Jeśli żyć umieliśmy bohatersko na ogół w kajdanach niewoli, jeśli bohatersko niedaliśmy się wynarodowić, ni ducha swego zabić rozmaitym wrogom jawnym i ukrytym; to tembardziej walczyć bohatersko potrafimy za naszą niepodległość, za naszą Ojczyznę królewską! A królewskość ta z jej ducha wielkiego wypływa, ducha prawdziwie słowiańskiego! Kogo ten duch nie zachwyca, nie porywa w niebiosa, ten nie jest Polakiem! Podłej on nacyi i duchem, i rodem jest!

Precz więc z nim! Niech nie zatruwa swym oddechem serc polskich! Precz z destrukcyjnym gryzoniem serc i umysłów, i woli polskiej! Precz z niewolnikiem ciemności i zwątpień, co nigdy nic nie stworzył, a wszystkoby chciał zniszczyć i zburzyć! My z Bogiem naszych naddziadów, z Bogiem polskim, za naszą Matkę-Ojczyznę, za naszą wolność i niepodległość sto lat już cierpim, pracujęm wytrwale w męce, uznojeniu, krew serdeczną oddamy, gdy przyjdzie czas!

Gdzież mu miejsce wśród nas? My, jedni bracia wszystkich stanów, pod ojców naszym sztandarem zebrani i zjednoczeni, pod sztandarem Najświętszej Panny i Orła Białego, amarantem, by krwią gorącą promieniejącym, pójdziem za wolność naszą i wszechludów. A on pod płachtą błota, z godłem »gęsi białej«, cuchnącą ropą bryzga w około i wściekłą śliną plugawi ziemice naszą i krew ojców za Ojczyznę wylaną. Nie myśl Boża, nie idea wszechludzka, z łona Bożego zrodzona, ale zawiść i nienawiść, pożoga, mord i grabież dla żeru i rozpusty — celem jego! Precz! Ta polska ziemica — święta jest, krwią świętą i męczenników narodowych przepojona i naszymi łzami codzień omywana jest, a on kala ją swemi stopy i lży. Precz! przechero, uwodzicielu ludu, nie z polskiego ducha ty i nie z polskiej krwi!...

Po tylu przejściach strasznie bolesnych, po tylu doświadczeniach gorzkich, przypuścić już trudno, byśmy cokolwiek poczynali nieogłędnie, by to powstanie rozgorzało lekkomyślnie, bez wyboru stosownej chwili i psychicznego momentu. Trudno przypuścić, by zostało podjęte bez rachuby realnych warunków powodzenia i bez siły należytej, bez zjednoczonej woli całego narodu, od starca do dzieciucha nawet! Chyba już — nie! A gdy taka chwila, stosownie obrona nadejdzie, to świat ułęknie się głosu silnej, niepokonanej woli dwudziestomilionowego narodu! Bo ten naród — to jedna żywa istota, mająca jedną wolę, jedną chęć, jeden cel, i gotowa na wszystko! Tym sposobem nie zmarnujemy chwili i opatrność nie dopuści już do tego. Ona sama tę chwilę nam wybierze i da, by się spełniły jej zamierzenia.

Po walkach, wahaniach rozlicznych, przejściach rozmaitych, nastąpić musi epoka kongresów wszechnarodowych w celu zbadania się wzajemnego i ułożenia wspólnie norm kształtowania się i rozwoju życia narodowego. Może być, by głos przedstawicieli polskich na kongresach miał więcej doniosłości, potrzeba będzie drugie podnieść po-

wstanie. To drugie jednak może być nawet niezbyt krwawe lub i wcale. Byleby rozgłośnie i alarmujące, tak, by mogło oddziaływać na decyzję kongresów w uwzględnieniu naszych pretensyj narodowych. Sądzimy jednak, że to drugie powstanie okaże się zbytecznym. Przytem przypuszczamy, że Anglia mieć będzie swój własny interes i przeto wmiecha się do spraw polskich na korzyść Polski. Najpierw, w chwilach jej walk z germanizmem zechce na tyłach Niemców uczynić dywersję. A więc, dostarczywszy pieniądze i oręż Polakom z pod zaboru pruskiego, będzie chciała wywołać powstanie, o ile przy pomocy Rosji nie będzie mogła oderwać Poznańskiego Księstwa, robiąc z niego podarek Rosji tymczasowy. Co naturalnie zmieniloby wiele już na naszą korzyść i politykę Rosji względem nas i nasze siły narodowe.

Przy likwidacyi zaś zaburzeń europejskich, Anglia mając swój kupiecki interes na względzie i trzymanie Niemców na wodzy, będzie się upominać o Polskę niepodległą i silną. Rosya nie będzie się nadawać ku zamiarom Anglii, a to dzięki swym składnikom narodowym i wewnętrznym przeobrażeniom jakie niewątpliwie ją czekają.

Gdy nahajka zostanie złamaną ostatecznie, znaczenie Rosji polityczne i terytoryalne będzie zredukowane do minimum, wpływ zaś na sprawy słowiańskie zupełnie utracony.

Niemcy, odrzuceni od morza, zostawiają Anglii panowanie. Silna Polska będzie mogła skutecznie przeszkadzać ponownemu zagarnięciu wybrzeży przez Niemców, nie stając się przeto rywalką Anglii, przynajmniej w ciągu dłuższego czasu. Geograficzne położenie Polski Anglia wykorzystywała dla siebie, tworząc w Polsce a nie w Rosji centrum całego handlu i przemysłu pomiędzy Europą i Azją. A ruch ten gwałtownieby się wzmógł po wykonaniu rozmaitych planów już obmyślanych i przy pewnych kombinacyach względem Persyi, Chin konstytucyjnych, drogach do Indyi i t. p. Warszawa miałaby wówczas ciągiły wszech-

światowy jarmark u siebie. Do niej zbiegałyby się wszystkie narody dwóch części świata i w niej mieściłyby swe interesy. Niemile to będzie widowisko dla rycersko-ziemiańskiego narodu i może stolica dużo stracić na swym wyglądzie narodowym, lecz stanowisko jej byłoby bardzo zyskowne. Nawet o port na Wiśle pod Warszawą Anglia może się upominać i domagać się w swych celach handlowych. Ale, by Polska mogła zająć to stanowisko, musi być niepodległą i silną w interesie tejże Anglii.

Czy jednak, przyjmując pomoc Anglii, należałoby jej zaufać w zupełności? Czy nie należałoby wówczas przypomnieć sobie kupieckiej odpowiedzi Palmerstona, danej deputacyi polskiej 1830 roku? Czy Anglia w jakim krytycznym wypadku nie zechce nas opuścić, poświęcając po kupiecku naród polski swym kupieckim interesom?... A w takim razie, nimby nastąpiła epoka kongresów, musielibyśmy płacić ciężkie rachunki... może kamień na kamieniu nie ostałby się w naszej Ojczyźnie...? Następnie nasuwa się pytanie: jakie warunki przyjąłby musiał naród za pomoc okazaną? Bo chociaż Anglia tylko we własnym interesie okazałaby nam pomoc, bo chociaż naród nasz wypłaciłby się jej wzajemną odługą, nawet i krwią, to przecież Anglia, jako kupiecka na wskroś i czująca swą siłę, nie poprzestałaby na tych odługach. Możeby chciała swą opiekę nam narzucić, podobnie jak to zrobiła ze zgrzybiałym Egiptem? Zapewne, opieka ta nie byłaby długą, naród polski zrzuciłby ją niebawem przy pierwszej okoliczności zdarzonej.

Pomoc Austrii, coraz bardziej słowiańskiej, możeby nie dała narazie błyszczącej sytuacji Polsce, lecz może za to mniejby była ryzykowną dla nas. Lecz byłby w takim razie warunek uznania Habsburga którego królem polskim, i gorzej jeszcze, bo przynależności do ogólnego państwa Austriackiego, notabene, o ileby ono jeszcze egzystować mogło w tej epoce.

Rosya, gdyby nawet wskutek kombinacji politycznych mogła narazie zagarnąć ziemie polskie od Niemców i Austrii, nie mogłaby nam zaszkodzić, owszem pomódz raczej, jednocząc nasze dzielnice i wzmacniając nasze siły narodowe tym sposobem.

Z powyższych wszystkich uwag, da się wywnioskować, że naród polski, chociaż nie bez ofiar, raczej zyskać może na powikłaniach politycznych rządów dzisiejszych Europy, jakąby one formę narazie nie przybrały. Następnie zaś, ruch narodowościowy i społeczny wyrówna i unormuje wszystkie niedokładności. Zapewne, będą i muszą być rozmaite wahania, stany i formy przejściowe u wszystkich narodów, więc i w naszym, słowiańskim świecie. Na początek może się utworzyć jakieś sfederowane południowo-zachodnie państwo słowiańskie, czy też tylko zachodnie. Jakaś federacja słowiańska, bodaj częściowa narazie, musi dać początek ogólnej. Wspólna obawa przed zalewem germańskim, walka o byt, o istnienie, stworzy, bo musi stworzyć ostatecznie zjednoczenie. Pod wpływem czynników politycznych na zewnątrz, ekonomicznych i kulturalnych wewnątrz, zacisną się węzły. Poszanowanie praw każdego ze szczepów, poszanowanie i zabezpieczenie jego ustroju narodowego, odrębnego kulturalnego rozwoju i równość, będą podstawą tego zjednoczenia w jedną wielką rodzinę jej poszczególnych członków-braci. Federacja narodów słowiańskich będzie musiała przejść również okres wahań, ścierania się, nawet niesnasek i wśni — inaczej też być nie może. I nie należy znów z nadto idealnie przedstawiać sobie owo początkowe zjednoczenie się nieznanym prawie sobie braci. Bardzo rozmaita kultura, charaktery i usposobienia różne, wskutek rozmaitych czynników wiekowych i współczesnych, będą wywierać niemały wpływ na wzajemne stosunki. Trzeba to wszystko naprzód zrozumieć, by nie nastąpiło ogólne rozżalenie i rozczarowanie, wzajemnie szkodliwe i wzajemnie bezpodstawowe. Po pierwszych bowiem chwi-

lach entuzjastycznego zbratania się i upojenia, to wszystko właśnie może nastąpić przy wzajemnych, bardziej normalnych, spokojnych i bliższych stosunkach. Okaże się potrzeba dłuższego czasu, a również i wzajemnej pobłażliwości, wzajemnej ustępliwości, by nierówne kanty i ostrości wszelakie usunąć się dały i gładko oszlifować. Polska, powstawszy siłą wypadków światowych, w jakikolwiek sposób, prędkoby odzyskała swe siły i znaczenie i naród polski wśród słowiańszczyzny miałby wdzięczną rolę, nie tylko przodownika, lecz i pośrednika — ułagodziciela w sporach rodzinnych. Zająwszy bowiem stanowisko filozoficzno-dyplomatyczne, rozjemcy i brata starszego, zyska bardziej jeszcze na sile moralnej i zasłuży się słowiańskiej rodzinie, chroniąc ją przed ponownym rozbiciem, a z obojawnie szkodliwym. Ostrość kantów zniknie z czasem. Zrozumienie wspólnych korzyści i odczucie takowych stąpi do głębin mas słowiańskich po dłuższym czasie dopiero, a wtedy nie będzie już trwogi o całość zjednoczenia. Idea przynależności do jednej rodziny, idea solidarności wszystkich poszczególnych członków rodziny, będzie jako konieczność istnienia uważaną, jako warunek życia! Zaś rozluźnienie tych węzłów — jako śmierć każdego z osobna członków, wcześniej — później, wskutek jednych lub drugich okoliczności.

Federacja Słowian, jakby już w górze była zadekretowana. Dzwon wiekiasty wybije głośno oną godzinę, a o kwadrans później — godzinę federacji europejskiej.

Warunki ekonomiczno-polityczne Europy zmuszą do podobnego ukształtowania się. Logika ewolucji i rozwoju narodów prawie z matematyczną ścisłością narzuca umysłom przewidywanie całej epoki federacyjnych kształtów i formowań nie tylko w Europie. Federacja zaś Słowian swoim ogromem i znaczeniem będzie miała własność magnesu przyciągającego ku sobie narody. Jedne ze względu swych interesów, inne z bojaźni, lub szukania oparcia i pomocy, to znów ze względów natury czysto ideowej,



będą się garnąć ku słowiańszczyźnie nieprzeżytej jeszcze, pełnej sił ducha i ciała. A wstępując z kolei na wielką arenę świata, dopiero pocznie ona swą wielką rolę grać. A tak, Polska na czele słowiańszczyzny, ze słowiańszczyzną wraz, swą misję pełnić będzie nadal.

Zaś, jako warunek konieczny możliwego istnienia takiej federacji europejskiej i jej rozwoju dla dobra ludów, to trybunał międzynarodowy, wszech europejski, pokojowo-rozjemczy. A tego trybunału miejscem ciągłej czynności musi być z konieczności nie Haga, nie inne miejsce, lecz prastary, prakatolicki Rzym. Dzisiejsze pojęcia, zgnatwane i rozczochrane szalonych lub spaczonych umysłów i dusz, zmieniają się w zupełności. Prawda i ideały chrystyanizmu zajaśniają wielkim blaskiem, wejdą w życie codzienne jednostek i w życie narodów, aż do ich kodeksów praw i polityki międzynarodowej. Ochłona umysły, uspokoją się serca, bezpieczeństwo i pewność jutra wzmogą olbrzymio energię narodów ku pracy i postępu. Dlatego to, oczy i serca wszystkich ku Rzymowi się zwrócą. Najwyższym prezesem sądów w zatargach międzynarodowych tylko głowa wszechchrześcijaństwa być może, namiestnik tego, który tylko w Miłosierdziu i w swej Miłości sądy sprawuje nad narodami!

Tak tylko rozumieć można, tak tylko sobie przedstawić można logiczny rozwój w przyszłości polityczno-społeczny europejskiego odłamu ludzkości. Taki tylko, nie inny, musi być w rezultacie swym logiczny, naturalny ustrój ludów Europy i objaw zewnętrzny ich pochodzenia dziejowego poprzez wieki, ich dążenia ku lepszemu, doskonalszemu. Takie i tylko takie ukształtowanie się polityczne i społeczne da możliwość narodom rozwinąć wszystkie swe siły duchowe, intelektualne i fizyczne. Ku temu też w ciągu wieków prowadzi stopniowo ręka Opatrzności, zbierając poszczególne tony w coraz pełniejszy akord harmonii swej myśli wiekuistej. Stworzywszy rodzinę, uformowała następnie szczepy, poszczególne i narody, przy-

szedł czas uformowania ludzkości. Jednym z etapów na tej drodze, to federacja Europy, Ameryki następnie i Azji w końcu.

Każde westchnienie czuć ludzkich, każda iskra myśli i zapału, każdy ból i łza; również każdy wynalazek i odkrycie; marzenia senne i na jawie, chęć i dążenia do celu jakiegoś; wszystko to, ale wszystko jest odruchem i przejawem tej iskry, cząstki Bożej — duszy człowieczej, która zbiorowo tworzy olbrzyma, wielkiego ducha ludzkości. Ale ten duch marnuje obecnie siły swe na walkę narodowościową, na walkę z przemocą brutalną i nienawiścią, deprawującą umysły i serca. Marnuje swe siły na ciągłe usuwanie przeszkód w ich rozmaitych formach i postaciach, tamujących rozwój prawidłowy i naturalny, tamujących pochod ku wyżynom myśli i czuć, ku słońcu prawdy i piękna, ku Niebu i Bogu, z którego początek swój wziął. Tylko więc przy ustroju polityczno-społecznym, wyżej przez nas wskazanym, ludzkość będzie mogła podążać szybkim krokiem ku istotnej cywilizacji i jej ideałom.

---

Zdarza się często słyszeć i czytać zdania lekceważące wszelkie poglądy filozoficzne i polityczne zwłaszcza, gdy one w swych wnioskach sięgają poza nasze dziś. A jednak, te apriori wnioski powstają na podstawie danych realnych i konkretnych. Nie dla wszystkich, może być, są one widoczne, spostrzegane niedość i niedoceniane należycie. A jednak zdarza się często, że owe wnioski i kombinacje czysto myślowe, w pewnej chwili, przy pewnych stosownych warunkach przestają w końcu nosić charakter wniosków na przyszłość. Z dziedziny koncepcji myślowych i marzeń stępują w życie realne, stają się rzeczywistymi i aktualnymi rzeczami i sprawami ogółu. Czy należy tu wyliczać całe szeregi podobnych faktów, gdzie wnioski oparte na pewnych zestawieniach warunków, lub praw ogólnych, a naturalnych, w swych wywodach logicznych

dały rezultaty zadziwiające w dziedzinie nauki ścisłej, w polityce, socyologii? Przecież i prawdy matematyczne, aksjomaty, oparte są tylko na wnioskach *à priori*. Wnioski Kolumba były przyczyną uznania go waryatem u ogółu jemu współczesnych. Odkrycia astronomiczne, a choćby naszego Kopernika, na czym oparte właściwie? Myśl wielką Skargi, myśl religijno-polityczną unii kościelnej, jego widzenia prorocze w chwilach blasku potęgi narodowej i zwycięstw wojennych polskich, czemu wytlómaczyć? Idea Wielopolskiego, tak sprzeczna z pojęciem nie tylko ogółu, ale i wielu statystów swego czasu, czemu była, jeśli nie wynikiem logicznym spostrzegawczego umysłu, umiejącego przewidywać przyszłość na podstawie danych? Przewidywania polityków, wytwarzanie konjunktur, lub ich unikanie i przeciwdziałanie możliwe, czemu są, jeśli nie rezultatem myślowych wniosków i koncepcji? Ależ i ta praca społeczna, narodowa, a realna i w swych rezultatach konkretna, którą przeciwstawiają fantazyom filozofów i polityków u nas, nie może się obejść bez wniosków na przyszłość, czasem bardzo fantastycznych nawet.

Poucządzają ludzie bardzo trzeźwo spoglądający, iż jedynie praca społeczna i narodowa daje siły narodowi, moc i potęgę, wszystkie zaś fantazyje i koncepcje polityczne do niczego nie prowadzą, raczej szkodzą, bo osłabiają energię do pracy, wnoszą roztrój marzycielski do duszy i apatyę, wywołują szkodliwe wybuchy. Zapewne, jest w tem zdaniu dużo słuszności, ale — warunkowej. I tak i nie, *ça depend*. Zależy dużo od tego, co nazywamy fantazyą polityczną, jak również czy stan nasz polityczny pozwala nam prowadzić podobną pracę? Bah! piękna to rzecz praca społeczna i narodowa! Któżby miał co przeciw temu? Ale ta rzecz jest tak piękną, iż widocznie dlatego, nie dają nam imać się jej ni rękoma ni zębami. W Królestwie, na Litwie i Rusi turytmy przepełnione są nie złodziejami, rozbójnikami, podpalaczami, bo tych po-

licy nie umie złapać, ale redaktorami pism, publicystami, autorami, księżmi, ludźmi nauki i pracy społecznej, ludźmi dobrej woli i ofiarności. Przytem, w pracy tej społecznej brać musi udział cały naród, by ta praca mogła dać realne korzyści. Aby zaś cały naród wziął udział, należy wpierrw oświatę wnieść do jego wnętrza, uświadomić go narodowo. To są podstawy prawdziwej pracy, od tego poczynać. Jakże nam imać się tego, gdy nauczanie dzieci pacierza i katechizmu wprowadza księdz do turmy? Jakaż to praca być może społeczno-narodowa, gdy nie ma ona i mieć nie może przy takich warunkach planu określonego i jednolitego? Wykonywa się dorywczo i tylko przez jednostki ofiarne. Nasza praca, przy wielkich ofiarach rozmaitego rodzaju i pełniona li tylko przez jednostki uprzywilejowane umysłowo i materyalnie, dotąd dać może i daje tylko nikłe rezultaty. A i te, dzięki okólnikom gubernatora, rozporządzeniom »isprawnika« lub »stanowego«, są nieraz w jednej chwili obracane w niwecz.

Życie nasze w nienormalnych warunkach płynie, a te właśnie są rezultatem naszej politycznej sytuacji. Nie porzucając więc wcale dążności ku pracy społecznej, owszem, pilnie ją spełniając, pomimo ofiar ciężkich, zawodów i niewielkich stosunkowo rezultatów, musimy jednak również pilnie zwracać uwagę na wszelkie zmiany w politycznym świecie, nawet najmniejsze. I to jest naturalne, konieczne. Mamy ręce i nogi związane mocno, na oczy nam nakładają przepaskę czarną, a umysł trują nam wyziewami. Szukamy więc ratunku, bo żyć chcemy. Szukamy go w sobie, w naszej jaźni narodowej a więc i w pracy społecznej, i szukamy na zewnątrz, rozglądając się w konjunkturach politycznych. I właśnie, pilnie, a trzeźwo rozważając sprawy polityczne, umiejąc się w nich oryentować, ustrzedz się możemy błędów, szkodliwych wybuchów, zwłaszcza nie w porę, lub też nadzieją lepszej doli wzmacniać serca zwątpiałe i zdwajać energiję narodowych sił tym sposobem. Jeśli giełda, przemysł, wywóz i przywóz produktów i ceny

ich zależne są często od wahań politycznych, jedynieby na losy narodu polskiego polityka nie miała wpływów, na zwiększenie jego niedoli, lub ulżeniu, albo zupełnego wyzwolenia z jarzma?

Wielka rewolucya francuska była rezultatem tych warunków socyalnych, których powstawanie stopniowe odbywało się w ciągu wieków, a następnie skojarzenie się ich z okolicznościami sprzyjającymi politycznie, wywołało ruch wbrew przeciwny dążeniom arbitralnym Ludwika XIV-go. Obecnie uwidoczniają się warunki, również w ciągu wieków stopniowo wytwarzane, a których nagromadzenie i skojarzenie się przy sprzyjających okolicznościach grozi wybuchem olbrzymiej rewolucyi, bo wszechświatowej, przewrotem kompletnym w stosunkach międzynarodowych i państwowych ustrojów. Czy mamy na to zamykać nasze oczy dobrowolnie i tym sposobem dać się zaskoczyć znienacka wypadkom, które idą już z dala?

Wszystkie te szematycznie tylko tu wykazane przez nas okoliczności i warunki, konjunktury polityczne i społeczne, które zmuszą stary ustrój świata do przekształtowania się w formę bardziej odpowiednią potrzebom życia narodów, wydają się być naturalną i logiczną, prawie fatalistyczną konsekwencyą życiowego rozwoju narodów. Wydają się być czysto ludzką rachubą logiki czynników danych, rachubą ciągłości ich w następstwach logicznych i wpływach zatem na przyszłość. Tak! Zapewne! Przy warunku jednak: gdyby człowiek mógł umysłowo i duchowo żyć tylko terażniejszością; gdyby myśl jego, ni pamięć, nie zapuszczały się w czasy i wieki daleko poza nim zostające, szukając źródeł przyczyn, wypadków, ich biegu i rozwoju; gdyby umysł ludzki nie wybiegał naprzód, dzięki pewnym danym, podniecającym myśl i wyobraźnię, i nie parł dalej poza terażniejszość... Zwierzę, czy mucha, żyje terażniejszością i ją tylko rozumie, dlatego to nie może pojąć zamierzeń człowieka, ni prac jego ciągłości celowej. Człowiek zaś, gdy zapuści się w gęstwę myśli swegoj.

ducha, odnajduje źródło przyczyn, ciągłość celową myśli wiekuistej poprzez wieki i czasy. Odnajduje, gdy uprzedzeniem oslepiiony nie jest, a złością nieogłuszony. A wtedy poczyną jedno rozumieć umysłem cokolwiek, drugie cokolwiek odczuć i przeczuć swym duchem. Cokolwiek tylko, stosownie do możliwości i kresu swych ludzkich aparatów doskonałego postrzegania, koncepcyi i czucia psychicznego.

Prostacy i niedouki składają większość w każdym narodzie. Mędrca więc ta większość zrozumieć nie może i często, przeto właśnie, nienawiścią bezmyślną ku niemu pała. Gambetę w większości nie rozumiano i w ogólności nienawidzono we Francyi, Wielopolskiego w Polsce. A taki Szprot miał w niedawnych czasach olbrzymie uznanie w Warszawie. Elektryzował tłumy rozmaitych warstw i sfer. I nie wierzono, by uciekł w najgorętszej chwili, gdy krew się lała na ulicach za sprawą jego. Wielu mędrców nie dostrzegało genialnych myśli Gambetty, ni zbawiennych planów Wielopolskiego. I nie jeden mędrzec potakiwał Szprotowi, zwał go genialnym, opatrnościowym człowiekiem...

Jeśli więc nie wszyscy, nawet z pośród mędrców, z jakichkolwiek powodów nie mogą, lub nie chcą, dojrzeć i odczuć działalności transcendentalnej, a ciągłej i logicznej w ciągu wieków w życiu i ewolucyjnym rozwoju narodów; to jednak nie będzie to już niezbitym dowodem, że działalność Opatrzności nie wpływa na losy ludów w Jej wielkich celach. Dziś już nam widocznymi stają się czynniki przyszłych wydarzeń światowych. A były one wytwarzane niepostrzeżenie w ciągu wieków długich z matematyczną ścisłością logiki, jako odosobnione, poszczególne zdarzenia, niemające na pozór związku z sobą, ni ciągłości. Mędrzy nie zauważyli tego w ciągu wieków, aż stały się one widocznymi dziś. Być może, zwalczałyby zaciekle, toby te warunki tworzące się dostrzegł był, odgadł i czynniki dzisiejsze przewidział wraz ze skutkami ich? A ile niewido-

czynnych jeszcze dla ócz naszych czynników i nieprzewidzianych wypadków wprowadzi Ręka wszechmocna ku działaniu w chwili stanowczej, któż może odgadnąć?

Odgadujemy tylko, raczej przeczuwamy, że ta chwila bliską już jest. Że wszystkie przeszkody i zapory, przeciwstawiane Woli Najwyższej Istoty, rozbite będą i, jako puch marny, unicestwione. Że wskutek tej właśnie Woli Najwyższej, światowe konjunktury ułożą się ostatecznie pomyślnie dla naszej Ojczyzny. Siłą samych wypadków z grobu wstanie Polska. Nabierze rychło sił i mocy, i potęgi! Wstanie, bo musi wstać, by spełnić swą pracę, swą misję, zaczęta, a niedopełnioną w swej olbrzymiej doniosłości. Tak przez Polskę i z Polską wolną i niepodległą na czele słowiańszczyzna do wszechludzkości poprowadzi! Duch polski wyłoni z siebie nowe a wielkie idee, zapłodnią one ludzkość sobą i wskazywać jej będą przez wieki drogę, po której stapać ma!

A gdy to już się stanie, czy i wtedy nawet, pamiętając niewolniczą teraźniejszość, będziesz wątpił o istnieniu wszechmocnej i kierowniczej losami narodu polskiego Ręki Opatrzności, Lechito-Polaku?

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

25 marca 1911 rok.

Książki, które zostały wydane w ramach projektu "Książki dla dzieci" w ramach budżetu państwa, zostały przekazane do Biblioteki PAN. W ramach projektu "Książki dla dzieci" w ramach budżetu państwa, zostały przekazane do Biblioteki PAN. W ramach projektu "Książki dla dzieci" w ramach budżetu państwa, zostały przekazane do Biblioteki PAN.



**INSTYTUT**  
**BADAŃ LITERACKICH PAN**  
**BIBLIOTEKA**  
**80-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72**  
**Tel. 26-68-63**

Książki, które zostały wydane w ramach projektu "Książki dla dzieci" w ramach budżetu państwa, zostały przekazane do Biblioteki PAN. W ramach projektu "Książki dla dzieci" w ramach budżetu państwa, zostały przekazane do Biblioteki PAN. W ramach projektu "Książki dla dzieci" w ramach budżetu państwa, zostały przekazane do Biblioteki PAN.

















F

3192